

# Graham Masterton

## Błyskawica

Z angielskiego przełożył BOGUSŁAW STAWSKI

*Wczoraj wieczorem prowadziłem samochód, Nie potrafiąc kierować, Nie będąc jego właścicielem. Jechałem i potrąciłem Ludzi, których kochałem.*

Gregory Corso

### CZEŚĆ PIERWSZA

### KREW I OGIEŃ

### ROZDZIAŁ 1

Zadzwonił telefon. Dzwonił i dzwonił, i nie chciał przestać. Zakryli głowy wygniecioną kołdrą i udawali, że śpią, ale na nic się to nie zdało. Wiedzieli, że w końcu i tak będą musieli odebrać i zetknąć się ze światem zewnętrznym.

— Telefon dzwoni — mruknęła Sarah. Spod kołdry wystawały tylko oczy i pukle kręconych włosów. — Nie odbierzesz?

— Po co?

— Może to coś ważnego.

— Jeśli to coś ważnego, to zadzwonią jeszcze raz.

— Jeśli to coś ważnego, to będą dzwoniли non stop.

— O rany, moja głowa — stękał. — Ostatni raz w życiu piłem tequilę. Zabili Davy'ego Crocketta w cholernym Alamo, a teraz próbują otruć nas i całą resztę.

— Craig, no proszę, odbierz.

— Boże, ciągle dzwoni? Myślałem, że to moja głowa. O Jezu! Założę się, że to tylko mój cholerny ojciec.

Gołe ramię wysunęło się z pościeli, zrzuciło pustą szklanę

z nocnego stolika i w końcu natrafiło na aparat pod stosem gazet i czasopism. Słuchawka zniknęła pod kołdrą.

— Halo? — powiedział jakiś słabo słyszalny głos. — Halo?

— Tata? — zapytał Craig.

— Cześć, Craig. Jak leci?

Przycisnął słuchawkę do piersi.

— To mój popieprzony ojciec.

— Co mówisz, Craig?

— Nic, tato. Czy wiesz, która jest godzina?

— Oczywiście. Jedenasta trzydzieści czasu wschodniego.

— Żartujesz chyba. Moja głowa czuje się, jakby była dopiero druga w nocy.

— Pijący muszą płacić swoją cenę, synu. Piłeś gin, to masz kaca.

— Okay, tatku. Oszczędź mi wykładów. To nie był gin, jeśli chodzi o szczerłość, tylko pieprzony sok z kaktusów.

— Co słychać u Sarah?

Znowu przycisnął słuchawkę do piersi.

— Chce wiedzieć, co u ciebie.

— No dobrze. A jak, kurczę, wyglądam?

— Okropnie. Nigdy w życiu nie widziałem kogoś o tak skacowanych włosach.

— Powiedz, że wszystko u mnie świetnie.

— Tata? Sarah mówi, że wszystko u niej gra.

— To się cieszę. A teraz skup się, Craig. W przyszłą środę będzie wielki moment.

— Co za wielki moment?

— Rekord, Craig. Rekord. Dzwonię, bo chciałbym, żebyś przyjechał z Sarah i obejrzał próbę.

— W środę? Tato, dzisiaj jest już niedziela, więc nie wiem, czy będziemy mogli...

— Craig, przecież niecodziennie twój ojciec próbuje pobić rekord świata w prędkości na łądzie.

— Niecodziennie wychyla się jedenaście kieliszków tequili.

— Craig, bądź poważny. Twoja matka też by się bardzo z tego cieszyła. To sprawa rodzinna, Craig. To prestiż i chwala dla całej rodziny. Chcę, byś ty i Sarah też w tym uczestniczyli.

— Naprawdę to zrobisz? Wszystko już przygotowane?

— Wszystko. Dziś po południu robimy ostatnie testy hamowania i bryka jest gotowa do jazdy. Craig, naprawdę

chciałbym, żebyś przyjechał. Jeśli kiepsko u was z kasą, to zafunduję wam bilety.

— No dobra, w porządku. Spróbujemy.

— Co spróbujemy? — zapytała Sarah, siadając na łóżku.

— Okay, tato. Zadzwoń do ciebie we wtorek. No to na razie.

Znalazł resztę telefonu i odłożył słuchawkę.

— Byłaś kiedyś w Utah?

Nawet z rozczochranymi włosami zachowała dziecięcą urodę, którą tak bardzo w niej lubił. Usta w kształcie łuku Kupidyna, oczy jak u porcelanowej lalki i niewielkie sterujące cycki. Gdyby stanęli naprzeciw siebie nago i ugryźli się nawzajem, to jego szczęki zacisnęłyby się w powietrzu jakieś dziesięć centymetrów ponad myszowatymi lokami, a jej zęby trafiłyby na jego lewy sutek. Au! Nie powinien myśleć o takich głupotach.

— Utah? A kto, do licha, jeździ do Utah? — zapytała.

Wzruszył ramionami. Miał cienie pod oczami. Wyglądał jak trochę wyższa wersja Ala Pacino. Przypominał też trochę Latynosa z ciemnymi, błyszczącymi oczami i dziecięcymi policzkami. Ale dziś prezentował się jak Al Pacino po ciężkiej podróży.

— Mormoni jeżdżą do Utah.

Sarah potrząsnęła głową z rezygnacją. Jej odkryte piersi zatańczyły na boki.

— Oczywiście, że mormoni jeżdżą do Utah. Przecież oni tam mieszkają. No i co z tego?

^— Mój porąbany ojciec wybiera się tam próbować pobić rekord prędkości, i to z tego. Chce mieć przy sobie całą rodzinę, żeby całowała go po dupie, gdy wyjdzie z tego zakichanego samochodu. No i co powinienem zrobić? Bardzo miło mnie prosił, żebyśmy przyjechali. Nie mogę mu powiedzieć, żeby dał nam spokój i poszedł się rąbać.

— Ale ja mogłabym — odparła bez namysłu Sarah, wyskakując z łóżka i łądując stopą w półmisku z maślanymi herbatnikami.

— Wiem, że ty byś potrafiła tak powiedzieć, bo on nie jest twoim ojcem i częścią twojego dziedzictwa.

— Dziedzictwa? Nie rób z niego od razu takiego Johna Adamsa\*. Jest zaledwie kierowcą wyścigowym w średnim wieku. Jezu, to tylko o jeden stopień wyżej od pieprzonego szofera.

Patrzył, jak wkłada przez głowę wyszywaną bawełnianą bluzę. Spoglądał na wąskie biodra i ciemnokasztanowe kędziorki łonowe. Zastanawiał się, czy nie powinien

\* John Adams — drugi prezydent Stanów Zjednoczonych (1797—1801); współtwórca i sygnatariusz Deklaracji Niepodległości

skoczyć przez pokój i rzucić się na nią, ale głębokie, bolesne pulsowanie z tyłu głowy ostrzegło go, że to nie najlepszy pomysł. Opary teąuili nadal unosiły się przez nos z pustego, gotowego do rzucenia pawia żołądka i wszelkie próby wyegzekwowania praw małżeńskich mogły zakończyć się kolorowym malowidłem na podłodze.

— Mój ojciec nie jest żadnym szoferem. I proszę cię, żebyś nie przeklinała.

— Nie przeklinałam przed ślubem. Nauczyłam się od ciebie.

— Mój ojciec jest dumnym i upartym starym dziadem, który chce coś pozostawić po sobie światu. Nie możesz mieć mu tego za złe. Każdy chce przecież po sobie coś zostawić.

— Ty za to na pewno zostawiłeś coś po sobie w sedesie — zawołała z łazienki.

— A czego się spodziewałaś? Że każde gówienko zapakuję w papier do prezentów, zanim się tam znajdzie?

Siedział w łóżku i zrzędził, a Sarah myła zęby w łazience i odganiała się od jego zaczepek. Pod nocnym stolikiem znalazł złamanego chesterfielda i zdążył wypalić połowę, zanim mdłości nie dały mu do zrozumienia, że powinien go jak najszybciej zgasić. Sarah wróciła do sypialni odświeżona i usiadła na skraju łóżka.

— Craig, po prostu nie widzę sensu we wleczeniu się do Utah tylko po to, by polerować ego jakiegoś starzejącego się faceta, który nie ma pojęcia, kiedy skończyć z młodzieńczymi wygłupami.

Pociągnął nosem.

— Mam świetny pomysł. Może pochodzisz tak po domu przez cały dzień? Bez sukienki, bez majtek, tylko w tej bluzce.

— Craig, próbuję ci coś powiedzieć, a ty nie słuchasz. Twój ojciec może zginąć w środę. Czy naprawdę chcesz jechać tylko po to, żeby to zobaczyć?

— Zapłaciłbym, żeby to zobaczyć.

— Nie bądź taki bezduszny. Wiem, że to nieprawda. Może on jest pompacyjny, ale przecież zależy ci na nim, prawda? I twojej matce też.

— Nie, ona go nie kocha.

— Nie możesz tak mówić. Nie masz pojęcia, co dzieje się między nimi? Chyba jest jeszcze z nim, co? I Bóg jeden wie, że istnieją powody, dla których go nie zostawia.

Craig przeciągnął się i westchnął.

— Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że może zginąć. Ale poprosił nas, żebyśmy przyjechali, i myślę, że powinniśmy pojechać. Nigdy nie byłem w Utah. I nic mu się nie stanie. Ostatnim razem połamał tylko kości stopy i to była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Zdarzyło się to w Bonneville. Udawałem, że piasek wpadł mi do oczu, żeby nie widział, że się z niego śmieję. Był wściekły na siebie. Uwielbiam go, gdy się na siebie wścieka.

— Najpierw mi mówisz, że go nienawidzisz, a teraz zaczynasz go bronić.

Craig wstał z łóżka i stał z rękami na biodrach. Sięgnęła ręką, prawie nie myśląc o tym, co robi, i chwyciła w dłoń jego jądra, jakby sprawdzała granaty w supermarkecie.

— Nie ściskaj, dopóki nie będę cały w tobie.

Uśmiechnęła się.

— Cokolwiek tu wymyślimy, to przecież twój ojciec.

— Pieprzymy się? — zaproponował otwarcie. Popatrzyła na jego zwisający członek.

— Błada twarz mówić jedną rzecz przez usta, a druga rzecz przez siusiak.

Podszedł do okna, by zasunąć zasłony, i uderzył piszczelą w szklany stolik do kawy.

♦♦♦

Dziwna sprawa — spotkać matkę w sierpniowym upale w Salt Lake City. Zawsze widywał ją w klimatyzowanych i zaciemnionych pokojach ich starego domu na Cape Cod ubraną w pastelowe jedwabie, popijającą cytrynową herbatę. Teraz miała na sobie jasne ubranie w stylu safari (trzeba było przyznać, że doskonale dopasowane). Siedziała za kierownicą wynajętego w Utah mercurego. Najpierw dostrzegł jej fryzurę wyglądającą jak ptasie skrzydło spryskane kosztowną platyną. Kiedy się odwróciła, zobaczył jej idealnie mleczną karnację, jasnoblękitne oczy i to szczególne spojrzenie, przypominające mu Marilyn Monroe, która mogła właśnie tak wyglądać, gdyby dożyła pięćdziesięciu pięciu lat.

— Craig, kochanie! Och, Sarah też tu jest!

— Cześć, mamó. Przepraszam, że musiałaś czekać. Nasza walizka otworzyła się na podajniku bagażu na lotnisku i zanim zebraliśmy rozsypane ciuchy, minęło dobre dwadzieścia minut.

— Witaj, Marjhorie — przywitała się Sarah, pakując się do samochodu. — Świetnie wyglądasz. Ten upał ci nie dokucza?

— Upał, moja droga, jest najmniejszym z moich zmar-twień.

— Wyglądasz, jakbyś właśnie wybierała się na polowanie na słonie z Ernestem Hemingwayem — oznajmił Craig. — Jak królowa Afryki.

— Zapnij pasy, kochanie — odparła matka. — Ten brzęczyk doprowadza mnie do szału.

Jechali na północ w popołudniowych korkach Salt Lake City. Marjhorie prowadziła samochód z tak dziwaczną ostentacją, na jaką mogą sobie pozwolić tylko bogate kobiety w średnim wieku. Stuknęła zderzakiem w tylny błotnik pick-upu na ruchliwym skrzyżowaniu, a jego kierowca wysiadł i podszedł do mercurego, ledwie opanowując wściekłość.

— Proszę pani — powiedział, wpychając czerwoną twarz przez okno kierowcy — nie ma pani hamulców w tym jeździe!

— Ecie-pecie — odparła Marjhorie — co pan plecie...

— Mamó — szepnął Craig. — W Salt Lake City tak się nie mówi do ludzi.

Marjhorie zignorowała jego uwagę i zwróciła się do rozwścieczonego kierowcy półciężarówki.

— Czy pan też jest marmenem? — zapytała.

— Mormonem, na rany Chrystusa.

— Mormoni, marmeni, kogo to obchodzi. Niech pan nie przesadza. Nie ma żadnych uszkodzeń. Niech pan wsiada do swojego grata i jedziemy dalej.

Kierowca rozglądał się za gliniarzem, a ponieważ żaden nie zamierzał się zmaterializować w pobliżu, wrócił do pick-upa, trzasnął drzwiami i odjechał z piskiem opon.

Craig był wściekły.

— Mamó, każde drobne wydarzenie zmieniasz w jakąś cholerną scenę. Czy nie masz żadnego respektu dla rzeczywistości?

— Craig — odparła matka, wyprzedzając dostawczaka z prawej strony i prawie potrącając dziewczynę na rowerze — gdybyś żył ze swoim ojcem tak długo jak ja, to nie znałbyś nawet znaczenia słowa „respekt”.

— Nie zauważyłem, żebyś się z nim rozwiodła.

— A po co? Tylko dlatego, że on tego chce? Poza tym ten pokręcony głupol mnie potrzebuje.

— Jesteś mu potrzebna jak dziura w moście!

— Craig! — rzuciła się na niego Sarah. — Przestań zachowywać się jak cholerny nastolatek!

— No właśnie — podchwyciła jego matka. — Przestań zachowywać się jak nastolatek.

— Jeśli tak się zachowuję, to znaczy, że tak mnie wychowałeś.

— Gównó prawda — stwierdziła Marjhorie, najeżdżając na krawężnik przy skręcaniu w kierunku Ogden. — Żaden rodzic jeszcze nie wychował swojego dziecka. No, chyba że na szczeniaka, który w przyszłości odegra się na rodzicach.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Mimo włączonej klimatyzacji Craig czuł się lepki i podduszony. W samolocie wypił cztery albo pięć *whisky sour* i jeszcze dwa drinki w barze na lotnisku, no i teraz zaczynało mu się zbierać na pawia. Sarah zdjęła aksamitną marynarkę i zapaliła chesterfielda. Dym tym bardziej nie poprawił mu samopoczucia. Rodzice pozwalali mu pić zbyt dużo alkoholu, a gdy był pijany, wkurzali się na niego, co sprawiało, że pił jeszcze więcej. Patrzył na mgiełkę żaru unoszącą się nad betonem ulicy, na ciemnobłękitne sklepienie nieba z błakającymi się po nim białymi chmurami.

— Jak to wygląda? — zapytała Sarah. Doświadczenie z osiemnastu miesięcy małżeństwa podpowiadało Craigowi, że Sarah nie lubiła milczenia. Wołała już się kłócić, niż milczeć.

— Jak co wygląda, kochanie?

— Ten samochód. On myśli, że auto da radę?

— Och, kochanie, nie powinnaś tego nawet nazywać samochodem. To pojazd. Bradley jest bardzo wyczulony na tym punkcie. To pojazd z silnikiem rakietowym. To strasznie skomplikowane technicznie. Ale nie warto denerwować Bradleya.

Craig chrząknął.

— Dlaczego nie warto denerwować Bradleya?

— Bo to twój ojciec — odpowiedziała Marjhorie chłodno. — No i poza tym, jeśli poruszysz jakąś kwestię te-

chniczną, to przez cały wieczór będzie ci opowiadał jakieś okropne nudy.

Sarah złapała Craiga za spoconą rękę. Chciała mu przypomnieć, że jest dorosły i jest jej mężem, powinien więc zachować spokój. Wiedziała, że gdy na scenie pojawiali się rodzice, zaczynał zachowywać się jak nadąsany szesnastolatek, co psuło jego obraz. Był wesoły, miły i oryginalny, a tylko dlatego, że technika i układy elektryczne nie należały do tak widowiskowych dyscyplin jak pobijanie rekordów świata, nie oznaczało, że nie miał żadnego talentu ani odwagi. W domu był nieszkodliwym bałaganiarzem i często sprawiał wrażenie zagubionego w rzeczywistości. Sarah domyślała się, że odziedziczył to po Marjhorie.

— Czy już wyprowadzili ten wspaniały pojazd? — zapytał Craig.

— Oczywiście. Bradley i Timeri wystawili go w niedzielę po południu. Jest najlepszy z nich wszystkich. Pamiętasz starego *Fireflashal*

— Bardziej pamiętam, że całe przedsięwzięcie spaliło na panewce. Przejechał dwa metry i stanął, i żaden znawca motoryzacji w Ameryce nie potrafił go z powrotem uruchomić.

— No tak, ale jaki był piękny, nieprawdaż?

— Jasne, że był piękny. Piękny i bezużyteczny, jak wszystko w życiu mojego porąbanego ojca.

Marjhorie chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Sarah rzuciła mu niby ostre, ale solidarne spojrzenie.

— Ten nowy *Fireflash* jest jeszcze większy i jeszcze piękniejszy. Ojciec nie może się doczekać, kiedy wam go pokaże.

Craig się skrzywił.

— Powinieneś trochę się postarać, Craig. Bez sensu jest przylatywanie z Nowego Jorku, jeśli masz zamiar cały czas być nadąsany. Zdaję sobie sprawę, że Bradley jest daleki od doskonałości, ale trzeba docenić jego zalety.

— To znaczy?

— Jest odważny. Tego mu chyba nie odmówisz?

— Czy on chce się zabić?

— Craig — wtrąciła się Sarah — nie powinieneś pytać Marjhorie o takie rzeczy.

— A dlaczego nie? Musimy taką okoliczność też wziąć pod uwagę. Jutro nie wybiera się na przejażdżkę trójkołowym rowerkiem.

— Mój drogi, wiemy o tym. Ale wszystko w życiu, co ma jakąś wartość, wymaga odrobiny ryzyka.

— Proszę cię, tylko bez tej domowej filozofii, mamó. Na Boga! Ja chcę tylko wiedzieć, czy on zamierza się jutro zabić, czy nie.

Sarah pchnęła go rozwścieczona.

— Do licha, Craig! Jesteś czasem tak nienormalny jak on.

— No więc... spodziewam się, że tak — wyznała głośno Marjhorie. — Oczekuję, że on się jutro zabije. Czy już ci lepiej?

Craig pokręcił głową.

— Wiem, co ja o tym sędzę, mamó. Chcę jedynie wiedzieć, co ty czujesz?

Marjhorie prowadziła przez chwilę w milczeniu, po czym spojrzała na niego z ukosa przygaszonymi oczami i Craig zorientował się, że posunął się za daleko.

— To, co myślę na ten temat, to nie twój interes. Pewnego dnia, bez względu na to, czy będziesz wtedy dorosły, czy nie, spuszczę ci takie lanie, że długo je popamiętasz. Lanie, które powinieneś dostać już bardzo dawno temu.

— No tak—odparł.—Ty się za to weźmiesz i czyja armia?

I wtedy natychmiast zorientował się, że wyrażał się i zachowywał, i siedział rozwalony w fotelu pasażera jak szesnastoletni dzieciak.

♦♦♦

Miękkie, letnie słońce chowało się już za horyzontem, gdy dojechali do celu podróży. Uinta była małym miasteczkiem położonym na brzegu solnych jezior, a jedynym powodem, dla którego w ogóle powstała, było znaczenie taktyczne w dawnych wojnach przeciwko Indianom. Miała stację benzynową, bistro, sklep wielobranżowy i hotel. Znajdował się tu jeszcze szary budynek z prefabrykatów o długości prawie trzydziestu metrów z wnętrzem rozświetlonym lampami łukowymi i blaskiem spawania. Wokół niego roznosił się hałas generatorów. Wzniesiono go na tyłach hotelu, przez co można było odnieść wrażenie, że jest połączony z miasteczkiem, ale jego szeroka brama otwierała się na solne płaskowyzę. Craig dokładnie wiedział, co znajduje się w środku tego hangaru i dlaczego stał przodem do pustyni jak monstrualny pies czekający na wyrwanie się z kojca. Tam właśnie chował się *Fire-flash 4* — ognisty rumak jego ojca.

Marjhorie zaparkowała samochód na hotelowym parkingu; Craig wniósł bagaże przez tylne wejście do holu. Hotel był ciasny i nędzny; podłogę pokrywała wytarta wykładzina, a na suficie powoli kręciły się upstrzone przez muchy płyty wentylatorów. Za ladą recepcji siedział niski, łysy facet w okularach bez oprawek; w jednej ręce trzymał puszkę schlitza a w drugiej brudną chusteczkę i naprzemiennie podnosił je do twarzy, popijając piwo i wycierając twarz z potu. Z radia sączyła się piosenka starego Hanka Williama, ale nie zagłuszała przytłumionego brzęczenia generatorów i trzeszczenia spawarek.

— Dobry wieczór, panie Studebaker — powitała go Marjhorie. — To mój syn Craig i jego żona Sarah. Czy przygotował pan dla nich pokój?

Studebaker pociągnął nosem.

- Oczywiście, pani Winger. Czysta pościel — tak jak pani kazała. Tylko proszę się tu podpisać. No i chyba... pan Winger rozślawi jutro nasze miasteczko.

Craig wpisał się do książki meldunkowej i odłożył tani długopis bez komentarza.

Marjhorie skrzywiła usta w nieznacznym uśmiechu i odparła:

— Tak, panie Studebaker. Wszyscy wierzymy, że mój mąż uczyni nas sławnymi. No to chodźcie się trochę ochłapać wodą, zanim pójdziemy przywitać się z Bradleyem.

Okna pokoju Craiga i Sarah wychodziły na tylne podwórze. W pokoju stało staroświeckie łóżko z metalową ramą i mosiężną barierką wezłowią, przykryte kapą domowej roboty. W jednym rogu znajdował się telewizor, a w drugim wytarty fotel. Na ścianach wisiały plastikowe repliki starych pistoletów i makatka z napisem: „Niech Bóg nas błogosławi”.

— Czy tego nie powiedział czasem ten piosenkarz grający na ukulele, Tiny Tim? — zapytała Sarah.

— Zgadza się — odpowiedział Craig, otwierając ich poobijaną walizkę. — Chodzi o to, że takie mądre sentencje hamują normalny rozwój człowieka.

— Craig, nie bądź taki skwaszony. Nie mam pojęcia, dlaczego jesteś taki złośliwy. Przecież obydwójce zgadzamy się, że twój ojciec to kupa gówna, ale dlaczego musisz się tym stale dręczyć? Skoro już tu jesteśmy, to spędźmy ten czas miło.

Craig wstał i pocałował ją w czoło.

— Masz rację. Nie wiem, co mnie opętało. Za każdym razem, gdy się z nimi spotykam, coś się ze mną dzieje. Matka chce, żebym widział w niej męczennicę elegancji, a wszystko, co powiem o ojcu, to herezja. A ojciec zachowuje się, jakby był Numerem Czwartym po Bogu, Jezusie i Duchu Świętym, a ja powinienem być po wsze czasy wdzięczny, że on jest moim ojcem.

Sarah objęła go rękami wokół bioder.

— Już dobrze, przynajmniej nie jest listonoszem albo jakimś innym smutasem.

— Szkoda, że nie jest listonoszem. Poszczułbym go wielkim niemieckim owczarkiem, może odgryzłby mu nogę.

Nagle rozległ się ogłuszający ryk, aż okna w ich pokoju zaczęły drżeć w futrynach. Huk narastał, a potem zmienił się w wysoki, ogłuszający świst docierający w każdy kąt mózgu. Przestraszona Sarah przytuliła się do Craiga, który zdołał przekrzyczeć hałas.

— Spokojnie! To tylko silnik!

Po chwili hałas przemienił się w lekki szum i zupełnie ucichł.

Sarah jeszcze nigdy nie słyszała *Fireflasha* i była pod wrażeniem.

— To właśnie ten pojazd? Co oni robili?

— Chyba testowali silnik. Zaraz zejdziemy i obejrzymy go sobie.

— Craig...

Craig wyłowił czystą koszulę z walizki.

— Co się stało? Przestraszyłaś się?

— To nie to. Ale... hm... Zwykle o takich rzeczach czyta się w gazecie albo gdzieś słyszy. A tutaj jestem w środku akcji i to mnie właśnie przeraża.

— Jeszcze bardziej byś się bała, gdybyś musiała się tym przejechać.

— Jak szybko to jeździ?

— Spokojnie dochodzi do tysiąca. Nie tak od razu, ale może się rozpędzić. Tysiaka robi lekko. Sądzę, że ojciec będzie chciał dojść do tysiąca stu.

— Tysiąca stu czego?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Jak to „czego”? Kilometrów na godzinę, oczywiście.

— Nie mówisz chyba poważnie? Nikt nie potrafi tak szybko jeździć samochodem.

— Mój cudowny ojciec uważa, że potrafi.

— Tysiąc sto kilometrów na godzinę?

Craig zapiął guziki koszuli i zdjął spodnie. Jedną skarpetkę miał granatową, a drugą brązową. Poszperał w walizce i znalazł jedną czarną i jedną brązową w pomarańczowe paseczki.

— Dokładnie tyle. — Tysiąc sto kilometrów na godzinę. Jak pewnie ojciec wielokrotnie ci to powtórzy, aktualny lądowy rekord świata wynosi tysiąc sześćdziesiąt osiem i siedemdziesiąt siedem setnych kilometra na godzinę, a on potrzebuje jeszcze kilkudziesięciu, żeby pokonać granicę tysiąca stu kilometrów.

Sarah usiadła na łóżku. Wyglądała na młodą dziewczynę i Craigowi było przykro, że wplątała się w taką pokreconą rodzinę. Jego ojciec ścisnął ją za pośladek podczas przyjęcia weselnego i powiedział, że jeśli nie będzie szczęśliwa z jego synem, to on zawsze chętnie się nią zaopiekuje. Gdy opowiedziała o tym później Craigowi, musiała bardzo się starać, by powstrzymać męża przed pójściem do domu ojca i spraniem go na kwaśne jabłko.

— Nie zdawałam sobie nawet sprawy... — odrzekła po chwili. — Wiedziałam, że będzie jechał szybko, ale nie że aż tak.

— To naprawdę szybka zabawa dla prawdziwych twardej. On musi zrobić coś, żeby pokazać wszystkim, jakim jest superbohaterem i demonem szybkości. Wielka mi zasrana sprawa — oświadczył z sarkazmem Craig.

Do drzwi zapukała Marjhorie. Chciała dowiedzieć się, czy są gotowi na chrzest.

— Chrzest? Nie zauważyłem, żebyś była w ciąży.

— Chodzi o *Fireflasha*, mój drogi. Rozbijemy butelkę szampana o jego bok. Zupełnie tak, jak robi się ze statkami.

— Daj nam jeszcze ze dwie minuty. A czy ja będę miał szansę rozbić butelkę szampana na głowie ojca?

Chwila milczenia. Pomyśleli, że sobie poszła. Ale usłyszeli jeszcze jej głos:

— Nie, mój drogi. Ten przywilej będzie należał do mnie.

Craig odwrócił się do Sarah i wzruszył ramionami. Sam nie wiedział, czy jakby dał matce strzelbę, to od razu poszłaby zastrzelić ojca, przystawiając mu lufę do serca, czy

tylko upolowałyby kaczkę i przygotowałyby z niej staremu głupcowi obiad.

Ubrani w najlepsze, co mieli ze sobą, pachnąc płynem po goleniu i perfumami, zeszli do holu, gdzie czekała na nich Marjhorie w bladobłękitnej sukience z jedwabiu pasującej kolorem do jej oczu. Wyglądała jak Królowa Śniegu. Sarah miała na sobie prostą indiańską tunikę z haftem wokół dekoltu. Craig wybrał swoje najelegantsze spodnie. Ich kanty były lekko pomarszczone od zbyt długiego wiszenia w szafie, ale uznał, że włożenie zwykłych dżinsów na taką okazję jak chrzest byłoby niezbyt odpowiednie. Szczególnie że był to chrzest ukochanego dziecka jego ojca.

— Bradley już na nas czeka — oznajmiła Marjhorie i poprowadziła ich do wyjścia i dalej przez piaszczyste podwórze do wielkiego szarego hangaru. Nie dochodziły już z niego dźwięki generatorów ani spawania. Słychać było jedynie świst wiatru znad Wielkiego Słonego Jeziora i brzęczenie owadów. Zimne, fluorescencyjne światło wypadało dziwną kosmiczną aurą przez okna i drzwi, rzucając na pustynię bladą poświatę.

Sarah trzymała Craiga za rękę i ścisnęła ją od czasu do czasu, dodając sobie otuchy.

— Za jedno muszę pochwalić ojca — oznajmił Craig. — Na pewno ma własny styl. Każdy inny człowiek wyszedłby nam na powitanie i zepsuł całe napięcie.

— A niby kto jest spięty? — spytała Marjhorie.

— Ty — odparł.

Obeszli hangar dookoła, by dostać się przez szeroko otwartą bramę do środka. Całe wnętrze było jasno oświetlone; w każdym kącie tłoczyły się rusztowania, wózki, narzędzia i różne urządzenia. Ale tak naprawdę ich uwagę przykuła przykryta białym płótnem bryła znajdująca się na środku tego całego zamieszania — długi, złowieszczy, zasłonięty szmatami obiekt, który wyglądał jak śpiący wieloryb.

Craig zatrzymał się i obrzucił go wzrokiem. Miał piętnaście metrów długości, a na jego ogonie sterczała olbrzymia płetwa grzbietowa na prawie cztery metry w górę. Aż zimno robiło się od samego patrzenia. Miał wrażenie, że jest to jakieś wielkie i przerażające stworzenie znalezione na pustyni, przyniesione tutaj i czekające na przebudzenie.

— No idziesz? Ojciec czeka — ponagliła Marjhorie.

Craig odwrócił wzrok od monstrum i spojrzał na matkę. Nieczęsto się zdarzało, że żona, syn i los mężczyzny znajdowali się jednocześnie w jednym miejscu.

— Oczywiście — odpowiedział spokojnie.

Przeszli wzdłuż zakrytego boku pojazdu i dalej do przeszklonego biura projektowego. W powietrzu roznosił się zapach paliwa lotniczego, zupełnie jak na lotnisku.

Dostrzegł ojca pochylonego nad projektami rozmawiającego z Timerim Orarim — inżynierem z Indonezji. Znowu zachowuje się tak samo, stary gnojek, pomyślał. Dobrze wie, że już tu jesteśmy, ale musi nam pokazać, że praca jest

ważniejsza, i dlatego nie podniósł nawet wzroku. Spójrz w górę, ty draniu, spójrz w oczy swojej rodzinie.

Bradley Winger podniósł wzrok. Był wysoki i barczysty. Jego czupryna wyglądała niczym stalowe druty. Twarz miał wielką i szeroką, ozdobioną elegancko przyciętym wąsem. Prawdziwy Clark Gable, tyle że powiększony dwa razy. Nosił nieskazitelnie czysty biały kombinezon; na nadgarstku błyszczał złoty zegarek. Nawet nie podchodząc bliżej, Craig już wiedział, że będzie pachniał mydłem, spirytusem medycznym i wodą toaletową Monsieur Lanvin.

— Craig, Sarah! — wykrzyknął. — Jak się cieszę, że udało się wam przyjechać!

Wyszedł z biura, podniósł Sarah do góry i pocałował, potem uściśnął dłoń Craiga tak mocno, że aż zaczęły go boleć palce.

— Cześć, tato. Możesz już przestać.

Bradley objął ich oboje ramionami. Marjhorie stała z boku, na jej ustach pojawił się uśmiezek, a Craig od razu zauważył, że ojciec wykorzystał pierwszą nadarzającą się okazję, by odwrócić się do niej plecami. Coś musiało nie grać pomiędzy ukochaną matką i pieprzonym ojcem. Coś więcej niż ta ich zwykła krępująca nieśmiałość.

— Nie widzieliście jeszcze mojego rydwanu — grzmiał Bradley. — Mówię wam, to prawdziwa piękność. Craig, pamiętasz *Fireflasha pierwszego*?

Craig skinął głową.

— Czy może być coś piękniejszego od Jedyнки?

— Oczywiście, że tak.

— Miejmy nadzieję, że dotoczy się kilka metrów dalej. Bycie rekordzistą świata na kilku metrach nie przynosi zbyt wiele chwały.

Bradley wybuchnął śmiechem, choć chyba nie był zbyt rozbawiony tą wypowiedzią. Jednak nie chciał, żeby ktokolwiek zepsuł mu wieczór. Nawet Craig.

— To zwycięzca. Prawdziwy. Jutro wieczorem o tej samej porze ta dziecinka będzie miała za sobą tysiąc sto. Hej, Timeri! Podejdz do nas!

Orari wyszedł z biura projektowego i uklonił się wszystkim. Był niskim, delikatnej budowy mężczyzną o ciemnej karnacji i mówił, jakby przekazywał prywatną wiadomość od Buddy. Współpracował z Bradleyem od czasów, gdy ten jeszcze ścigał się samochodami z tradycyjnymi silnikami spalinowymi, a to, czego nie wiedział o potworach wysokich prędkości, i tak nie miało znaczenia. Był bardzo skrupulatnym inżynierem i dopasowali się z Bradleyem jak naoliwione trybiki jednej maszyny.

— Timeri, chodź przedstawię ci Sarah, żonę Craiga. Uroczą, prawda? Przylecieli specjalnie z Nowego Jorku na bicie rekordu. Timeri, pokaż gościom nasz warsztat, a ja zbiorę resztę na chrzest. To tylko chwilka, kochani. Czujcie się jak u siebie w domu.

Bradley zostawił ich z Orarim i poszedł po spawaczy, techników i inżynierów pomiaru prędkości.

— Jakoś szybko się zmył — szepnęła Sarah. Craig odwrócił się do matki.

— Czy wszystko z nim w porządku, mam? Czy my śmierdzimy albo coś takiego? Aż boję się myśleć, że może mam problemy z wodą i dezodorantem.

Nieznaczny uśmiech Marjhorie poszerzył się nieco.

— Jest po prostu przejęty. A ty nie byłbyś w takiej sytuacji?

— Chyba tak — odparł Craig. — Ale czym się tak przejmujesz? Biciem rekordu czy nami?

♦♦♦

Gdy Timeri już im wszystko pokazał, począwszy od skomplikowanej turbiny do badania aerodynamiki pojazdu, a skończywszy na plackach po wdeptanych w betonową podłogę gumach do żucia, Bradley pojawił się w hali z resztą swojego zespołu. Było to ośmiu poważnych, młodych inżynierów o świeżych obliczach. Wyglądali na facetów doskonale znających się na arytmetyce i konstrukcji maszyn, a przede wszystkim na kobietach. Stanęli dookoła zasłoniętego dzioba potwora w absolutnej ciszy, a Bradley zaczął przemówienie z okazji chrztu.

— Jutro wyprowadzimy stąd maszynę i damy czadu. Breedlove myśli sobie, że jest taki szybki? Poczekajcie, aż zobaczy naszego potwora! To będzie magiczne przeżycie! Pokonamy tysiąc sto kilometrów na godzinę. I sięgniemy po rekord! A to wszystko dzięki wam, chłopcy, i dzięki mojej rodzinie. Wasza praca i wsparcie były kręgosłupem całego tego przedsięwzięcia. Aha i jeszcze dziękuję firmie Former Tire Corporation za sponsorowanie naszych działań. Dziękuję wam i niech was wszystkich Bóg błogosławi!

Craig chrząknął.

— Tiny Tim znowu zabrzączał na ukulele — mruknął po cichu do Sarah.

Bradley podniósł dłoń do góry.

— Ted, zdejmij pokrycie.

Zakurzone zasłony opadły z cielska potwora z lekkim szumem. Nagi wyglądał jeszcze bardziej złowieszczo, niż gdy okrywała go warstwa białego płótna. Był długi i obły; na dziobie miał dwumetrową szpicę, a na ogonie wysoką, trójkątną płetwę statecznika. Na przedzie znajdował się aerodynamiczny kokpit z pleksiglasu. Poniżej znajdowały się przypominające wielkie talerze błotniki zakrywające przednie koła. Dalej ciągnęło się długie cielsko zakończone drugą parą kół. Te tylne były wyższe od Craiga.

Ale dopiero kolor wehikułu przyprawił go o dreszcze. Potwór był pomalowany błyszczącym lakierem w kolorze pogrzebowej czerni. Wyglądał jak monstualny karawan, jak napędzany silnikiem raketowym wóz z przechylaną skrzynią do przewozu trumien. Na dziobie złotymi literami o czcionce typowej dla pomników cmentarnych wymalowano nazwę pojazdu — *Fireflash 4*.

Bradley podszedł od tyłu do Craiga i wziął go za rękę. On zawsze tak mocno ściska za ramię, pomyślał Craig, jakby musiał udowodnić swoją męskość każdym głupim gestem.

— No i jak ci się podoba, synu? — zapytał Bradley.

— Jest wyjątkowo odpowiedni — odparł Craig.

— Dlaczego „odpowiedni”?—Bradley zmarszczył czoło.

— Wygląda jak trumna. I prawdopodobnie to cholerstwo spełni swoją funkcję.

Bradley Winger przyjrzał się synowi uważnie.

— Mówisz tak, bo chciałyś, żeby się nią stał, czy troszczysz się o moje życie?

Craig wzruszył ramionami.

— Spotkajmy się tutaj jutro o tej samej porze i może wtedy będę mógł ci odpowiedzieć na to pytanie.

— Chcę, żebyś coś wiedział, Craig. Nie robię tego tylko dla siebie. Robię to także dla ciebie.

— Nie chcę, żebyś to robił dla mnie.

Bradley się rozżościł.

— No cóż, mam zamiar to zrobić także dla ciebie, czy ci się to podoba, czy nie. Jesteś moim jedynym synem. Zmieniałem ci pieluchy. Wychowałem cię. To jest właśnie coś takiego, co ojciec robi dla syna.

Sarah usłyszała ożywioną dyskusję i podeszła do nich. Marjhorie plotkowała z jednym z inżynierów pomiaru prędkości i trzymała się z daleka, choć wzrokiem cały czas śledziła twarz męża.

— Co się dzieje?—zapytała Sarah. — Co z tym chrztem? Gdzie jest szampan, panie Winger?

— Sarah, nie musisz wylewać oliwy na sztormowe fale między członkami rodziny. Mój ukochany tatuś z pewnością zdąży ochrzcić ten dom pogrzebowy na kółkach.

Bradley już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Odszedł sztywno, jakby kij połknął. Po chwili wrócił z butelką szampana w brązowej papierowej torebce. Podniósł rękę, uciszając towarzystwo.

— Uważam, że moja żona powinna dopełnić ceremonii. Pozwól tutaj, kochanie, i spełnij honory matki chrzestnej.

Marjhorie wyszła przed tłumek. Wygląda blado i jest cała spięta, pomyślał Craig. Wzięła butelkę szampana i uniosła ją nad złowieszczy dziób *Fireflasha 4*. Bradley musiał zbić butelkę młotkiem, bo przecież nie mogli sobie pozwolić na wgniecenie gładkiej karoserii samochodu.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, syk szampana rozlewającego się po masce pojazdu, oklaski i wiwaty obserwatorów.

— Nadaję ci imię: *Fireflash czwarty* — powiedziała cicho Marjhorie.

I potem całkiem nieoczekiwanie drżącym głosem dodała:

— Niech go Bóg ma w swej opiece, jak i tego durnego drania, który w nim zginie.

Bradley uniósł rękę, by ją zatrzymać, ale ona była już w drzwiach hali i zniknęła w mroku pustyni.

♦♦♦

Później tej samej nocy, gdy Sarah oddychała lekko przytulona głową do jego szyi, Craig obudził się i zobaczył światła odbijające się na suficie. Przesunął się w łóżku tak delikatnie, jak tylko potrafił, żeby nie obudzić żony, i sięgnął po zegarek. Była trzecia czterdzieści pięć. Ktoś musiał jeszcze siedzieć w hali warsztatowej. Leżał przez chwilę, ale zdawał sobie sprawę, że powinien wstać i zobaczyć, kto to jest. Bo przecież wiedział, kto to jest.

Gdy wstawał, usłyszał słowa Sarah: „Ostrożnie...”, odwrócił się, ale on tylko mówiła przez sen. Ubrał się szybko i po cichu w dzinsy i sweter, włożył półbuty i wyszedł na palcach z pokoju.

W śpiącym hotelu było ciemno i duszno. Ale gdy tylko otworzył drzwi z siatki przeciwko owadom i wyszedł na werandę, poczuł chłodny, poranny wiatr. Księżyc podświetlał chmury niebieskim, niemalże fluorescencyjnym światłem.

Hala warsztatowa straszyla ciszą i zapalonymi światłami. Wyglądała jak upiorny cyrk pozostawiony na pustyni przez czarnoksiężnika.

Poszedł po cichu do otwartych drzwi. *Fireflash 4* niczym czarodziej w czarnym płaszczu czekał cierpliwie na swój czas. Niektóre panele maski bocznej były otwarte, a pleksi-glasowy kokpit zadarto do góry. Craig wszedł do środka i dostrzegł ojca siedzącego na miejscu kierowcy ze zwieszoną głową i zamkniętymi oczami. Podszedł do kabiny.

— Tato!

Bradley Winger podniósł wzrok. Westchnął. Wcale się nie zdziwił, widząc syna.

— Nie sądzisz, że powinienes się trochę przespać? Rano nie będzie wcale tak łatwo.

— Ostatnio w ogóle nie śpię zbyt dużo. Pewnie się starzeję. Zresztą prawie nigdy nie spałem przed próbą bicia rekordu i dobrze o tym wiesz.

— Tato, ale masz już pięćdziesiąt dwa lata.

— No i co z tego?

— To z tego, że potrzebujesz snu. Nie musisz nikomu udowadniać, że jesteś supermanem. Nikt tego od ciebie nie oczekuje. A najmniej mama. Bradley spojrzął z zadumana deskę rozdzielczą *Firejlasha*.

— Twoja matka nic z tego nie rozumie.

— A co powinna rozumieć? To, że zgrywasz się na wielkiego macho? I że masz psychologiczną potrzebę udowadniania, że jesteś lepszy od innych? Tato, ja nie mówię, że nie podziwiam tego, czym się zajmujesz. Podziwiam to szczerze. Myślę, że dla faceta w twoim wieku est to wielkie osiągnięcie. Ale, tato, nie próbuj tego robić z niewłaściwych powodów.

Bradley milczał. Uniósł się z siedzenia, wyszedł z kabiny i usiadł na jej krawędzi.

— Podaj mi rękę — poprosił Craiga i zeskoczył ciężko na ziemię. Wytarł dłonie o biały kombinezon i rozejrzył się dookoła.

— Niezły z niego potwór, co?

W jego głosie nie krył się nawet cień strachu i prawdopodobnie właśnie ten kompletny brak strachu był jego problemem. Może jednak powinien trochę się bać, pomyślał Craig. Gdybym to ja miał jutro jechać takim czymś, to zamknąłbym się w kiblku i nie wychodziłbym, nawet jakby wołała mnie sama Raquel Welch.

— Chodź, coś ci pokażę — powiedział Bradley i poprowadził syna wzdłuż boku monstrem do stalowej platformy ustawionej pośrodku wehikułu. Panele inspekcyjne były uniesione, a w środku błyszczała gęstwina metalowych rurek, zaworów i wiązek wielokolorowych przewodów elektrycznych.

— Wygląda jak pieprzona fabryka spaghetti — zachichotał Craig. — Skąd oni, do licha, wiedzą który jest który.

Bradley pochylił się, opierając o poręcz platformy, i skrzywił usta w swoim słynnym, chytrym uśmiechu.

— Wiedzą, bo są najlepsi w swoim fachu. Jeśli chcesz zbudować silnik rakietowy, ci goście są nie do pobicia. To, co tu stworzyli, jest dziełem technicznego geniuszu. To jak Mona Lisa techniki.

— Mnie się bardziej kojarzy z Picassem i to z okresu kolaży.

Bradley złapał go za nadgarstek i jak zwykle niepotrzebnie za mocno ścisnął. Craig spojrzął w dół i dostrzegł białe kłykcie palców. Zauważył coś jeszcze. Jego dłonie były dłońmi starego człowieka — z plamami wątrobowymi i zmarszczkami. Starzenie się zdecydowanie pojawia się nagle i mówi ci „Cześć”, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

— Synu — zaczął Bradley — musisz zrozumieć, że to, co ja tu robię, jest częścią spuścizny naszego narodowego heroizmu.

— Przestań, tato. Nie jestem sponsorem, którego chcesz wydoić z kasy.

— Nie wierzysz w heroizm?

— Wierzę w odwagę, ale nie kiedy jest ona jedynym motywem działania. Jutro nie stajesz do bicia rekordu, tylko dlatego że jesteś odważny. Możesz mieć jedynie odwagę, by to zrobić. Ale i w to wątpię. Ludzie wykazują się prawdziwym heroizmem, gdy robią rzeczy, których nie chcą robić, i gdy ryzyko utraty życia nie jest dla nich żadną przyjemnością. A dla ciebie liczy się dreszcz emocji. Czy to faktycznie jest odwaga, kiedy ktoś ryzykuje własne życie i jeszcze sprawia mu to przyjemność?

Bradley cofnął rękę i zeszywniał.

— Jesteś moim synem i zadajesz mi takie pytanie?

— Tato, rany boskie, przestań być takim... takim wagnerowskim typem! To właśnie dlatego, że jestem twoim synem, mogę cię o to zapytać. Kocham cię, bo jesteś moim ojcem. A nawet jakbym cię nienawidził z jakiegokolwiek powodu, nic i nikt nie mógłby przekreślić tego, że jesteś moim ojcem, a ja twoim synem. I nie musisz mi opowiadać o żadnej spuściznie heroizmu ani o żadnych tego rodzaju gównach. Martwię się o ciebie, tato, i właśnie dlatego chcę wiedzieć „dlaczego”?



Bradley przetarł dłońmi usta. Nawet jego oczy wyglądały już staro, pomyślał Craig. Zmieniły się w matowy rudawy brąz i chyba nie widzą już, co naprawdę się dzieje wokół.

— Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiesz — odpowiedział chrapliwym głosem.

Craig popatrzył na niego przez chwilę i odwrócił się, wydając głębokie, gorzkie westchnienie. Wszyscy rodzice są, kurwa, tacy sami, pomyślał. Już ci się wydaje, że coś łapią, że osiągnęliście porozumienie, że coś dobrego się wydarzy, a oni ciągle będą przypominać, że cię urodzili i że właśnie dlatego mają boskie prawo nie mówić ci wszystkiego. No to pierdolić to wszystko!

— Co powiedziałeś? — zapytał Bradley.

— Powiedziałem: „Pierdolić to!”.

— Widzę, że twój język wcale się nie zmienił.

Craig czuł, jak narasta w nim wściekłość. Złapał się za poręcz platformy i mełł złość w ustach, by nie dać się ponieść nerwom.

— Tato. Opowiedz mi lepiej coś o tym wehikule. Myślę, że powinienem coś więcej wiedzieć o potworze, który zabije mojego ojca.

To był język, który Bradley przynajmniej rozumiał.

— Ty i twoja matka, Craig, jesteście do siebie tak podobni.

— Prawda? Ja też tak uważam. Obydwoje mamy tę samą irracjonalną niechęć do starych ludzi usiłujących popełnić samobójstwo.

Bradley zupełnie go zignorował i wskazał na silnik *Fireflasha*.

— Silnik stanowił dla nas duży problem. Żeby uzyskać oczekiwaną prędkość na lądzie, potrzeba silnika o prawie dwa razy większej sile ciągu niż ten do uzyskania porównywalnej prędkości w powietrzu. Pamiętasz *Fireflasha Dwa*? Wykorzystałem w nim Wrighta J-sześćdziesiąt pięć. To był stary angielski silnik Sapphire produkowany u nas na licencji i montowany do samolotów bojowych Thunderstreak. Wiesz, to te, które brały udział w wojnie w Korei. No i ten J-sześćdziesiąt pięć rozwijał siłę ciągu wynoszącą jedynie trzy tysiące dwieście sześćdziesiąt pięć kilogramów siły, ale dawał radę rozpędzić te thunderstreaki do prędkości tysiąca pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Obecnie rekord świata należy do Gary'ego Gabelicha i jego trójkołowego samochodu raketowego *The Blue Flame*. By ustanowić ten rekord, zbudował silnik wytwarzający siłę ciągu wynoszącą pięć tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt sześć kilogramów siły. I ile osiągnął? Tysiąc czterdzieści sześć kilometrów na godzinę. Prawie dwa razy więcej siły ciągu, a prędkość i tak niższa od samolotów odrzutowych. I to jest właśnie ten problem.

Craig bardzo starał się uważnie słuchać tej opowieści, ale by słuchać, trzeba mieć szacunek. Niestety, za każdym razem, gdy widział się z Bradleyem, szacunek coraz bardziej się kurczył. To oczywiste, że fantazjował na temat ojca. Gdy był od niego daleko, myślał o nim jak o siwym rycerzu w

srebrzystej zbroi, o życzliwym bohaterze, który w niczym nie przypominał pompatycznego, dziwaczного i obsesyjnego typu. Fantazje te szybko gasły, gdy spotykał ojca. Co też, do cholery, ten facet usiłował udowodnić?

— No a ten silnik? Jaką moc możesz z niego wyciągnąć? Wygląda solidnie.

Bradley napuszył się dumny jak paw.

— To jest RX-trzy wybudowany specjalnie dla mnie w Kokomo w Indianie przez Propulsion Laboratories. Podczas testów laboratoryjnych uzyskał ciąg wynoszący siedem tysięcy czterysta osiemdziesiąt cztery kilogramy siły. Ma w sobie wiele rewolucyjnych rozwiązań. Zapłon, dopływ paliwa — wszystko jest synchronizowane i kontrolowane komputerowo.

Craig poczuł zmęczenie. Rzucił okiem na zegar na ścianie hangaru — właśnie minęła czwarta. Wyprostował się i przeciągnął.

— Tato, wracam do łóżka. I ty też powinieneś się położyć. Nie zapominaj, że o siódmej musisz być na nogach.

— Jest jeszcze jedna rzecz, której nie będziesz miał szansy jutro zrobić.

— Co takiego? Pocałować cię na dobranoc?

— Po co ten sarkazm, Craig. Nie będziesz miał szansy usiąść w kokpicie. Chodź i przekonaj się, jakie to uczucie.

Craig zszedł z platformy i poszedł za ojcem wzdłuż wysmukłego dziobu pojazdu. Wspiął się przy pomocy ojca do wąskiego kokpitu. Wcisnął się w fotel, a Bradley opuścił pleksiglasową osłonę.

Siedzenie było twarde i niezbyt wygodne, mocno ścisnęło biodra. Z przodu znajdowała się deska rozdzielcza z przejrzystymi i prostymi w obsłudze instrumentami pokładowymi. Wskaźniki paliwa, prędkości, systemu hamowania, zapasowego systemu hamowania, ciśnienia oleju i płynu hydraulicznego. Przez frontową szybę widział szpic dziobową. Odwrócił się w fotelu, ale stąd nie dało się zobaczyć reszty pojazdu. Kierowanie tym potworem musiało przypominać jazdę na czarodziejskiej miotle, pomyślał.

Zaczął odczuwać klaustrofobię. Postukał w pleksiglas, by ojciec go wypuścił, ale Bradley nie usłyszał go od razu. Stał pośrodku hali, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń. Gdy Craig walnął mocniej w owiewkę, ojciec otrząsnął się nagle jak ze snu.

Jednak się boisz, myślał Craig, wyciągając się z głębokiego kokpitu. Twoja duma i próżność pchają cię do wyścigu na tej miotle czarownicy, ale strach paraliżuje cię od środka.

Spojrzał na ojca i powiedział mu o tym, co w nim zobaczył, i wystarczyło mu nieznaczne mrugnięcie powiek, by zrozumieć, że to właśnie była cała prawda. Poszedł z powrotem do pokoju i położył się do łóżka, był jednak zbyt pobudzony i przejęty, by zasnąć.

## ROZDZIAŁ 2

Odgłosy śmiechu i brzdąkania na gitarze niosły się po ogrodzie. Popołudniową porą Corinna Peace leżała w hamaku wyścielonym indiańskimi poduszkami, leniwie trącąc zwieszoną stopą rosnące poniżej kwiaty i udając, że czyta *Szczęki*. Jej ojciec, Tyson Peace, łysiejący mężczyzna z owłosioną klatką piersiową, siedział w bordowych bermudach na zdobionym złoceniami fotelu w stylu Ludwika XV i przeglądał stosy raportów giełdowych.

Ze złością pokręcił głową.

— Pieprzony Metallic znowu spadł — narzekał. — I Potassiums też. Parę lat temu, gdy Metallic tonął, ludzie mówili, że to początek końca świata.

— Może i jest — westchnęła Corinna, dłubiąc w nosie. Jej ojciec spojrział znad papierów.

— Może jest...?

— Początek końca świata, kochany tatku.

— I może wreszcie doczekamy się w tym kraju cygar po dwa centy.

Wrócił do raportów giełdowych, a Corinna do niby czytania. Była wysoką dziewczyną o klasycznie pięknej twarzy. Miała prosty nos, wysokie, wystające kości policzkowe, proste blond włosy i zielone oczy. Niezwykle zielone, jak liście bluszczu albo dna butelek po winie bordoskim. Jej górne zęby wystawały nieznacznie poza dolną wargę, a w wyrazie twarzy było coś, co sprawiało wrażenie, że zaraz zacznie się z kogoś niemiło śmiać. Leżała zupełnie naga. Duży biust o bladych sutkach przypominał piersi króliczków z rozkładówek „Playboya”. Do tego płaski brzuch, zaokrąglone pośladki i niekończące się nogi. Pod-golone jasne włosy łonowe tworzyły serduszko. Nawet nie zamierzała ścisnąć rozchylonych ud, leżąc naprzeciwko ojca, który, gdyby się odwrócił, to mógłby z jednego metra bez problemu dokonać wzrokowej inspekcji różyczki i błyszczących warg sromowych córki.

Ale on się nie odwracał. Nie obchodziło go to. Nazywał się Tyson Peace i był zawdzięczającym wszystko wyłącznie własnej pracy prezesem Peace Pharmaceuticals w Los Angeles. Z tego, co o nim mówiono, można było się domyślić, że w zasadzie miał wszystkich gdzieś. Wargi? Ja muszę robić kasę. Od razu rzucało się w oczy, że urody Corinna nie odziedziczyła po jego rodzinie. Miał krzaczaste siwe brwi, głęboko osadzone oczy neandertalczyka i kluchowaty nos. Niedbałą i nieuzasadnioną złośliwością przypominał przyjaciółom komika i aktora W.C. Fielda. Potrafił wyjąć swojemu pracownikowi długopis z kieszonki

na piersi, celowo go upuścić i gdy tamten schylał się, by go podnieść, kopnąć go w tyłek. Ciężki dowcip, ale wszyscy się śmiali, łącznie z ofiarą tego niby-żartu. Właśnie ten rodzaj humoru bawił Tysona Peace'a.

Przez drzewa jakarandy i żywopłoty z dzikich krzewów przebijały szare dachy i białe kolumny rodzinnej rezydencji o piętnastu sypialniach — największego domu przy North Terrara Drive. Na rozciągającym się aż do doliny terenie znajdowały się korty tenisowe, ogrody kwiatowe, basen kąpielowy w kształcie litery S i słodka grecka altana z jacuzzi. Na podjeździe parkowało kilka białych cadillaców, a po drugiej stronie ogrodu były stajnie. Jak powiedział kiedyś pozbawiony złudzeń jeden z dyrektorów Peace Pharmaceutical: „To miejsce aż pachnie wielką kasą. Co ja mówię? Śmierdzi kasą”.

W ten bezchmurny, gorący dzień Corinna urządziła „małą imprezkę” w domu. Zwykle zapraszała kilka tuzinów znajomych i pozwalała im włóczyć się po terenie bez ciuchów, pić do woli i organizować orgie w krzakach. Ludzie, którzy odwiedzali rezydencję, rzadko zostawali w ubraniach, a szampana dostawali, jak tylko napomknęli, że czegoś by się chętnie napili. Matka Corinny, która umarła dwa lata temu w wypadku w basenie, była ekscentryczną francuską dziwką. Lubiła jeździć w śnieżnobiałym cadillacu Eldorado kompletnie nago, jedynie w brylantowym naszyjniku, za który mogła kupić cały Departament Policji Los Angeles. Policjanci drogowi udawali, że nic nie widzą od czasu, gdy jeden odważny gliniarz dostał z obu stron po pysku za to, że „chciał coś wywąchać”.

Corinna rzuciła *Szczęki* w krzaki.

— Przerośnięta sardyna — prychnęła. — Ta pieprzona ryba nawet się nie bzyka.

Tyson zaszeleścił papierami.

— A może ty idź się bzyknąć. Przynajmniej będę miał trochę spokoju.

Corinna zaczesła włosy palcami do góry jak Brigitte Bardot i odpowiedziała z silnym francuskim akcentem:

— Tyyy myślisz, że ja być jak mojaaa matkaaa, chłopcie?

— Zostaw matkę w spokoju. Chociaż nie udawała, że jest inteligentna. A oni co tu w ogóle robią? To jakiś inny rodzaj seksu?

Corinna zmrużyła oczy, patrząc na dolne ogrody, gdzie grupa nagich mężczyzn i kobiet biegła i śmiała się na trawnikach.

— To nie jest żaden rodzaj seksu, kochany tatusiu, tylko gra w berka.

Tyson wciągnął głośno powietrze nosem.

— Przekłęte dzieciaki. W moich czasach zaczęliby się normalnie, na poważnie pieprzyć.

— To właśnie problem z twoimi czasami — odparła Corinna — pieprzenie się było na poważnie. Nie zdawaliście sobie sprawy, że można to robić dla zabawy.

Tyson pochylił głowę nad papierami.

— Moje kochane dziecko, za to wy kiedyś umrzecie ze śmiechu.

Z podjazdu zabrzmiał klakson samochodu. Corinna zsunęła się z hamaka i wsunęła stopy w zdobione złotą nitką klapki.

— To pewnie Petta. Miała przyprowadzić bardzo interesującego mężczyznę. Ciekawa jestem kto to.

— Albo co to? — mruknął Tyson. — Ostatnim razem przywiozła owczarka niemieckiego, który pieprzył wszystko, co się ruszało i nie uciekało na drzewo. I rzucił się też na tę twoją koleżankę, jak jej tam na imię?

— Ellie. Ale Elli kocha psy.

— Są najwyraźniej różne rodzaje kochania. Ja kocham pieniądze, ale nie chodzę z wackiem w portfelu.

— Hej, Perta! Jak leci! Chodź tu do nas! Masz ochotę na kąpiel w basenie?

Po przystrzyżonym równo trawniku szła delikatna i ładna brunetka z kręconymi włosami i tak długimi sztucznymi rękami, że mogłaby spowodować huragan, gdyby szybko nimi zatrzepotała. Miała na sobie dzinsy i koszulkę. Zbliżywszy się do nich, zrzuciła spodnie i górę, ukazując małe, sterczące piersi.

Tuż za nią szedł wysoki, kościsty, młody mężczyzna z jednodniowym zarostem, gładkimi czarnymi włosami i błyszczącymi oczami. Nosił luźną koszulę i obcisłe czarne spodnie wpuszczone w wysokie buty do jazdy konnej. Żarłał się z nieba, ale mężczyzna wyglądał, jakby było mu zimno i niezbyt komfortowo. Zatrzymał się kilka kroków przed nimi, oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się dookoła.

— Jak tam? — rzucił Tyson Peace.

Mężczyzna się nie odezwał, ledwie skinął głową, odpowiadając na powitanie. Miał duży ostry nos, który Corinna porównała do ostrza siekiery. Jej zdaniem przypominał zakichanego bohatera rewolucji francuskiej — bufiaste rękawy koszuli i na wpół zagłodzona twarz wilka.

Petta podeszła do Corinny i pocałowała ją w usta.

— To jest Hal. Musisz go poznać. Jest taki charyzmatyczny. Nawet się nie rozbierze. Podejrzewam, że ma coś okropnego na ciele i nie chce tego nikomu pokazywać. Hal, kochanie, to nasza gospodyni — Corinna.

Corinna stanęła pół metra przed nowo przybyłym i zmierzyla go wzrokiem od stóp do głów. Chociaż była nago, mężczyzna skupił wzrok na jej oczach i nawet przez moment nie spojrzął na jej ciało. Zauważyła to. Była właśnie taką dziewczyną.

— Miło cię poznać, Hal — powitała go z najmniejszym ze swoich uśmiechów. — Zrzuć z siebie łachy, jest strasznie gorąco, i idziemy się wykąpać w basenie.

W jego błyszczących oczach nie dostrzegła akceptacji ani radości. Wyglądał na faceta, który może zachichotać raz na trzy lata i robi to wtedy, gdy usłyszy, że zawałła się klatka schodowa, grzebiąc pod sobą ludzi albo koń kopnął starca w głowę, rozpryskując mu mózg.

— Nazywam się Hal Shocks — odparł obcy niemalże szeptem. — Zdejmę ubranie, jeśli będę miał na to ochotę. Jestem Mistrzem, a swoje ciało pokazuję jedynie moim wybranym uczniom.

Tyson Peace wyłowił zmiętą chusteczkę z kieszeni bermudów i wydmuchał nos.

— Kim pan jesteś, panie Shocks? Jakimś religijnym świrem? Drugim Chrystusem czy co?

Hal Shocks nie odwrócił oczu od Corinny. Tysonowi odpowiedział kącikiem ust.

— Niektórzy właśnie tak mówią.

— To wielkie dzięki niech będą Bogu! — odparł Peace. — Może zrobisz jakieś cuda na giełdzie? Mógłbyś zacząć od akcji *Metallics*...

Hal Shocks popatrzył na niego. Przez chwilę nic nie mówił, tylko opuścił długie czarne rzęsy, jakby szukał właściwych słów.

— Panie Peace — odezwał się wreszcie miękkim głosem. — Przypuszczalnie dożyje pan chwili, gdy będzie pan żałował swojego podejścia do życia.

Powiedziawszy to, ruszył wolnym krokiem w dół wzniesienia jak cień chmury przesuwał się przed tarczą słońca.

— Pieprzenie — skomentował Tyson Peace, patrząc z zaskoczeniem na oddalającego się mężczyznę.

♦♦♦

Przez całe popołudnie Hal Shocks siedział kompletnie sam w cieniu topoli, rozglądając się i nie mówiąc zbyt wiele. Goście podchodzili do niego, witali się i nie dostając w zamian nic więcej poza kilkoma słowami i chłodnym skinieniem głowy, odpływali w dal ogrodu.

Leżąc obok basenu po kąpeli, Corinna przyglądała mu się przez lustrzane okulary przeciwsłoneczne i zastanawiała się, o czym on, do licha, może myśleć. Gościł na imprezie już od kilku godzin, nic nie zjarał, nie wypił, nie wciągnął nosem, nie puknął żadnej laski, nie uwalil się. Coś utrzymywało jego umysł w chmurach, ale na pewno nie była to koka ani żadne inne dragi.

Coś sprawiało, że nie mogła od niego oderwać wzroku. Nawet gdy się odwracała, jej świadomość pozostawała skupiona na jego chłodnej i nieruchomej sylwetce pod drzewem. On nawet nie spojrzął w jej stronę, po prostu tam był, ale Corinna czuła jego obecność jak kostkę lodu w tylnej kieszeni spodni.

Po drugiej stronie basenu stał w lekkim rozkroku opalony muskularny facet w typie studenta, a młoda ruda dziewczyna robiła mu laskę, biorąc w usta jego członek, aż po jądra. Koleś jęczał z zachwyty:

— Hej... pięknie... aaa... świetnie...

Corinna odwróciła się, nawet nie mrugnawszy okiem. Trochę wolności dla młodych Amerykanów, a będą tylko powtarzać „hejjj...” i czytać nowelkę *Jonathan Livingston Seagull* Richarda Bacha. Spojrzała w ich stronę jeszcze raz, ruda właśnie wypluwała z ust ciągnącą się białą wydzielinę.

— Hej! — zawołała Corinna. — Cieszę się, że wasz związek się rozwija.

Muskularny facet drapał się po głowie jak wariat i zakłopotany powtarzał ciągle:

— Wszystko dobrze, Darlene? Naprawdę okay? Ruda zamknęła usta i nie odpowiedziała ani słowem. Corinna

rozejrzała się dookoła. O tej porze dnia, około czwartej po południu, upał zwykle obezwładniał jej gości i większość z nich leżała rozłożona na słońcu. W takich chwilach na widok rozłożonych na trawniku nagich ciał opanowywało ją zwykle poczucie braterstwa i bezpieczeństwa, ale dzisiaj odbierała to wszystko inaczej i nawet nie wiedziała dlaczego. Goście zdawali się niemalże odrażający, jak kawałki niedopieczzonego mięsa ze szpeciniastymi kępkami włosów łonowych.

Spojrzała w kierunku Hala Shocksa. Siedział w tym samym miejscu pod topolą, chłodny i wyniosły jak jakiś pieprzony guru. Wstała i ruszyła w stronę domu.

W środku panował chłód dzięki włączonej klimatyzacji. Rozległy hol pokryty był drogimi, ale niepasującymi do siebie perskimi dywanami; ściany obwieszono obrazami z okresu wiktoriańskiego, elementami hiszpańskich zbroi i wypchanymi głowami zwierząt. Corinna lekko wspinała się po schodach, jej sutki sterczały od chłodnego powietrza; przeszła do własnej sypialni wyłożonym niebieską wykładziną korytarzem.

Otworzyła drzwi. Pośrodku pokoju królowało łóżko z czterema wspornikami i purpurowym baldachimem wyszywanym złotą nicią. Pod ścianą stała zabytkowa komoda w stylu Ludwika XV i dwa krzesła z drewna giętego w stylu angielskim. Z balkonu widać było cały ogród łącznie z basenem i topolą, ale nie samego Hala Shocksa. Corinna weszła szybko do oddzielnej garderoby (z jakiegoś rozebranego starego francuskiego *chateau*) i wybrała długą po kostki tunikę z pomarańczowego jedwabiu. Wsunęła ją przez głowę i obejrzała się w lustrze.

Gdybym miała jakąś bieliznę, to może nawet bym ją włożyła teraz na siebie, pomyślała. Jej matka nigdy nie nosiła bielizny i ona też nie. Jeśli ten Hal Shocks będzie tego chciał, to może sobie coś kupię. Rozczesała włosy, rozpyliła na sobie zapach Joy i wyszła do ogrodu.

Hal siedział w tym samym miejscu. Jego czarna jastrzębia głowa była lekko pochylona. Dłonie oparł na kolanach. Nie podniósł nawet głowy, gdy usiadła obok niego, ale na pewno wiedział, że to ona.

— Ubrałam się — powiedziała.

Hal skupił na niej wzrok, ale i tak nie potrafiła niczego wyczytać z jego oczu.

— Wiedziałem, że tak zrobisz — odparł szeptem. — Wiedziałem o tym już od chwili, gdy cię zobaczyłem. Jesteś tutaj jedyną osobą, która to zrozumiała.

Corinna pochyliła się w jego stronę i zapytała:

— Naprawdę jesteś Mistrzem? Mistrzem czego?

Podniósł dłoń.

— Nie powinnaś o to pytać. Jeszcze nie teraz. Ale prawdę powiadam ci, że jestem Mistrzem. Panem wszystkich mistrzów. Niektórzy mówią, że jestem Drugim Przyjściem Chrystusa, ale jestem kimś innym.

— Chciałabym wiedzieć, co zamierzasz. To znaczy... jesteś taki... taki silny w sobie. Siedzisz sam, a inni łązą dookoła jak obdarte z łuski krewetki.

Skinął głową.

— Pójdiesz ze mną? — zapytał.

— Z tobą? No... jasne. Ale dokąd? Jeśli chcesz, możemy iść do mojego pokoju. Jeśli chciałbyś to zrobić bez podglądaczy. Tata nie będzie miał nic przeciwko temu. Kiedyś bzykałam się na środku trawnika, a on po prostu przeszedł nade mną.

Hal Shocks pokręcił głową.

— Nie to miałem na myśli. To jest rodzaj przeżycia, ale dość pospolitego, zwykłego. Obserwując, jak się zachowujesz, odgaduję, że tobie potrzeba czegoś niezwykłego.

— A skąd ty to możesz wiedzieć, co? — Corinna zwilżyła usta językiem, a jej ciemnozielone oczy jeszcze bardziej zwilgotniały. W tym Halu kryło się coś, co sprawiało, że czuła podniecenie seksualne, ale do końca nie wiedziała, co to takiego. Może po prostu tylko tyle, że nie był nią fizycznie zainteresowany. Zdała sobie właśnie sprawę że on jej odmówił seksu. Był pierwszym facetem, który powiedział „nie” jej cipce, a Corinna nie wiedziała, co na ten temat myśleć.

— Bo poszłaś i się ubrałaś, stąd to wiem — odpowiedział szeptem Hal. — Postępując właśnie tak, przyjęłaś do wiadomości, że jestem Mistrzem i że wszyscy, którzy chcą za mną iść, muszą wykonywać moje polecenia.

— No dobrze, ale co teraz? Jeśli nie chcesz się bzykać, to co robimy?

Hal Shocks popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

— Czy wierzysz w prawdziwe ostateczne doświadczenie? Mówię o ostatecznym doznaniu.

Corinna mrugnęła powiekami.

— Mówisz o... o takim czymś jak śmierć?

— Nie o umieraniu, ale o stanięciu oko w oko ze śmiercią.

— No chyba kiedyś mnie to czeka. Chyba wszystkich nas to czeka.

Hal Shocks wstał. Corinna zrobiła to samo i stała obok niego przejęta i ciekawa. Działo się coś, nad czym całkowicie straciła kontrolę, i chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała.

— Corinno, czy chcesz stanąć twarzą w twarz ze śmiercią? Który dzisiaj jest?

— Dwudziesty szósty lipca.

— Czy chcesz kiedyś móc powiedzieć: „Dwudziestego szóstego lipca stanęłam oko w oko ze śmiercią i znam to z własnego doświadczenia”?

Spojrzała mu oczy i nadal nic z nich nie potrafiła odczytać. Żadnych wskazówek, żadnej pomocy, żadnych

podpowiedzi. Zaoferował jej za to prawdziwie ostateczne doznanie — najbardziej ekstremalne ze wszystkich, więc skoro oferta była aktualna, to jak mogła ją zignorować albo z niej zrezygnować. Wisiała przed nią jak most linowy i jeśli po nim nie przejdzie, to jej życie straci jakiegokolwiek znaczenie. Ale czy moje życie w ogóle jest coś warte? Na pewno nie będzie, dopóki nie pokonam tego mostu, myślała. Jestem tylko zepsuta, bogata, cycata „do-poruchania-przez-każdego” nastolatka, a przecież musi być w życiu coś więcej niż tylko to, co do tej pory mi się przydarzało.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, on już chyba wiedział, że będzie to „tak”.

Prawie nikt nie zauważył, że poszli przez podjazd w stronę domu. Tyson Peace nadal był zajęty studiowaniem notowań giełdowych. Założył nawet na głowę słomkowy kapelusz, by chronić łysinę przed słońcem. Corinna i Hal przeszli koło niego jak cienie.

Wsiadli do kabrioletu cadillaca eldorado zaparkowanego za domem. Corinna usiadła na miejscu pasażera, Hal Shocks za kierownicą. Uruchomił ośmiolitrowy silnik i odjechali z piskiem opon.

Corinna spoglądała na ręce spoczywające na kolanach, jakby były dwoma rannymi ptakami. Ciepły wiatr rozwiewał jej włosy. Cadillac dotoczył się do końca podjazdu, przejechał przez bramę i wjechał na North Terrara Drive. Co ja tu, do licha, robię, zastanawiała się. Dokąd jedziemy? Czy on naprawdę mówił, że mamy umrzeć?

Spojrzała z ukosa na Hala. Na jego profil o zarysach ostrza siekiery. Prowadził spokojnie i roztropnie, w odpowiednich momentach włączał kierunkowskazy. Nie wyglądał na szalonego. Ale miarą ich wspólnego szaleństwa było to, że nie potrafiła nawet zapytać go, czy zginą. Czuli się zbyt skrępowana. Przepraszam pana, czy my właśnie zamierzamy umrzeć? A jeśli tak, to w jaki sposób? To nie wydawało się możliwe. Z boku minęli rząd drzew. Chyba to wszystko mi się śni. Nazywam się Corinna Peace. Mam dziewiętnaście lat. Niedługo umrę.

— Jedziemy na autostradę! — zawołał Hal Shocks, przekrzykując szum powietrza.

— Dobra — odpowiedziała, bo nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć.

Jechali serpentynami wśród wzgórz, mijając równo przystrzyżone trawniki i podjazdy prowadzące do modnych, wielopiętrowych rezydencji rozłożonych na pochyłościach terenu. Corinna widziała pracujących ogrodników i zraszacze tworzące tęcze nad trawnikami i nagle poczuła, że nie chce być w żadnym innym miejscu poza tym, w którym właśnie się znajduje.

Hal Shocks zdawał się wyczuwać jej drżącą lojalność.

— Chyba się nie boisz?! — zawołał. — Właśnie na tym to wszystko polega, stawimy czoło śmierci i już nigdy nie będziesz się niczego bała.

— No, sama nie wiem. — Przelknęła ślinę. — Nie wiem, czy tego chcę. Naprawdę nie wiem.

— Oczywiście, że wiesz. Jesteś przecież ze mną. Jestem Mistrzem, moja osoba cię chroni, okrywa jak płaszcz. Nigdy nie umrzesz, gdy jestem z tobą, by cię chronić. Sama umiesz czynić cuda, przekonasz się.

Dojeżdżali do autostrady. Panował upał, powietrze było pełne kurzu z poboczy. Ślimakiem wjechali na autostradę i wtedy Hal Shocks zaczął przyspieszać. Mknęli coraz szybciej i szybciej, a asfalt uciekał spod kół z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Wyprzedzali inne samochody, Hal trąbił, by ustępowały im miejsca. Z olbrzymią szybkością mijali szpalery drzew, wzgórze, domy, ogrodzenia, mosty.

— Co chcesz zrobić?! — krzyczała Corinna. Dłońmi osłaniała uszy. Od wpadającego do kabiny powietrza jedwabna tunika przykleiła się do jej długich nóg. — Hal! Nie potrafię tego! Boję się!

— To magia! — wrzeszczał Shocks. — Ostateczne doznanie!

Na liczniku widniało sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Krajobraz po bokach rozmywał się w plamy koloru pustyni. Corinna przymknęła na chwilę powieki i modliła się, żeby to się skończyło. Była tak przerażona, że zaczęła się moczyć.

— Jesteś gotowa?! — zawołał Hal Shocks. Jego twarz poblądła od wiatru. Brodę pokrywała szczołka zarostu, a ciemne oczy błyszczały jak wtedy, gdy po raz pierwszy obrzucił ją wzrokiem. Z jakiegoś niewytłumaczonego powodu dopiero teraz zauważyła, że na każdym palcu nosił srebrny pierścień lub obrączkę. Nawet na kciukach.

— Na co gotowa? — odkrzyknęła.

— Na ostateczne doznanie! Na przywitanie śmierci!

— Ale co mam zrobić?

— Wyobraź sobie...! — krzyczał — wyobraź sobie, że wcale się nie poruszamy!

— O co ci chodzi? Nic z tego nie rozumiem!

— To proste! Jeśli staliibyśmy, to co byś zrobiła?

— Nie wiem! Chyba bym wysiadła!

Spojrzała na niego koszmarnie przerażona. Nic nie odpowiedział, tylko skinął głową. Odwróciła wzrok na drogę, która sunęła pod samochodem z prędkością ponad stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, okrutna, bezkompromisowa, płynąca rzeka asfaltu. Wyjście z auta byłoby jak podłożenie głowy pod piłę łańcuchową.

— Hal! Nie mogę tego zrobić! Przecież ja się zabiję!

— Ale to jest właśnie spojrzenie śmierci w oczy! To jest śmierć! Metr obok! Tuż przy tobie, zagląda ci do oczu! Jak możesz ją ignorować?

— Nie potrafię! Nie dam rady!

— Corinno, musisz! Jak można tak żyć, jeśli nie zdołasz stawić czoła śmierci?

Prawie wpadła w histerię. Ciągnęła się za włosy to w jedną, to w drugą stronę, posikała się po nogach ze strachu. Czuli przyływy grozy wewnątrz ciała, ale obecność Hala Shocksa działała na nią jak potężna zimna siła, której nie

potrafiła z siebie strząsnąć. Wiedziała, że nie musi wyskakiwać z samochodu, a jednocześnie coś ciągnęło jej umysł i ciało w stronę klamki do drzwi, i zdawała sobie sprawę, że za kilka sekund wystawi nogę za próg auta. Droga poniżej uciekała z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

— Wsiadaj! — zawołał Hal Shocks. — Wsiadaj!

Pociągnęła za klamkę. Wiatr porwał drzwi i zaczął nimi uderzać, wykręcając jej nadgarstek. Trzymając się krawędzi przedniej szyby, podniosła się, niepewnie utrzymując równowagę, czując zimny mocz na tyle sukienki. Miała zaciśnięte powieki, strumień pędzącego powietrza uderzał prosto w twarz. Tunika powiewała jak szalona na wietrze.

Zaczęła niezdarnie odpychać drzwi kolanem. Próbowała odwrócić się do Hala, ale nie potrafiła. Serce jej waliło, w ustach czuła piasek. Ile jeszcze jej zostało? Dwie sekundy? Trzy? O Boże, nie chcę wysiadać i się zabić!

— Bądź naturalna! — krzyczał Shocks. — Pomyśl, że gdzie zaparkowałaś i wysiadasz, żeby kupić smakołyki na lunch.

Jej umysł wyłączył się jak przepalona lampa kineskopu telewizyjnego. Była świadoma ryku wiatru i ogromnej prędkości. Była świadoma wypychania drzwi. Każdy przecież mógł chodzić po drodze. Ale dlaczego nie zrobić tego teraz? Postawiła nogę i wstała.

Miała wrażenie, że ktoś walnął ją w plecy, mocno. Poczula nagłe uderzenie w lewą nogę i później wydawało się jej, że leci nad drogą, długo... długo... i opada wielką, zwariowaną parabolą na ziemię. Coś, jakby zwirowaty ogień, wybuchło w ramieniu i wbiło się w biodro. Nie potrafiła się zatrzymać. Toczyła się, toczyła i toczyła, a za każdym razem ogień przypalał ją jeszcze mocniej, aż stoczyła się na pobocze. Zobaczyła własną rękę, jej ciało znieruchomiało. Leżała z twarzą na betonie, wpatrując się w najdrobniejsze szczegóły szczelin i kamyczków tworzących nawierzchnię.

Nie czuła bólu. Ktoś podbiegł i tuż przed nosem ujrzała buty. Znoszone buty kierowcy ciężarówki. Na ich boku był nadruk czerwonymi literami: Mac. Przybiegł jeszcze ktoś. Usłyszała głos:

— Jezu Chryste! Urwało jej całą nogę.

Wiedziała, że ten głos mówił prawdę, a ona leżała na betonowej nawierzchni autostrady i płakała prawdziwymi łzami.

♦♦♦

Ojciec przyniósł butelkę szampana. Corinna leżała na łóżku opuchnięta, ale udało jej się upić z pół kieliszka. Minęło osiem tygodni od wypadku i powoli wracała do zdrowia. Pokój szpitalny był pomalowany uspokajającą zielenią, okna zostawiono otwarte, by wpadało przez nie świeże górskie powietrze. Miała kolorowy telewizor, stereo, mnóstwo czasopism — wszystko, czego mogła zapragnąć młoda dziewczyna. Z korytarza dochodziły melodyjne głosy

pielęgniarek w wykrochmalonych fartuchach, pocieszających pacjentów podczas obchodu.

— Dobrze ci tutaj? — zapytał Tyson Peace, przysiadając tłustym tyłkiem na krawędzi krzesła. Miał na sobie wyprasowany jasnobrązowy garnitur, koszulę w paski i krawat, który do niczego nie pasował. Przetarł łysą głowę szarą chusteczką i pociągnął nosem.

— Jest okay — odparła miękkim głosem. — Mogło być gorzej.

Tyson nalał sobie trochę szampana i głośno go wysiorbał.

— Za tę cenę to jestem zdziwiony, że nie masz basenu ze szczerzego złota.

Corinna popatrzyła mu prosto w oczy.

— Nie mogę używać basenu, bobym z niego spadła. Muszę używać tuby.

Tyson skrzywił się.

— No dobra, przepraszam. No to powinni dać ci złotą tubę.

Pokręciła obandażowaną głową. Przynajmniej mogła już nią ruszać. Zdjęli większość szwów z twarzy i Corinna wyglądała jak Rocky Marciano po przegranej walce.

— Tato. Jeśli jest jedna rzecz, której nie posiadasz, to jest to klasa.

— No tak. A ja mogę się tylko domyślać, że częścią twojej klasy jest wypadanie z pierdolonego samochodu przy prędkości stu osiemdziesięciu na godzinę.

— Nie wypadłam. Już to mówiłam.

Tyson Peace z niedowierzaniem wykrzywił twarz.

— Gówno prawda. Wiele rzeczy można o tobie powiedzieć — dobrych i złych. I do tych dobrych należy to, że nie jesteś świrem. Tylko świra byłoby stać na skok z auta przy prędkości stu osiemdziesięciu. Każdy wiedziałby, że musi upaść. A szok przypuszczalnie pomieszał ci w głowie. Ale nie martw się, wyjdiesz z tego.

— Wyjdę z tego? Z jedną nogą?

Tyson wzruszył ramionami.

— Słuchaj, nie chcę, żebyś przez to, co zamierzam ci powiedzieć, pomyślała, że cię nie kocham, ale musisz stawić czoło prawdzie.

Corinna zmrzyła powieki.

— Tak właśnie mówił Hal Shocks.

— Pieprzyć Hala Shocks, jeśli w ogóle uda się go kiedyś odnaleźć. Zrozum, że straciłaś nogę. I nie ma sensu dłużej rozpaczać. Lekarze powiedzieli, że mogło być gorzej. Przynajmniej został kawałek uda, żeby dopasować... no... jak to się nazywa... protezę. Teraz naprawdę robią doskonałe protezy. Na przykład Steve Austin. On ma protezę całego ciała. Nikt nawet nie zorientuje się, że masz sztuczną nogę.

Z podkrążonych oczu Corinny popłynęły łzy.

— Tato — zaczęła gorzkim tonem — przecież większość czasu spędzałam nago. Myślisz, że nikt nie zauważy?

— Jezu, nie możesz przecież chodzić nago przez całe życie.

— Wcale nie będę mogła chodzić!

— Wiele kobiet żyje z jedną nogą albo ręką i nawet wychodzą za mąż...

— Ja nie chcę wychodzić za mąż. Jeśli ktokolwiek będzie chciał się ze mną ożenić, to chyba tylko z litości. Czy uważasz, że potrzebna mi litość?

Tyson przełknął ostatni łyżeczek szampana. Był już ciepły, więc skrzywił usta.

— Nie wiem, co ci powiedzieć. Próbuję cię pocieszać, kochanie, ale nie znam piękniejszych słów.

Zaczęła walić obandażowaną ręką w pościel.

— Spójrz tu! Słowa nie zwrócą mi nogi!

Tyson wstał.

— Wiem, że nie, głupolku! Ale nikt nie kazał ci wyskakiwać z pędzącego samochodu!

— Właśnie, że tak — pochylając głowę, odpowiedziała tak cicho, że jej ojciec nic nie usłyszał. — Ktoś kazał mi wyskoczyć i ten ktoś za to zapłaci.

Pielęgniarka otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

— Przepraszam, panie Peace, ale właśnie czas na badanie panny Peace.

Tyson podniósł kapelusz ze stoliczka stojącego koło łóżka. Postąpił jeszcze przez chwilę, pochylił się i bardzo delikatnie, bardzo czule pocałował córkę prosto w usta.

— Wiem o tym, Corinno, że czasem zachowuję się jak stary, durny gnojek. Przepraszam cię za to, bo to oznacza, że nie doceniam tego, co dzięki tobie mam. Całe życie spędziłem, budując fortunę, a to znaczy, że ominęło mnie kilka rzeczy, które życie ze sobą nosło. Myślę o tobie. Pewnie to, co ci się przytrafiło, jest także częściowo moją winą. Szukałaś ojca w niewłaściwym człowieku. Nie wypytuj mnie o szczegóły, bo nie jestem Froodem, albo jak tam ten facet się nazywał. I teraz mogę zrobić tylko jedną rzecz. Dać ci wszystko, co tylko można kupić za pieniądze.

Corinna leżała w bandażach, a łzy spływały po jej twarzy. Tyson Peace, po raz pierwszy od piętnastu lat odkrył, że jego oczy też potrafią się wypełnić łzami. Był pewnie bardziej sentymentalny niż prawdziwie współczujący, ale wiedział, że kocha córkę. Miał tylko ją na całym świecie.

Corinna podniosła zabandażowaną dłoń i położyła na jego ręce.

— Dziękuję ci, tato — wyszeptwała. — Ja też cię kocham, ty stary durny gnojku.

♦♦♦

Była już późna jesień, gdy pozwolono jej opuścić szpital. Kikut nogi zagoił się, a Corinna zaczęła przybierać na wadze. Miała jeszcze blizny na twarzy malujące tajemniczą mapę osobistych przeżyć, ale chirurdzy plastyczni twierdzili, że i tak udało im się usunąć te najgorsze. Pozostała piękna, choć na jej twarzy odbijała się jakaś osobliwość, pewna nieregularność rysów, która sprawiała, że przyjaciele odwracali wzrok, a obcy przypatrywali się jej z zaciekawieniem.

Ku własnemu zdziwieniu, zaakceptowała kikut. Nie był pokryty bliznami ani przerażający, tylko gładki i różowy — widać było zaczynającą się nogę, która nagle kończyła się w nicości. Przez pierwsze kilka tygodni odczuwała bóle rzekome w nieistniejącym kolanie i stopie, ale po pewnym czasie te dziwne wrażenia ustały i oswoiła się ze swoim kalectwem, chociaż nie podejrzewała, że w ogóle będzie to możliwe.

Nie potrafiła jednak się oswoić ze wspomnieniem, w jaki sposób straciła nogę. Często budziła się zlna potem, a w snach trzymała się poruszanych wiatrem drzwi pędzącego eldorado. Przeżywała jeszcze raz te same sceny, gdy jej nieświadomy umysł podpowiadał: „Jest w porządku — możesz wysiąść!”.

Nadal nie mogła zapomnieć twarzy Hala Shocksa. Policja z Los Angeles wystawiła nakaz zatrzymania samochodu piętnaście minut po wypadku, ale Shocks zniknął jak iluzjonista. Wielu śledczych pojawiło się w szpitalu i notowali pilnie to, co starała im się opowiedzieć, ale jedynym przestępstwem Shocksa była kradzież samochodu, więc policja szybko straciła zainteresowanie tą sprawą.

Dni powracania do zdrowia mijały jej na czytaniu kiepskich romansideł i klasycznych powieści, słuchaniu starych acidrockowych płyt, jedzeniu owoców i wpatrywaniu się w trawnik i topolę, pod którą Hal Shocks ją zahipnotyzował. Wiele razy śniło jej się, że widzi siebie rozmawiającą z Halem, a ona sama wali w drzwi balkonowe, by ostrzec siebie przed tym, co miało się wydarzyć.

Najbardziej frustrowało ją to, że nie poznała absolutnie niczego nowego w wyniku wypadku. Hal Shocks wmawiał jej, że stanie oko w oko z własną śmiercią. Wyskoczyła z samochodu, bo przez ułamek sekundy udało jej się samą siebie przekonać, że jest nieśmiertelna. Nadal bała się śmierci tak samo jak kiedyś. A tak naprawdę, to nawet bardziej niż kiedyś. Na sobie poznała, jaka jest krucha i słaba.

Pierwszego listopada siedziała na łóżku w swoim pokoju z oprawionym w skórę wydaniem *Braci Karamazow*, gdy nagle do drzwi zapukał jej ojciec.

— Corinna? Masz gościa.

Odłożyła książkę i brzaskwinę, którą właśnie jadła. Jej czyste blond włosy skręcały się w fale, a jasny makijaż skrywał najgorsze blizny. Miała na sobie niebiesko-grafitową bluzkę z dzianiny z szerokimi rękawami do łokcia i pełno srebrnych pobrzękujących bransolet na nadgarstku. Od pasa w dół była naga. Jej goła prawa noga i kikut lewej nogi spoczywały na kapie, a pomiędzy nimi kręciły się włosy łonowe. Już nie były wygolone na kształt serduszka, ale uczesane szczotką w złociste loczki.

— Kto to jest, tato? Jestem zmęczona.

Tyson Peace też wyglądał na zmęczonego i tak się czuł, a do tego był stary i łysy. Zarządzanie największą korporacją farmaceutyczną na Zachodnim Wybrzeżu i jednoczesne opiekowanie się córką z amputowaną nogą okazało się wcale

niełatwe. Oczywiście, że do pomocy w domu miał dwie gosposie, kucharza i szofera na każde zawołanie. Pielęgniarki Corinny przychodziły cztery razy w tygodniu na wizyty kontrolne i pielęgnacyjne, ale całe to zamieszanie wyczerpywało go. Po kilku miesiącach Tyson złapał się na tym, że zastanawia się, czy do końca życia będzie już uziemiony z jednonogą córką. A miał nadzieję na spokojną emeryturkę na Jamajce...

— Mówi, że jest twoim starym przyjacielem. Przyjechał kawał drogi z Frisco, by przywieźć ci kwiaty.

— Chyba nie jest to... — rozpaczliwie westchnęła, przeżywając nieracjonalny strach.

— Rany boskie! Czy myślisz, że bym go tu wpuścił? Nakarmiłbym nim psy, gdyby pojawił się w okolicy. Po małym kawałeczku. Nie, to jest, jak-tam-on-się-nazywa" — ten facet w okularach o polskim nazwisku. Spojrzała na niego zaskoczona.

— Pewnie masz na myśli Leona! O, to świetnie! Wpuść go na górę. Nie widziałam go całe wieki!

Tyson skinął głową. Odwrócił się, ale jeszcze raz spojrzął na nagi kikut.

— Nie uważasz, że powinnaś...

— Nie, tato. Leon i ja byliśmy kochankami. Widział moją siuszkę wielokrotnie. I musi się przyzwyczaić do tego, że mam teraz jedną nogę. Musi samodzielnie stawić temu czoło.

Tyson wzruszył ramionami.

— Okay, to twoja noga i twoje łono.

Gdy schodził, zastanawiał się, czy jako ojciec powinien czuć się zazdrosny o to, że obcy mężczyźni oglądają waginę jego córki. Może inni ojcowie byliby zazdrośni. Ale nie on. To okropne aż tak analizować swoje zachowanie, pomyślał. Przypomniał sobie matkę Corinny i zdał sobie sprawę, że nawet przez chwilę nie żałował, że jej prochy użyźniają glebę wokół rododendronów w ogrodzie.

Leon Suskicz stał w holu, trzymając wielki bukiet kwiatów i przypatrywał się wypłowiałemu późnowiktoriańskiemu obrazowi przedstawiającemu jelenie osaczone podczas polowania. Miał trzydzieści pięć lat, był wysoki i solidnie zbudowany Szeroką szczęką przypominał Clarka Kenta. Nosił okulary bez oprawek. Chodził, jak skomentował to kiedyś Tyson, jakby „próbował utyzymać sreberko od gumy do żucia między poślaskami". Miał na sobie granatową marynarkę od garnituru i wyprasowane w kant spodnie.

— Corinna zaprasza do siebie. To trzeci pokój po prawej.

— Dziękuję, panie Peace. Proszę mi powiedzieć — to jest chyba bardzo stary obraz?

— Tak. To osaczone jelenie. W epoce wiktoriańskiej mieli prawdziwego bzika na punkcie polowania na jelenie. Królowa Wiktoria była oczarowana Szkocją. No wiesz, tymi ich pledami, kiltami i kobzami. Więc cała reszta Brytanii przejęła tę modę na jelenie i wszystkie inne folkowe rzeczy.

— Jestem pod wrażeniem pana wiedzy, panie Peace.

Tyson wciągnął głośno powietrze w płuca.

— To, że jestem bogaty, nie oznacza, że jestem głupi. A poza tym, gdybyś przetarł sobie okulary, to mógłbyś to wszystko przeczytać na mosiężnej plakietce pod obrazem.

Leon nie wiedział, czy się śmiać, czy nie. Zdecydował, że jednak nie. Skinął poważnie głową i poszedł do góry, niosąc kwiaty przed sobą, wyprostowany i muskularny ze sreberkiem mocno trzymającym się w tyłku. Tyson pokręcił tylko głową i mruknął:

— Głupi kutas.

Corinna wyprostowała się w łóżku, gdy Leon zapukał do drzwi i wsunął głowę do pokoju.

— Leon! Wchodź, proszę! Miło cię widzieć!

Jedno musiała mu oddać — miał nerwy ze stali. Nawet nie mrugnął, gdy spojrzął na goły kikut. Wręczył jej kwiaty i pochylił się nad łóżkiem, by pocałować ją w policzek.

— Wiesz co? Jesteś moim pierwszym prawdziwym gościem. Aż do tego wypadku myślałam, że mam przyjaciół. Dostałam kilka kartek z życzeniami powrotu do zdrowia i może ze dwa bukiety. I to wszystko. Nikt z nich nawet nie odwiedził mnie w szpitalu.

Leon usiadł. Jego twarz była wielka i nijaka. Corinna zaczęła się zastanawiać, jak mogła kiedyś w ogóle uważać go za atrakcyjnego mężczyznę. Nie miał nawet dużego członka.

— Nie potrafił się dokładnie ogolić. Na brodzie zawsze zostawiał kępki ostrego zarostu.

— Przyjechałbym wcześniej, gdybym tylko wiedział, co się stało — przyznał. — Uważałem, że potrzebujesz trochę czasu, by oswoić się z nową sytuacją. Dzwoniłem kilka razy do twojego ojca, żeby dowiedzieć się, jak się czujesz. Mniejsza z tym, najważniejsze, że udało mi się przyjechać.

Corinna wyciągnęła do niego rękę. Leon wyczuł w jej palcach poskładane kości, szwy i miejsca przeszczepionej skóry. Nie spojrzął w dół, tylko trzymał jej dłoń, nie ściskając jej za mocno.

— Czy noga cię nie denerwuje? — zapytał.

— Niby jak? Przecież jej nie mam.

Zaczerwienił się.

— Miałem na myśli ki... to, co zostało. Nie boli cię już?

— Czasami. Lekarze mówią, że będzie trochę bolało, gdy będą dopasowywać protezę. Ale to most, po którym przejdę, gdy do niego dotrę. Nie wiem, jak będzie, Leon. Staram się kontrolować emocje. Staram się być spokojna. To jedyny sposób na poradzenie sobie z tym wszystkim. Przynajmniej żyję. Kiedyś mówiłam, że wolałabym umrzeć, niż stracić urodę, ale gdy jesteś w szpitalu i walczysz o życie, to uroda jest ostatnią rzeczą, którą należy się przejmować. Gdy dzieje się coś takiego, to najważniejszą rzeczą jest przetrwanie.

Leon spojrzął na czubki swoich szpiczastych butów.

— Chyba masz rację. Tak też mówi mój ojciec.

— A co u niego?

Na twarzy Leona pojawił się grymas.

— Można by powiedzieć, że przechodzi przez zwariowany okres wieku średniego. W jednej chwili jest pełen



energii i zaangażowania, a za chwilę wpada w dziwne nastroje i depresje, i mówi o bezsensie wszystkiego. Nawet nie wiem, jak na to wszystko reagować. Stracił wielki prestiżowy kontrakt i od tego czasu bardzo się zmienił. Interesy też nie idą najlepiej.

— Siedzi w mrożonkach?

Leon spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Nie, w silnikach napędowych. Corinna poczuła od Leona zapach fiołków.

— Pachniesz fiołkami.

Leon splonął się lekko.

— To z przyzwyczajenia. Mama kazała mi ssać fiołkowe cukierki odświeżające oddech przed wyjściem z domu.

— Rodzice to wariaci — skomentowała Corinna. — A czym się teraz zajmujesz? Nadal pracujesz w agencji?

— Nie. Rzuciłem tę robotę. Nie nadaję się do pracy w reklamie. To zupełnie nie moja para kaloszy. Chyba jestem na to za wrażliwy.

— Wrażliwy?

— No wiesz. Jestem zbyt liryczny. Hasła reklamowe powinny być zwięzłe i lapidarne, nie zawierać ani krztyny poezji. „Produkujemy dobre samochody. Bo chcemy, żeby były dobre. I one dobrze się sprawują na drodze. I są dobre”. Jezu, Corinna, moja nauczycielka od angielskiego powiedziała, że jest we mnie duch Tennysona.

— Więc co teraz robisz?

— Pracuję w firmie ojca. Zajmuję się sprawą tego kontraktu, który spierniczył. Mam zadanie specjalne.

Corinna przekrzywiła się dziwnie w łóżku. Leon nie zaoferował pomocy i zastanawiała się, czy nie chce być posądzony o przesadną troskliwość, czy też po prostu nie zauważył, że ona siedzi w niewygodnej pozycji.

— To chyba jakaś nuda — stwierdziła. — Zawsze wydawało mi się, że chcesz pisać wiersze.

— Nie, to wcale nie jest nudne. Nawet dużo się uczę. Uczę się, jak być bezwzględny. To zadziwiające, jak trudno to osiągnąć. Jeśli chcesz zostać wielkim biznesmenem, musisz być twardy dla personelu i dla konkurencji, ale dwa razy bardziej twardy dla siebie.

Corinna sięgnęła po brzoskwinię. Tym razem Leon zauważył ten ruch i podał jej jedną z koszyka. Wgryzła się we włochatą skórkę i soczysty miąższ. Zawsze porównywała jedzenie brzoskwini do lizania clitoris. Może właśnie dlatego tak je lubiła. Sok spływał jej po brodzie na pościel. To było bardzo zmysłowe.

— Nie wiem, co powiedzieć. — Wzruszyła ramionami. — Wygląda na to, że dałeś się wciągnąć w konformizm systemu kapitalistycznego.

Leon rozejrzał się po bogato umeblowanej sypialni Corinny.

— A co ty tu masz dookoła? Owoce komunizmu?

— Wiesz co? Wydaje mi się, że jesteś za bardzo żądny krwi.

— Ale to jest podniecające. I potrafi też być niebezpieczne. A przynajmniej nie muszę siedzieć za biurkiem i pierdzieć w stołek.

— Niebezpieczne? A co takiego niebezpiecznego twój ojciec kiedykolwiek zrobił?

Leon przysunął krzesło bliżej łóżka. Jego oczy się zaświeciły zupełnie jak dziecku.

— Opowiem ci, ale nie wolno ci nikomu tego powtórzyć. Ani słowa. No więc jest taki facet, Bradley Winger. Musiałś o nim słyszeć.

— Nigdy nie słyszałam tego nazwiska — odparła, kręcąc głową.

— Nie ma znaczenia. Ten Bradley Winger był niezłym kierowcą wyścigowym, ale teraz już jest podstarzały i wpłynął na kilka korporacji, takich jak Magnesium Speed i Former Tire, żeby wyłożyły dziewięć milionów dolarów na próbę bicia lądowego rekordu świata w prędkości.

— To dla mnie jak łacina. Co to do licha ma wspólnego z tobą? Leon, przecież ty pisałeś takie ładne wierszyki. „Myślę o tobie, serce mi stuka, jak statek w nocy, coś tam, coś tam...”.

Leon machnął rękami.

— Corinno, słuchaj, co do ciebie mówię. No i ten facet chce ustanowić nowy rekord świata. Bradley Winger potrzebuje do tego celu samochodu, jasne? Specjalnego, szybkiego samochodu, rozumiesz?

— Łapię. Specjalny samochód. — Corinna skinęła głową jak niecierpliwa uczennica.

— Okay. Jeśli on buduje dla siebie specjalny samochód, to potrzebuje do niego silnika rakietowego, i wtedy pojawia się mój ojciec. Bradley Winger przyjechał do jego warsztatu w Port Arthur w Teksasie i podpisał kontrakt na silnik rakietowy o wielkiej mocy.

— To świetnie — przyznała Corinna, wyglądając przez okno. Dzień powoli szarzał, a nad ogrodem pojawiał się dziwny granatowy mrok.

Leon wstał. Pomarańczowe słońce, którego ona nie mogła zobaczyć, odbijało się w zausznikach jego okularów.

— Problem w tym — ciągnął Leon — że jakaś ekipa z Kokomo w Indianie dowiedziała się o tym projekcie i zaoferowała znacznie niższą cenę. Bradley Winger znalazł jakieś wytłumaczenie, by wycofać się z umowy, i zostawił mojego ojca z w połowie ukończonym silnikiem rakietowym, kupą zaciągniętych kredytów i niczym, co można by sprzedać.

Corinna postukała się w kikut. Był dziwnie wrażliwy i żywy.

— Ten Bradley Winger to jakiś gnojek — skomentowała. — Ale skoro inny silnik był tańszy, więc kto może go winić za wolny wybór?

— Ja go winię — odparł Leon z nagłą porywcznością w głosie. — Wiem, że ci faceci z Indiany dali mu łapówkę i nawet sfinansowali prawników, żeby wykręcił się z umowy z moim ojcem. I to jest właśnie moje specjalne zadanie.

Corinna podniosła oczy.

— To co jest tym zadaniem?

— Muszę zrobić coś takiego, żeby Bradleyowi Wingerowi nie udało się osiągnąć swojego celu.

— Masz na myśli sabotaż?

— Jeśli będzie to konieczne. On zniszczył mojego ojca, a ja zniszczę jego.

— Ale co on zrobił tobie? Czy jesteś stróżem biznesu swojego ojca?

Leon roześmiał się gorzko.

— Chyba sobie żartujesz? Gdy stuknie mi czterdziestka, to biznes ojca przejdzie na mnie. Kiedyś była to firma o wartości pięćdziesięciu milionów dolarów. Teraz jest warta dwa centy i pudełko sznurówek do butów. I wszystko dzięki Bradleyowi Wingerowi.

Corinna spojrzała na Leona z zażenowaniem. Zawsze miała go za zrównoważonego, zabawnego i romantycznego owczarka. Przychodził na jej imprezy i czerwieniał się, gdy się rozbierał. Ale teraz zauważyła w nim coś, czego wcześniej nie dostrzegła. Coś twardego. Brutalnego. Znała to. Spozregła to już u ojca. Zimna przyjemność z kopania innych w tyłek. Fanatyczna żądza zemsty. Spuściła wzrok i zaczęła się zastanawiać nad tym, co stało się z jej życiem, co stało się z przyjaciółmi.

Podniosła wzrok. Na nadgarstku zabręczały delikatnie srebrne bransolety.

— Leonie. Pieprz się ze mną.

Znaczenie jej słów nie dotarło do niego za pierwszym razem. Dopiero po chwili je zrozumiał. Zagryzł usta i patrzył na podłogę przed sobą. W końcu odezwał się.

— Posłuchaj, Corinna. Muszę już lecieć. Ale może wpadnę w przyszłym tygodniu i jeszcze pogadamy.

Nic nie odpowiedziała.

Odwrócił się jeszcze do niej w drzwiach i powiedział:

— To wszystko, o czym ci mówiłem, o tych silnikach raketowych. Nie powtórzysz...

Znużona pokręciła głową. Zamknął za sobą drzwi.

Po wyjściu Leona leżała przez dłuższą chwilę, dotykając się delikatnie palcem między nogami. Pomyślała, że pewnie od tej chwili będzie musiała być całkowicie samowystarczalna w tej kwestii.

O brzasku Craig usłyszał samochód przejeżdżający obok hotelu i kierujący się w stronę Ogden, na północ. Przypomniał to sobie później, bo obudził go z drzemki. Spojrzał wtedy na zegarek leżący na nocnym stoliku. Sarah nadal była pogrążona we śnie, zwinięta jak mała dziewczynka z kciukiem w buzi. Pocałował jej kasztanowe loki i po cichu wstał z łóżka. Sarah poruszyła się i powiedziała:

— Craig...?

— Nie przejmuj się. Nie musisz jeszcze wstawać. Idę siku. Niezbyt dobrze spałem.

Ziewnęła i przewróciła się na drugi bok.

— Która godzina?

— Po piątej.

Poszedł do łazienki się załatwić. Nad zbiornikiem dolnopłuku wisiało lustro. Zobaczył w nim bladą i wymizerowaną twarz. Miał sucho w ustach i ogólnie czuł się paskudnie. Wolałby teraz być w zupełnie innym miejscu. Synowskie zobowiązania wobec Bradleya Wingera okazywały się nieraz nudniejsze, niż można było to sobie wyobrazić. Ale, co tam... niedługo to wszystko się skończy.

Oplukał twarz wodą, umył zęby i z pianą po paście do zębów dookoła ust podszedł do okna i wyjrzał. To, co zobaczył, nie wydawało się niczym niezwykłym, ale gdy myślał o tym później, coś w tym wszystkim było nie tak. Timeri Orari, niski ciemnoskóry mężczyzna, stał za rogiem szarej hali warsztatu i palił papierosa, szurając butami o piach.

Craig opuścił rozchylone zasłony.

— Jaki dziś będzie dzień? — zapytała Sarah.

— Chyba ostateczny. Pogoda jest w porządku. Ale wolałbym, żeby była kiepska.

— O której twój ojciec ma zamiar się zabić?

— Jakoś wcześniej. Zanim płaszczyzny solne nagrzeją się od słońca. Opony muszą wytrzymać ciśnienie trzystu osiemdziesięciu pięciu kilogramów.

— To nic mi nie mówi.

— Mnie też nie.

— Da się tu napić kawy?

Craig stuknął wieszakami na ubrania w szafie w poszukiwaniu swoich dzinsów.

— Zdaje się, że sami będziemy musieli ją sobie zrobić.

Usłyszeli stukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytał Craig.

— To ja — odpowiedziała Marjhorie. — Przyszłam do was, bo usłyszałam, że rozmawiacie. W nocy nawet nie zmrużyłam oka.

— Wejdz, proszę. Chyba wszyscy nie wyglądamy najlepiej.

Od razu zauważył, że Marjhorie nie spała w nocy. Pod oczami widniały ciemne półksiężycy, a jej włosy były starannie ułożone jak zwykle w ciągu dnia. Miała na sobie błękitny jedwabny szlafrok i puchate błękitne kapcie. Craig zasunął suwak dzinsów, włożył koszulę i przysunął matce fotel.

### ROZDZIAŁ 3

— O trzeciej nad ranem zszedłem do warsztatu i rozmawiałem z ojcem. Powiedziałem mu, że powinien odpocząć. Nawet nie wiem, czy mnie posłuchał.

Marjhorie wyciągnęła z kieszeni szlafroka papierosy. Zapaliła jednego i wypuściła sine kłęby dymu.

— Nie wrócił do mnie do pokoju — wyznała. — Czasem ucina sobie drzemkę w warsztacie. Chyba jest za bardzo tym wszystkim przejęty, by zasnąć. Timeri krząta się na dole od czwartej rano. Tankował *Fireflasha*. Reszta zespołu znajduje się tam już niedługo.

Sarah usiadła w łóżku.

— Może zejdę zobaczyć, czy mamy szansę na kawę?

Marjhorie skinęła głową.

— Jeśli to zrobisz, to zostanę kochającą cię teściową na wieki wieków, amen.

Sarah zarzuciła na siebie dziecięcy różowy szlafroczek i wyszła z pokoju w poszukiwaniu kawy. Craig przykucnął koło matki i położył dłoń na jej ręce.

— Mamo, on już kiedyś przecież bił różne rekordy. Wszystko będzie dobrze.

Milczała, zaciągnęła się dymem z papierosa i pokręciła głową.

— Musisz zrozumieć, że on potrzebuje takiego kopa — tłumaczył jej Craig. — Ojciec nie radzi sobie ze sobą, dopóki nie wie, że jest w czymś najlepszy.

Marjhorie westchnęła.

— Gdyby to było tylko to, łatwo bym to zaakceptowała.

— O co innego masz na myśli?

— Nic takiego. To nie ma znaczenia.

— Wręcz przeciwnie! Jeśli mój ojciec chce ryzykować życie, to chyba powinnaś mi powiedzieć.

— Craig, to może mieć znaczenie, ale to nie musi być twoja sprawa. — Marjhorie się uśmiechnęła.

— Oczywiście, że to moja sprawa, przecież on jest moim ojcem!

— A ty jesteś jego synem. Ale to też nie upoważnia go, żeby wiedział wszystko na twój temat, prawda?

— Naturalnie, do pewnych granic — odparł, marszcząc brwi.

Marjhorie skinęła głową.

— No właśnie. Do pewnych granic. Bradley też ma pewne granice. Są pewne rzeczy, których ojciec nigdy nie powie synowi za żadne skarby świata. I vice versa. I tak powinno pozostać.

Craig wstał.

— Porębana filozofia. Wolałbym, żeby ten głupi gnojek po prostu tego nie robił i to wszystko.

Marjhorie też wstała. Craig miał właśnie coś powiedzieć, gdy trzasnęła go na odlew w twarz tak mocno, że o mało nie przewrócił się na łóżko. Złapał ją za nadgarstek i wykręcił rękę, zanim zdążył się zorientować, co zrobił.

— Po co to, kurwa, było, co?! — krzyknął.

— Nigdy więcej nie mów tak o ojcu! Nigdy! Craig był zdziwiony.

— Ale, mamo, przecież to słowo jest wyrazem... nie wiem... poirytowania.

— Nie obchodzi mnie to. Bradley jest twoim ojcem, a moim mężem i nie wolno ci używać wobec niego wulgarnych określeń. Stajesz się coraz gorszy.

Craig potarł policzek w zamyśleniu.

— Gorszy od czego? Gorszy od starego tatulka?

— Możliwe.

— Więc chcesz powiedzieć, że jestem gorszy od niego?

— On przynajmniej ma odwagę wziąć życie w swoje ręce.

— Co to jest? Przemowa na cześć spuścizny heroizmu? Już słyszałem to z pierwszej ręki.

— On jest odważny. Nigdy o tym nie zapomnij.

— Nikt by mi na to nie pozwolił. I nikt nigdy nie pozwoli mi zapomnieć, że jestem jednym wielkim rozczarowaniem w waszym kręgu. Syn, który woli spokojne i bezpieczne życie i nie poniesie rodzinnego znicza, który ojciec tak desperacko pragnie mu przekazać. Mamo, życie to nie jest sztafeta. Nie muszę zaczynać z miejsca, w którym skończył ojciec, tylko dlatego że jestem jego synem. Nie chcę być kierowcą rajdowym. Nudzi mnie to jak jasna cholera. Nie chcę ścigać się w kółko w malutkich samochodzikach z nadzieją, że uda mi się wyprzedzić wszystkich po kolei. Nie chcę siedzieć w piętnastometrowych rurach wypchanych paliwem raketowym i jeździć po solnych jeziorach z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. To jest po prostu nudne. Jestem inżynierem, dobrym, pomysłowym inżynierem. Jednym z nowego typu inżynierów. Mam ładną żonę i małe, ale wygodne mieszkanie w Nowym Jorku i nie muszę ponosić żadnego ryzyka, gdy przechodzę na drugą stronę ulicy. Bez względu na to, jakie radości mój ojciec czerpie z jeżdżenia samochodami z silnikiem raketowym, to ja nie zamierzam ich poznawać.

Marjhorie zaciągnęła się po raz ostatni i zgasiła papierosa.

— Cieszę się, że on tego nie słyszy.

— A chcesz, żebym mu to powiedział? Nie mam nic przeciwko temu. Nie boję się go.

— Wiem, że się go nie boisz. Ja też nie. Ale chyba obydwójce boimy się, że może zginąć.

— No proszę, wreszcie sama to przyznałaś. Wreszcie przyznałaś, że coś, co robi, jest ryzykowne i niebezpieczne.

— Nic nie przyznałam, Craig. Ja tylko mówię, że go kocham na dobre i na złe, i że żadne z nas nie chce, by zginął.

— W porządku, jeśli tak właśnie jest, idź do niego natychmiast i poproś, żeby tego nie robił. Zagroź, że odejdziesz od niego, jeśli zdecyduje się na próbę. Powiedz, że nie będziesz patrzeć na to, jak ryzykuje własną głową.

Marjhorie zmrużyła powieki.

— No dalej — zachęcał Craig. — Idź na dół i oświadczyć mu to.

Pokręciła głową.

— Nie masz pojęcia o pewnych rzeczach, Craig. Dobrze wiesz, że nigdy nie potrafiłabym mu tego powiedzieć.

— Dlaczego?

— Bo on zrobiłby to, o co bym go poprosiła. A to sprawiłoby, że pozostałby wśród nas jako duch człowieka do końca naszego małżeństwa.

Rozległo się stukanie do drzwi. Wróciła Sarah z kawą.

Craig pomógł jej z imbrykiem, kubeczkami i śmietanką.

— Wpadłam na Timeriego. To jakiś starszy facet, co nie?

— Dlaczego?

— No, nie wiem. Ale czy czasami nie wydaje się wam, że ktoś chce, żebyście zesli mu z drogi jak najszybciej? Właśnie odniosłam takie wrażenie. Zupełnie jakby zamierzał się z kimś spotkać i nie życzył sobie, żebym była w pobliżu.

Craig upił łyżeczek kawy i wzruszył ramionami.

— Nieprzeniknieni Azjaci właśnie tacy są.

— Jacy?

— Nieprzeniknieni. Chcesz papierosa?

♦♦♦

Timeri Orari odczekał cztery czy pięć minut, zanim wrócił do hali warsztatowej. Przeszedł wzdłuż *Fireflasha 4*, oglądając go uważnie. Czuł suchość w ustach i szybkie bicie serca. Sam jeździł wyścigowymi samochodami i wiedział, jakie reakcje powstają w umyśle kierowcy. Strach. Napięcie. I poczucie winy. Sprawdził zasuwę pokrywy kokpitu, instrumenty pokładowe, drążek sterujący, opony i koła. Wspiął się na platformę i skontrolował gąszcz przewodów elektrycznych i zawory silnika raketowego. Wiedział, co sam by zrobił, gdyby chciał ingerować w poprawność działania systemów, ale właśnie tam nic nie wykrył. Timeri obszedł ogon *Fireflasha* i sprawdził komory spadochronów hamujących. Nic. Zaczął się zastanawiać, czy ten człowiek w ogóle cokolwiek ruszał.

Musiał coś zmienić, bo nie płaci się dwudziestu tysięcy dolarów tak sobie. Timeri wyjął starannie złożoną chustkę i dokładnie wytarł twarz i szyję, próbując uspokoić przyspieszone bicie serca. Zachowuj się normalnie i nikt niczego nie zauważy. Ten mężczyzna obiecał, że Bradleyowi nic się nie stanie, a to było najważniejsze. Zawsze mógł przecież podjąć jeszcze jedną próbę.

Trzech młodych inżynierów pojawiło się w warsztacie z ustami pełnymi muffinów.

— Cześć, Timeri. Przepraszamy za spóźnienie. Zaspaliśmy. Jak tankowanie?

Timeri zmusił się do uśmiechu.

— Wszystko podłączone. Najpierw lejemy zerolene, a potem ciekły tlen. Jest piąta czterdzieści pięć, a to znaczy, że o siódmej piętnaście powinniśmy zakończyć tankowanie. Bądźcie ostrożni z tym cylindrem, zauważyłem zaparowanie wokół zaworów, może być nieznaczny wyciek. Biermy się do roboty.

Z uczuciem ołowianej ciężkości Timeri pomógł inżynierom uruchomić pompy. *Fireflash 4* bardzo wiele dla niego

znaczył. Może nawet więcej niż dla Bradleya Wingera. To właśnie dzięki geniuszowi technicznemu Timeriego przekuto błędy poprzednich konstrukcji w klinowaty kształt obecnego nadwozia *Fireflasha 4*, a każda jego krawędź czarnej karoserii była namacalnym efektem gorzkich rozczarowań i przeklętych nadziei wypełniających wyczerpujące noce nad deskami kreślarskimi i nużącymi dniami na stanowiskach pomiarowych. Tam, gdzie Bradley Winger blefował i czarował, Orari musiał mieć techniczną wrażliwość i umiejętności, których pewnie Bradley nie potrafił do końca docenić. Linie powietrza opływającego elementy karoserii w tunelu aerodynamicznym były dla Timeriego jak farby do malowania obrazów. Potrafił wygładzić owiewkę, zmienić układ piki dziobowej, przyciąć tylny statecznik i wyprasować każdą najmniejszą turbulencję, którą tworzył pojazd raketowy, przecinając powietrze. Co więcej, Timeri rozumiał silniki raketowe, jak rodzice rozumieją własne dzieci. Opóźniony zapłon, fałszywy odgłos i już wyłączał zespół silnika, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, że coś mogłoby być nie w porządku.

— Dobra! — krzyknął Sam McCook, jeden ze starszych mechaników. — Zmieńcie pompę, gdy ta tutaj dobieje do dziesięciu. Okay, jest pięknie.

Ale wcale nie było tak pięknie. Timeri czuł napięcie i przeraźliwy strach. To przez te dwadzieścia tysięcy dolarów w używanych banknotach, zamknięte w walizce w pokoju hotelowym.

Tankowanie odbywało się powoli i ostrożnie. Nie należało się śpieszyć, ponieważ zerolene, nowe paliwo, które stworzyła firma Propulsion Laboratories, współdziałając z Peace Pharmaceuticals z Los Angeles, było bardzo niestabilne i wybuchowe. Jeden błąd i cały warsztat wylatuje w powietrze jak dom Dorotki w *Czarowniku z Oz*.

O szóstej trzydzieści w warsztacie pojawił się Bradley Winger. Był wykąpany, ogolony i w dobrej formie. Miał na sobie ogniodporną bieliznę i pachniał wodą Monsieur Lanvin. Podszedł wprost do Timeriego i klepnął go w plecy.

— Jak leci, Tim?

Timeri uśmiechnął się lekko.

— Wszystko okay. Tankujemy powoli, bo nie chcemy zbyt dużej kompresji w zbyt krótkim czasie. Powinniśmy skończyć o siódmej dwadzieścia.

Z biura projektowego wyszedł młody, ostrzyżony na jeża blondyn z podkładką na dokumenty.

— Keith, jakie dziś warunki na torze? — zapytał Bradley. Keith podrapał się końcówką ołówka nad uchem.

— Doskonałe, panie Winger. Byłem tam z Jerrym pół godziny temu, wieje lekki wiatr poprzeczny, ale ma najwyżej cztery do pięciu węzłów.

— A powierzchnia?

— Gładka i sucha. O ile pozostanie pan w pasie dwudziestu metrów toru, to nie powinno być żadnych problemów.

— To świetnie — odparł Bradley. — Dobra robota. Timeri obserwował Bradleya kątem oka, gdy ten obchodził

*Fireflasha 4*. Po raz pierwszy Orari dostrzegł siwe włosy i rosnący brzuszek Bradleya. W swojej ognioodpornej bieliznie wyglądał jak stary góral w kalesonach sprawdzający produkcję bimbru w piwniczce. Raczej nie był to wygląd godny bohatera. I wtedy Timeri poczuł głęboki wstyd. Wiedział, skąd brały się te myśli i porównania. Wziął pieniądze za zdradę Bradleya Wingera, a gdy zrobi się coś takiego, to koniec z przyjaźnią. Cena, którą zapłacił za dwadzieścia tysięcy dolarów, była większa, niż mógł to wcześniej pojąć.

Bradley zatrzymał się i zmarszczył czoło. Serce Timeriego zamarło.

— Tim — zawołał Bradley. — Pozwól tutaj. Co to jest?

Timeri przekazał kontrolę nad pompami paliwa Samowi McCookowi, pochylił się pod błyszczącym cielskiem *Fireflasha* i podszedł do Bradleya z wymuszonym uśmiechem.

— Co się stało, Bradley?

— Hamulce powietrzne. Czy tu jest wszystko w porządku?

Hamulcami powietrznymi były dwa wielkie stalowe perforowane panele, które otwierały się na boki po obu stronach statecznika pionowego i służyły zwiększeniu oporu aerodynamicznego pojazdu. Timeri przyglądał się intensywnie hamulcom powietrznym, ale prawie nie widział samych hamulców, a tym bardziej żadnej usterki. Ani śladów manipulowania.

— Nic nie widzę. A co ci się tu nie podoba?

— Wydaje mi się, że nie są dokładnie spasowane. Czy możesz poprosić Phila, żeby je odchylił?

— Jasne. Phil! Włącz hamulce powietrzne!

Phil, kościsty młodzieniec w grubych okularach, wspiął się do kokpitu i zaczął szukać dźwigni otwierania hamulców. Timeri uśmiechał się i pocił, i pocił się i uśmiechał, i miał cholerną nadzieję, że ten tajemniczy mężczyzna, który go przekupił, nie zrobił czegoś tak głupiego i oczywistego, jak wsadzenie do komory hamulców powietrznych ładunku wybuchowego. Rozwinął chusteczkę i po raz kolejny przetarł twarz z potu.

— Gorąco, co? — zapytał Bradley.

Timeri był dziś kłębkim nerwów. Wszyscy tak się przejmowali. Ale Bradley szczególnie. Bo to on wkrótce zasiądzie za kierownicą tego potwora.

Zaświszczało i hydrauliczny system uchylił panele. Timeri nawet nie spojrzął do środka. Kawaleczek taśmy izolującej przypadkowo znalazł się na krawędzi domknięcia, gdy ostatnio sprawdzali hamulce powietrzne. Bradley wziął go w palce i się uśmiechnął.

— Przepraszam, że jestem taki czepialski, Tim. Ale to ja pojedę tym wielkim potworem. Miejmy nadzieję, że nie znajdziemy już żadnych innych usterek.

— Miejmy nadzieję — odparł Timeri, przelękając ślinę.

Bradley przeprowadzał skrupulatną inspekcję, a Timeri wrócił do tankowania. Minęła siódma i byli prawie gotowi.

O siódmej pięć przyjechali oficjalni specjaliści pomiaru prędkości. Bradley właśnie przebierał się w swój „skafander kosmonauty”. Zapinając suwak, przywitał inżynierów wyciągniętą dłonią.

— Witajcie, chłopaki. Tym razem dostarczymy wam specjalnych atrakcji.

— Życzymy powodzenia, panie Winger.

Phil i Timeri pomogli mu zapiąć do końca kombinezon i włożyć na głowę czarny kask lotniczy. Bradley podniósł przyciemniany wizjer i wyglądał teraz jak rycerz w pełnej zbroi. O siódmej jedenaście wspiął się do kokpitu *Fireflasha* i przeprowadził ostateczny test instrumentów i przełączników.

Bradley Winger siedział w kabinie kierowcy jak jeździec na dzikim rumaku, gdy w bramie pojawiła się Marjhorie w białej sukience, białym kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych. Phil trącił Timeriego, ale ten odwrócił wzrok. Miał nadzieję, że obcy mężczyzna, który go przekupił, nie zrobił czegoś głupiego. Ale skoro manipulacji przy pojeździe nikt nie potrafił wykryć, ani Timeri, ani Bradley, to jak głupie to mogło być? No i tamten obiecał, że Wingerowi nie stanie się żadna krzywda. Będzie tylko gwizd zamiast świstu powietrza.

Marjhorie podeszła do długiego dziobu pojazdu. Timeri zobaczył, że rozmawiają, ale nic nie słyszał. Ciekły tlen w zbiornikach rakiety zaczynał gotować się w pobliżu zaworów i Timeri chciał, żeby pojazd wyjechał z hali. Im prędzej dojdzie do faska próby, tym lepiej.

O siódmej siedemnaście zbiorniki były pełne. Ed Painter wjechał tyłem forda pick-upu przez bramę hangaru ze specjalnym wózkiem do holowania *Fireflasha*. Bradley Winger wychylił się z kokpitu i chyba pocałował żonę albo szepnął jej coś do ucha. Marjhorie odwróciła się szybko i poszła do samochodu, w którym siedzieli już Craig i Sarah.

Z wyciem silnika półciągarówka powoli wysuwała się z hali, ciągnąc za sobą *Fireflasha 4*. Dopiero gdy raketowy wehikuł znalazł się na zewnątrz, Craig zdał sobie sprawę z tego, jak wielka to była maszyna. Owiewka kokpitu nadal pozostawała uniesiona. Craig widział w środku ojca w czarnym kasku. Białe smużki gotującego się ciekłego tlenu ulatniały się z podbrzusza wehikułu. Mechanicy, inżynierowie pomiaru prędkości i reszta zespołu pakowali się do swoich samochodów, by odprowadzić maszynę do bicia rekordu świata na tor. Marjhorie siedziała z tyłu, więc Craig nie widział wyrazu jej twarzy. Ale nawet bez oglądania się wiedział, że ona płacze. Łzy, pomyślał gorzko. Mój ojciec zawsze tylko przynosi nam łzy. I jeszcze ta

śmiechu warta maszyna i ten załosny kask, i te uniesione kciuki podczas holowania go na tor. Aaa... Chuj z nim!

Jedenaście minut trwało holowanie *Fireflasha 4* na początek toru. Ławica samochodów płynęła za nim jak drobne rybki za wielkim wielorybem zabójcą, na końcu zatrzymała się w półkolu i wszyscy wysiedli. Paru reporterów nakręciło krótkie reportaże. Choć była dopiero siódma trzydzieści, solne jeziora błyszczały od słonecznego żaru. Craig też wysiadł i rozejrzał się dookoła. W oddali malowały się postrzępione łańcuchy górskie. Za plecami zostało skupisko kilkudziesięciu budynków zwane miasteczkiem Uinta. Wokoło rozciągały się piekące w oczy płaskie pola soli.

— Twój starszerek chce z tobą słówko — zawołał z pick-upu na Craiga Sam McCook.

— Serio? — Craig podniósł brwi.

— Jasne, tylko się pospieszcie. Tim zaczyna spręzać tlen i wtedy ruszamy.

Craig poszedł za Samem do niemal nienaturalnego chłodnego cienia rzucanego przez *Fireflasha*. Phil pomógł mu wspiąć się po schodkach ciasnego kokpitu, w którym siedział ojciec.

— Craig? — zaczął Bradley Winger. — Ruszamy za kilka minut. Życzysz mi powodzenia?

Craig popatrzył na głęboko pociętą zmarszczkami twarz ojca otoczoną czarną maską kasku.

— Nie, tato. Nie będę ci nic życzył. Ty nie potrzebujesz teraz szczęścia. Potrzebujesz zdrowego umysłu. Czy mogę cię prosić, byś zrezygnował z próby? Byś zszedł na dół i powiedział wszystkim, że rezygnujesz z bicia rekordu?

Bradley Winger przetarł kropelki potu z nosa. Patrzył na syna, jakby chciał zdecydować, czy uderzyć go w twarz, czy też nie. W końcu powiedział:

— Nie, Craig. Nie możesz o to prosić. A jeśli nie chcesz mi życzyć szczęścia, to... dajmy temu spokój.

Craig zszedł po szczebelkach. Phil wydał wargi, jakby chciał powiedzieć: „Wszyscy próbowaliśmy go od tego odciągnąć, ale nas nie słuchał”. Bradley Winger opuścił wizjer i wyciągnął rękę, by opuścić pleksiglasową owiewkę kokpitu.

Craig był w połowie drogi do samochodu. Zobaczył opuszczającą się owiewkę. Nagle zaczął krzyczeć:

— Tato! Tato! Powodzenia, tato! — Ale jego ojciec nie mógł już tego usłyszeć, pleksiglas domknął się i uszczelnił kabinę, wydając przy tym dźwięk przypominający pocałunek.

♦♦♦

Piętnaście minut po ósmej odłączono przewody doprowadzające ciekły tlen i Ed Painter odjechał pick-upem od *Fireflasha 4*. Długi czarny stwór był gotów do walki. Craig słyszał zniekształcony głos ojca przez radio w głośniku pick-upu. Nie były to słowa, lecz płatanina liczb.

Zmrużył oczy i spojrzał na rozległe solne pola, które szklily się mirażami jezior i stawów. Wiał gorący, suchy

wiatr. Sarah wyszła z samochodu i stanęła obok. Głowę chroniła słomkowym kapeluszem, a na sobie miała dżinsowy kostium. Marjhorie pozostała w samochodzie, siedziała bez ruchu, w ciszy, z pochyloną głową, bojąc się wdowieństwa, jak wyniku jakiegoś okropnie trudnego egzaminu.

— Jak myślisz, uda mu się? — zapytała Sarah, mrużąc oczy przed słońcem.

— Nie wiem. Mam nadzieję. Tak naprawdę, to boję się tego, że nie pobije rekordu i będzie chciał spróbować jeszcze raz.

Wziął Sarah za rękę. Spojrzał na jej łobuzerską, dziecięcą twarz i poczuł znajomy przypływ opiekuńczości. Zawsze wyglądała tak dziewczęco i bezbronne. Czuł się przy niej jak stary mędrzec — niemalże jak ojciec. Z głośnika pick-upu usłyszał głos ojca potwierdzającego procedury zapłonu.

Timeri Orari machnął ręką do najbliższego inżyniera pomiaru czasu.

— Jesteśmy gotowi! — zawołał.

Inżynier, który rozstawił sprzęt pomiarowy na małym rozkładanym stoliczku obok swojego samochodu, pomachał mu ręką w odpowiedzi.

Bradley Winger miał przejechać *Fireflashem 4* niespełna dwa kilometry, potem zawrócić i rozpędzić się jeszcze raz. Inżynierowie przeprowadzali podwójny pomiar i wyciągali średnią z obydwu przebiegów, a to oznaczało konieczność dwukrotnego osiągnięcia maksymalnych prędkości. Jeśli Bradley nie pobije rekordu za pierwszym razem, to będzie rozpędzał pojazd jak wariat za drugim razem.

— Gotów! — krzyknął jeszcze raz Timeri. — Zapłon!

Rozległ się dźwięk, jakby ktoś upuścił tonę poduszek na piasek. Z dyszy ogonowej *Fireflasha 4* wyleciała ognista kula i została odepchnięta przez wylatujące niczym pioruny spaliny. Craig i Sarah zasłonili uszy dłońmi. Ziemia drżała. Hałas dawał złudzenie rozdzierającego się pod ich stopami gruntu.

Wzrastała siła ciągu raketowego silnika wehikułu. Bradley Winger nie zwalniał hamulców; *Fireflash 4* wyglądał jak czarna puma na uwięzi szykująca się do krwiożerczego skoku. Ryk silnika stał się nie do zniesienia, nawet gałki oczne zaczęły drżeć od wibracji powietrza. Przerażona Sarah patrzyła na raketowy pojazd z niedowierzaniem.

Timeri po raz drugi podniósł rękę. Bradley Winger kiwnął głową z kokpitu i zwolnił hamulce. Z rozdzierającym powietrze rykiem *Fireflash 4* ruszył przez solne jezioro. Sekundy później był już daleko. Craig i Sarah słyszeli jedynie dolatujący z oddali pomruk rakiety i widzieli żółty płomień z dyszy przedzierający się przez chmury pyłu i dymu.

Z głośnika w pick-upie słyszeli głos Bradleya Wingera przekazujący komentarze i informacje w momencie pokonywania pierwszego kilometra. Przy prędkości przekraczającej tysiąc sto kilometrów na godzinę odległość pomiędzy punktami pomiaru pokona w pięć i jedną dziesiątą sekundy. Jego głos był opanowany i twardy. Mimo wcześniejszych

prób bicia rekordu prędkości Bradley zauważył, że jest cały spięty i zdenerwowany.

— Czas: jedenaście sekund — rzucił. — Dochodzę do ośmiuset. Za wolno. Osiemset osiemdziesiąt pięć. Dziewięćset pięćdziesiąt. Sześćdziesiąt pięć. Tysiąc. Nadal za wolno. Widzę pierwszy marker. Szybciej, suko! Dziesięć. Dwadzieścia. Trzydzieści. Mijam marker—już! Tysiąc sześćdziesiąt. Siedemdziesiąt. Drugi marker — już!

Craig spojrział na Sarah i zagryzł wargę. Za wolno. Może nie za wolno, żeby pobić rekord świata, ale za wolno dla ego Bradleya Wingera. Obiecał sobie tysiąc sto kilometrów i nie dopiął swego. Craig znał dobrze ojca i czuł, że będzie próbował osiągnąć zamierzony cel jeszcze raz.

Z oddali dochodził do nich ryk zawracającego *Fireflasha*. Potwór potrzebował ponad dziesięciu kilometrów po obwodzie, by zawrócić na niespełna dwukilometrowy odcinek toru. Bradley nie skomentował ani słowem zbyt niskiej prędkości podczas pierwszego biegu i odczytywał dane z mierników paliwa. W jego głosie nie było złości ani rozczarowania. Wszyscy wiedzieli jednak, co odczuwał. Craig odwrócił się, matka wysiadła z samochodu i stanęła tuż za nim, jej napięta twarz zdradzała wielki stres. Skinął na Sarah, która podeszła i objęła ją ramieniem. Marjhorie nawet nie zareagowała. Skupiła wzrok na ciemnym punkciku na jasnym horyzoncie, gdzie jej mąż zmagął się z przeszło siedmioma tysiącami kilogramów siły ciągu i z własną próżnością.

— Wraca — oznajmił Timeri.

Ryk raketowego silnika się nasilał. Usłyszeli głos Bradleya z głośnika odbiornika radiowego.

— Tym razem się uda. Dziewięćset pięćdziesiąt. Dziewięćset sześćdziesiąt. Osiemdziesiąt. Tysiąc. Tysiąc pięćnaście. Widzę pierwszy marker. Tysiąc trzydzieści. Pięćdziesiąt pięć. Szybciej, do licha! Sześćdziesiąt. Siedemdziesiąt. Osiemdziesiąt. Mijam pierwszy marker. Tysiąc dziewięćdziesiąt pięć. Ja...

Craig obserwował, jak *Fireflash 4* pędzi przez słoną pustynię, jego wielkie koła wzbijają w powietrze tumany solnego pyłu, a silnik raketowy pozostawia za sobą setki metrów przezroczystego żaru. W jednej chwili pojazd był widoczny, a po sekundzie zniknął w chmurze pyłu.

*Fireflash* wpadł w poślizg. Tył przekreślił się wokół dziobu, potwór dachował i zaczął koziółkować, rzucany w jedną i drugą stronę jak zapalka w czasie huraganu. Kawałki metalu latały w powietrzu. Chociaż sunął na grzbiecie, a pionowy statecznik wbijał się w sól, *Fireflash* nadal pędził do przodu tak szybko, jak przed poślizgiem. Tysiąc kilometrów na godzinę niewyhamowanego pędu.

Marjhorie zaczęła wrzeszczeć. Craig czuł, jakby stracił słuch. Wiedział tylko, że Sarah trzyma go za rękę. Pozostali zastygli jak dziwne rzeźby na pustyni. W ich kierunku zbliżał się, ślizgający się, rozedrgany, wirujący, trzymający się ziemi, jakby ciągnięty przez niewidoczną linę, trup czarnej maszyny ojca.

Może on jeszcze żyje, pomyślał Craig. Los postanowił pogrzebać wszelkie nadzieje, bo *Fireflash* eksplodował, tworząc w powietrzu grzyb czarnej chmury; dało się odczuć uderzenie żaru i potężny podmuch. Wrak raketowego samochodu opadł na pustynię, rozpadając się i plując pomarańczowym ogniem. Craig rzucił się w jego kierunku.

Pick-up dojechał tam pierwszy. Sam McCook odpiął gaśnicę i pokrył pianą pocięty nos *Fireflasha*. Timeri Orari rozpylał pianę na zbiorniki z paliwem, krzycząc histerycznie.

Craig zasłonił oczy przed żarem i gołymi rękami próbował dostać się do pokrzywionej, nadpalonej i popękanej pleksi-glasowej owiewki. Była zbyt gorąca, by ją oderwać od kabiny. Ed Painter przybiegł z łomem i razem zapierali jego koniec o szczelinę pozostałą po wypaleniu gumowej uszczelki pleksi. Wreszcie udało im się oderwać owiewkę, która pękła z głośnym chrzęstem.

Bradley leżał pochylony nad drążkiem sterowniczym. Jego czarny kombinezon był nadpalony i dymił. Stało się oczywiste, że przez kokpit przeszedł morderczy ogień. Craig delikatnie podniósł głowę ojca. Nie mógł dostrzec jego twarzy przez przyciemnioną szybę wizjera. Z pomocą Eda Paintera odpiął hełm wraz z maską tlenową i zdjął go z głowy Bradleya.

Oczy Wingera były zamknięte, twarz blada. Craig pochylił się i przystawił ucho do ust ojca. Wydawało mu się, że wyczuwa powiew oddechu.

Timeri Orari pojawił się koło kokpitu. Miał przerażenie w oczach, a dłonie pokryte krwią.

— Żyje? — pytał ochryplym głosem. — Żyje?

— Chyba tak. Chyba jest jeszcze jakaś nadzieja. Ale musimy go stąd wydostać. Co z lekarzem? Czy w zespole jest lekarz?

— Charles. Jest z Salt Lake City. Ale jeszcze się nie pojawił. Wezwałem ambulans przez radio.

Craig spojrział na rozszarpany ogon *Fireflasha*.

— Co z paliwem? Wypaliło się? Już nie wybuchnie?

— Nie wybuchnie.

— Zanim ambulans tu dotrze, minie kilka godzin. Słuchajcie, musimy go stąd zabrać. Nie może zostać w tej kabinie. Może krwawić z miejsca, którego nawet nie widzimy.

Timeri przetarł usta.

— Okay, ja stanę na górze, złapię go pod pachami i podciągnę. Wy złapcie go za stopy. Uważajcie, żeby nogi o coś nie zaczepiły.

Wypięli Bradleya z pasów. Timeri wdrapał się na tył kokpitu, pochylił i ujął Wingera pod pachy. Delikatnie bujał go w jedną i drugą stronę, by wysunąć ciało z ciasnego fotela. Wreszcie udało mu się go trochę poruszyć.

— Macie nosze i koce? — zapytał Craig pozostałych członków zespołu, którzy stali bezradni wokół wraku. — Wyciągamy go z kabiny.

Sarah usiłowała zatrzymać Marjhorie, ale żona Bradleya wyrwała się jej i pobiegła w stronę zniszczonego pojazdu.

— Mamo! Proszę, nie podchodź! — zawołał Craig.

— Nie będziesz mi mówił, co mam robić! To mój mąż! Bradley! Bradley, to ja! Bradley, słyszysz mnie?

Przecisnęła się koło Craiga i uklękła obok pogieętego kadłuba kabiny. Jej białe ubranie było usmolone i podarte, klęczała, utrzymując bezwładną głowę męża i przemawiając do niego pocieszająco głosem pełnym miłości.

— Brad, nie martw się. Będziemy się tobą opiekować. Zadbamy, żebyś wyzdrowiał. Nie gniewaj się, Brad. Nie martw się. Craig i Timeri wyciągną cię i wtedy odpoczniesz sobie i pojedziemy do Kalifornii, o czym zawsze marzyłeś. Cieszysz się, Brad?

Złapała jego dłoń i ścisnęła. Wyjęła koronkową chusteczkę i przetarła mu twarz i usta. Mówiła do niego ciepłe słowa i zapewniała o swojej miłości.

— Craig! — zawołał nagle Timeri.

— Co się stało, Timeri?

Upewniając się, że Marjhorie na niego nie patrzy, wskazał głową na tył kokpitu. Craig wstał i przesunął się do tyłu. W dolnej karoserii *Fireflasha* było olbrzymie rozdarcie rozpoczynające się od przedniej grodzi pod fotelem kierowcy. Pojazd musiał drzeć podwoziem po ziemi. Craig odgiął rękami kawałki gorącej jeszcze blachy, by zajrzeć do środka. Skupił wzrok i w tym momencie na wpół strawione śniadanie i kwasy żołądkowe cofnęły mu się do przetyku.

Nogi i większość wnętrzości ojca zostały wyrwane i zgniecione w okolicach wzmocnienia grodzi. Nie można było mieć żadnych wątpliwości, że człowiek w kokpicie już nie żył albo właśnie umierał. Craig wstał blady i spocony, i wrócił do matki.

— Mamo. Chodź już! Proszę.

— Nie mogę. On mnie potrzebuje.

Craig pokręcił zdecydowanie głową.

— Zostanę! Jestem jego żoną!

— Sarah! — zawołał Craig. — Proszę, zabierz ją.

— Nie ruszę się stąd! Co wy robicie?

— Próbujemy ci pomóc.

— A co z ojcem? Kto jemu pomoże?

Craig nie potrafił odpowiedzieć. Podniósł matkę i odsunął ją od wraku *Fireflasha*.

— Muszę mu pomóc! — wrzeszczała Marjhorie.

— Jemu już nikt nie pomoże! I ty też nie, on nie żyje!

Zapadła cisza. Wszyscy stali w milczeniu jak nieruchome figurki w nakręcanej dziecięcej zabawce. Lekki wiatr o sile czterech, może pięciu węzłów, wiał nad wypalonym i ciągle dymiącym kadłubem ambitnych marzeń człowieka o sławie. Syn tego człowieka zrobił ostatnią rzecz, jaką mógł — ochronił jego żonę przed potwornością śmierci męża. Z od-dali usłyszeli syreny ambulansu.

♦♦♦

Marjhorie siedziała w najciemniejszym kącie swojego pokoju hotelowego. Craig nie widział jej twarzy schowanej w cieniu lampy.

— Tak pewnie musiało być — westchnęła odległym głosem.

Craig nie odpowiedział, tylko sięgnął po chesterfielda, zapalił go, zaciągnął się i wypuścił dym.

— Tak pewnie rodzi się bohater — mówiła dalej. — Wiedząc, że może w każdej chwili zginąć, nadal dążył do obranego celu.

— Mamo, on nie musiał tego robić — zaprotestował Craig, odkasłując.

— Jednak zrobił. Ty tego nie jesteś w stanie zrozumieć.

— Nie. I nie rozumiem, dopóki mi nie wytłumaczysz.

— Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział, Craig.

— Skoro tak mówisz...

Zapadło milczenie. Była późna noc. Ściągnięto już wrak i uprzątnięto rozsypane fragmenty. Zabrano też Bradleya Wingera. Nikt nie kwapił się z pójściem spać. Gdzieś w ich głowach długa czarna maszyna toczyła się, i toczyła, i od nowa eksplodowała białym ogniem. Gdyby zasnęli, ujrzeliby to we śnie.

Marjhorie wstała i podeszła do okna. Widział jej sylwetkę na tle zimnego granatowego nieba i pustynnego mroku. Na jej policzkach błyszczwały łzy. Craig spojrział na zdjęcie ojca na stoliku nocnym. Uśmiechniętą twarz sfotografowano po poprzedniej nieudanej próbie pobicia lądowego rekordu prędkości. *Reguiescat in pace* ty martwy, uśmiechnięty człowieku.

— Craig, obiecaj mi coś.

No proszę, zaczęło się, pomyślał. Ostatnie życzenie martwego człowieka.

— Twój ojciec chciałby tego. Ty to musisz zrobić, Craig, i nie wiem, dlaczego wcześniej nie spróbowałeś.

— Słucham? — rzucił niecierpliwie Craig. Marjhorie

stanęła w świetle lampy. Craig zdziwił się, zobaczywszy tak zniszczoną i pomarszczoną twarz. Oczy miała czerwone jak upiór.

— Craig, kochanie. Chcę, żebyś pobił ten rekord dla niego. To będzie takie pożegnanie.

— Czego ty ode mnie chcesz? — zapytał z niedowierzaniem.

— Chcę, żebyś zrobił coś dla ojca, czego nigdy nie zrobiłeś, gdy żył. Spróbuj nosić jego nazwisko i jego zasługi z godnością.

— Zasługi? Przecież on tylko zasłużył na najszybszą trumnę na świecie. Mamo, ty chyba sobie żartujesz?!

— Nie, Craig. Nie żartuję. Pragnę, żebyś odkupił dobre imię ojca. Zrób z niego bohatera, jakim nigdy nie był. A jednocześnie i ty staniesz się bohaterem.

Craig podrapał się po czole. Był zły.

— Mamo, ty nadal jesteś w szoku. Nic nie rozumiesz. Ja nie jestem kierowcą wyścigowym. Najszybszym samochodem, jakim w życiu jechałem, był AMC matador z wypożyczalni. Czy wiesz, ile kosztuje taki rakietowy samochód?



— Wiem. Miliony dolarów. Ale twojemu ojcu udało się je zebrać.

— Mój ojciec, to mój ojciec. A ja, to ja. I nie zamierzam zbierać milionów dolarów tylko po to, żeby urządzić sobie najbardziej widowiskowy pogrzeb na świecie.

— Craig, pomyśl, co by to znaczyło.

— Nic by nie znaczyło, mamó. Absolutnie nic. Powiedzieliby tylko: „O! Patrzcie na tego Craiga Wingera, jest tak samo porąbany jak jego ojciec”. A oprócz tego po prostu nie mam w sobie żyłki ryzykanta i nie nadaję się do bicia rekordów świata. Żeby to osiągnąć, trzeba znaleźć motywację. Rekord musi do kierowcy przemawiać. A dla mnie znaczy tyle, ile wczorajsze notowania giełdowe.

— Jestem zmęczona — odparła, patrząc w dół. — Chyba wezmę proszki nasenne i położę się spać.

— To twój najlepszy pomysł tego wieczoru. Rano będziemy już mówić o tym, co wydarzyło się wczoraj i tak dalej, aż uda nam się o wszystkim zapomnieć.

Usiadła na krawędzi łóżka

— Nie, Craig. Nigdy o tym nie zapomnę. Na własne oczy widziałam śmierć męża; tego nie da się zapomnieć.

Ktoś zapukał do drzwi. To był Sam McCook, technik do spraw paliwa.

— Craig? Możemy porozmawiać?

— Jasne. O co chodzi?

— A możemy na zewnątrz?

— Okay. Mamó, spróbuj zasnąć. Zawołaj mnie albo Sarah, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Marjhorie pokiwała smutno głową.

— Dobrze, Craig. Zawołam.

Craig zamknął drzwi. Sam McCook czekał na niego na półpiętrze.

— Co się dzieje, Sam?

Technik był przejęty i zdenerwowany.

— Chodzi o *Fireflasha*. Rozebraliśmy go dziś po południu i próbowaliśmy ustalić, co poszło nie tak.

— No i ustaliliście?

— Jesteśmy prawie pewni. I to mnie przeraża. Bo to wygląda, jakby... jakbym to ja zawinił.

— Ty? Czyli coś nie tak z paliwem?

— Tak. Zerolene było czymś zanieczyszczone i to spowodowało zatarcie zaworów. Samochód stracił moc, a to oznaczało utratę sterowności i wszystkich systemów kontroli.

Craig nie wiedział, co powiedzieć. Co mógł zrobić? Jakie to miało teraz znaczenie? Jego ojciec nie żył, a przed próbą wiedział, jakie ryzyko podejmuje. Zanieczyszczone paliwo czy kamień na torze, a może nagły powiew wiatru... Jego ojciec i tak już udał się na wieczny spoczynek. Ta wiedza nie przywróci go do życia. Jedynym rozsądnym powodem szukania przyczyn wypadku byłaby chęć powtórnego przeprowadzenia próby bicia rekordu. Ale nie ma na to żadnej szansy. Chyba że...

— Kto wie coś o tym paliwie? — zapytał Craig.

— Propulsion Laboratories. Oni zbudowali silnik rakietowy i stworzyli do niego specjalne paliwo. To wyjątkowa mieszanka spalająca się bardzo czysto i szybko. Opracowali jej skład wraz z Peace Pharmaceuticals z Zachodniego Wybrzeża.

— Peace Pharmaceuticals?

— Oni są nie tylko od tabletek na ból głowy i leków na przeziębienie. Są właścicielami sporej części Aerospace Fuels i paru innych firm. To potężny koncern. Słyszałeś o Tysonie Peace?

— Coś słyszałem.

Sam McCook czekał, aż Craig podejmie jakąś decyzję, żeby mogli działać. Warto chociaż zapytać Propulsion Laboratories, czy nie popełnili jakiegoś błędu. Oczywiście, że będą się wypierać jak zwariowani, ale przynajmniej można byłoby powiedzieć, że się próbowało.

— Sam, daj mi parę dni, a potem pojedziemy do Kokomo i pogadamy z tymi z Propulsion Laboratories. A teraz przestań się zadreć. To nie twoja wina. To tylko dziwny wypadek, na który nikt nie mógł nic poradzić.

Akurat po schodach wchodził Timeri Orari i gdy usłyszał głos Craiga, zatrzymał się.

— Prawda, Timeri? — zapytał Craig.

— Nie dosłyszałem, o co chodzi?

— Czy to prawda, że nikt nie mógł zupełnie nic zrobić, by zaradzić dzisiejszemu wypadkowi?

Timeri wzruszył ramionami.

— Nie wiem, Craig. A jak można w ogóle o to pytać?

\*\*\*

Tej nocy, gdy Sarah spała, Craig siedział i palił papierosa. Miał w sobie jakieś dziwne uczucie, którego wcześniej nigdy nie przeżywał. Cała jego jaźń została wyrwana z zawiasów i dążyła do złapania orientacji w nowej sytuacji. Craig zsunął się z łóżka i podszedł po cichu do okna. Na ulicy zaparkował czerwony wóz transmisyjny telewizji, wokół niego stało trzech mężczyzn i piło kawę. Słaby zachodni wiatr poruszał firankami w oknie.

Mój ojciec nie żyje, myślał Craig. Jeszcze rano żył. A teraz już go nie ma wśród nas. Nigdy go nie zobaczę. Nigdy z nim nie rozmawiam. Nawet nie ma sensu przeklinać nieżyjącego ojca.

Wydawało mu się jednak, że po ojcu pozostała dziwna pusta przestrzeń. Craig tak naprawdę wcale nie tęsknił za ojcem. To była pusta przestrzeń w trzech wymiarach świata, na pustyni. Przypominała nagle przerwana rozmowę podczas przyjęcia, której już nikt nie podjął dalej. Wszyscy czekają na konkluzję, a one nie wybrzmiewają.

Spojrzał na Sarah. Kochał ją. Razem wrócą do Nowego Jorku i ten dzień na solnych płaskowyżach Utah będzie wydawał się jedynie zamazany starym filmem, którego całej treści nikt nie pamięta. Sarah była sensem jego życia. Porządnego, zapracowanego, wygodnego życia. Pełnego radości i przyjaciół. Przynajmniej tak mu się do tej pory

wydawało, że o to chodziło w życiu. Z jakiegoś dziwnego powodu, gdy spojrział na spokojnie śpiącą Sarah, poczuł, jakby się dusił.

Odwrócił się do okna. Na pustyni było chłodno. Świeżo, chłodno i niebezpiecznie. Gdzieś tam, pomiędzy pierwszym a drugim markerem rozciągały się niecałe dwa kilometry toru, które człowiek potrafiłby pokonać w pięć sekund. Jeśli tylko okazał się wystarczająco szybki i odważny.

Zapalił kolejnego papierosa. Czego chciał od siebie? Śmierć ojca zbiła go z tropu. Zmusiła, by spojrział na swoje życie, cele i cały sens istnienia. Coś w tym było nie tak, tylko Craig sam nie wiedział co. Coś było nie tak z nim i jego bezpieczną, przewidywalną pracą. Coś było nie tak z jego małżeństwem.

Craig ożenił się, gdy miał dwadzieścia dwa lata, siedem lat temu. Przeżył siedem radosnych i szczęśliwych lat z Sarah. Przynajmniej tak mu się wydawało. Ale teraz zaczął odczuwać potrzebę czegoś innego. Życie z Sarah wydawało się uśpione. Mijały dni, miesiące, lata, a on chodził do pracy do biura przy East 27th Street, gdzie projektował obwody elektryczne, kreślił matryce wypełnione przekaźnikami, tranzystorami i lampami elektronowymi. Przychodził do domu, a Sarah czekała już z kolacją, uśmiechem i pocałunkiem. Czy tylko z tego miała się składać jego codzienność, aż do śmierci?

Jego ojciec nie żył. Zginął podczas wypełniania pewnej misji. Postawił wyzwanie rzeczywistości. Zginął w kuli ognia i w torturującym zgrzycie metalu. Jeśli będę prowadził dotychczasowy styl życia, pomyślał Craig, to chyba umrę w domu spokojnej starości Słoneczny Odpoczynek.

Usiadł na łóżku koło Sarah i popatrzył na jej twarz. Nigdy nie patrzył na nią w ten sposób ani nie myślał o niej w ten sposób. Powiedział to nawet głośno: „Czy ja cię kocham? Czy ja cię naprawdę kocham?”.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę i wrócił do okna. Wóz transmisyjny był zamknięty, a trzech mężczyzn gdzieś zniknęło. Po raz pierwszy w życiu Craig poczuł się prawdziwie samotny.

## ROZDZIAŁ 4

Leon Suskicz opalał kanciastą twarz, siedząc na krawędzi basenu w kształcie litery S. Kilka metrów dalej Corinna Peace ćwiczyła chodzenie z nową protezą z włókna sztucznego. Minął już prawie rok od jej wypadku; dziewczyna odzyskała dobre samopoczucie i z każdym dniem stawała się coraz bardziej samodzielna. Miała na sobie długą, luźną

bawełnianą sukienkę w niebiesko-białe wzory. Nieopodal, rozparty w fotelu w stylu Ludwika XV, siedział Tyson Peace i drzemał nad „Wall Street Journal”. Było gorąco i bezchmurnie. W krzewach brzęczały owady. Dookoła rozchodziła się silna woń kwiatów.

Leon poprawił na sobie kąpielowy szlafrok. Wyglądał jak Clark Kent zażywający kąpieli w łaźni tureckiej.

— Masz papierosy? — zawołał do Corinny.

— Chyba są w mojej torebce.

Leon poszperał w płóciennej torbie, znalazł paczkę kooli i zapalił jednego.

— Hej. Zaczynam sobie już niezłe radzić z tą protezą.

Zobacz! — Corinna nagle stanęła i szybko odwróciła się w drugą stronę. — Całkiem niezłe, co? Chyba lepiej niż Chester.

— Jaki Chester?

— Ten z filmu *Gunsmoke*.

— O tak. Zdecydowanie lepiej. Nawet lepiej niż inspektor Ironside.

Leon leżał na plecach z rękami splecionymi pod głową. Spojrzął na zegarek i usiadł.

— Corinna?

— Co?

— Pamiętasz, gdy odwiedziłem cię za pierwszym razem?

— No pewnie. W zeszłym roku? Gdy jeszcze leżałam w łóżku?

— Właśnie wtedy. Pamiętasz, jak mówiłem ci o Bradleyu Wingerze?

Corinna zatrzymała się, łapiąc równowagę. Chodziła już coraz lepiej, ale nadal szeroko rozstawiała ręce jak lino-skoczek.

— Jak się nazywał?

— Winger. Wiesz, ten gość od samochodu rakietowego. Ten, który zerwał kontrakt na budowę silnika rakietowego z moim ojcem.

— Coś tam pamiętam.

— No i muszę ci powiedzieć, że — Leon rozejrzył się dookoła i dokończył konspiracyjnym tonem — załatwiłem go.

— Jak to go „załatwiłeś”?

— No wiesz, ten sabotaż.

— Jaki sabotaż?

Leon powtórnie spojrzął na zegarek.

— Jest dziesiąta, nie? No więc czekam na informacje.

Corinna usiadła koło basenu.

— Leonie, nie mam pojęcia, o czym opowiadasz.

— No coś ty? Nie pamiętasz, gdy opowiadałem ci, jak Bradley Winger oszukał mojego ojca? No i ten facet chciał dzisiaj pobić rekord świata. Chyba już nawet jest po próbie. A ja załatwiłem jego brykę. Ta rakietowa machina nie pojedzie dalej niż do tamtego drzewa i stanie. I nie dadzą już rady jej ruszyć. Totalna kompromitacja dla Bradleya Wingera. Porażka wszystkich ludzi, którzy przekupili go,

żeby u nich zbudował silnik. Będą się czerwienić ze wstydu. Chyba niezły numer wykręciłem, co?

— Sam to zrobiłeś? To znaczy, czy osobiście dokonałeś tego sabotażu?

— Nie, ja wszystko zaplanowałem, ale miałem swojego człowieka, który pojechał do Utah i załatwił wszystko na miejscu. Więc mam doskonale alibi. Byłem cały czas tutaj w Los Angeles.

Corinna oparła się na jego ramieniu i popatrzyła w jego pozbawioną wyrazu chłopięcą twarz.

— Wiesz co, Leonie? Czasem w ogóle cię nie rozumiem. Wydajesz się być najprzyjemniejszym, najfajniejszym facetem na ziemi, jesteś miły, ciepły, serdeczny. A za chwilę zmieniasz się w jakiegoś mafioso.

Leon pokręcił głową.

— Nauczyłem się nie mieć skrupułów. Liczy się tylko bezwzględność. Jedynie bezwzględni wygrywają.

Od strony domu doszło ich wołanie. Odwrócili głowy. Machała na nich ich czarna gosposia.

— Amy, co się stało? — zawołała Corinna.

— Telefon do pana Suskicza.

— Okay. Już lecę. — Leon wstał. Twarz miał tak czerwoną jak jego szlafrok frotte. Za to nogi były blade i owłosione. — To pewnie informacje o tym Wingerze. Zaraz wracam.

Pobiegnął przez trawnik do domu. Corinna leżała na plecach, przez przymknięte do połowy powieki iskrzyły się promienie słońca załamywane na rzęsach. Chyba po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się odprężona, pogodzona z losem; zaakceptowała protezę, której wcześniej nienawidziła. Dzięki niej mogła sama poruszać się po domu i ogrodzie. Zmieniła też styl życia. Nic nie było już tak jak wcześniej; mniej imprez, mniej nagości. Jej życie seksualne zanikło. Ale cieszyła się, że żyje, że nie straciła urody; radowało ją lato.

Po dziesięciu minutach wrócił Leon. Corinnie przez moment wydało się, że jest pijany. Zbladł, szedł, kołyszając się i powłócząc nogami.

— Leon, co się stało?

Spojrzał na nią, otworzył usta i... nic nie powiedział.

— Leonie, dobrze się czujesz? Co jest grane? Doszedł do brzegu basenu i usiadł. Patrzył niewidzącym wzrokiem; ręce złożył jak zatroskana matka.

— Leonie, no powiedz coś!

Pokręcił głową.

— Nawet o tym nie myślałem... — odparł.

— Co się stało? Chodzi o tego Wingera?

Skinął głową.

— No więc, co?

— Nie żyje. Zginął dwie godziny temu.

— Jak to? Twój człowiek go zabił?

Leon głośno przełknął ślinę i wciągnął głęboko powietrze do płuc. W oczach miał łzy. Zdjął okulary, by je wytrzeć.

— Jego samochód się rozbił. Pokazywali w wiadomościach telewizyjnych. Jechał z prędkością prawie tysiąca kilometrów na godzinę i się rozbił.

Corinna usiadła z wrażenia.

— Czy to twoja wina? O Boże, Leonie! Co ty zrobiłeś?

— Zabiłem go. On nie żyje. Leży martwy w Utah. I wszystko przeze mnie. O Boże!

Usta wygięły mu się w brzydką podkowę i zaczął histerycznie łkać. Corinna nigdy jeszcze nie widziała tak płaczącego mężczyzny. Współczuła mu częściowo, ale przede wszystkim była na niego zła. Słabi ludzie nie powinni grać ostro, a potem oczekiwać od świata, że będzie im pobłażał, gdy przegrają. Łatwo być bezwzględny, kiedy się wygrywa. Ale jeśli się przegrywa, to zostaje płacz i zgrzytanie zębów.

— Leonie, co ty, do licha, zrobiłeś?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ja tylko chciałem dać mu nauczkę. Prztyczka w nos. Był taki bucowaty i napuszony. Chciałem pokazać mu, że nie może traktować mojego ojca jak śmiecia.

— Ale on nie żyje.

— Kurde, wiem. Myślisz, że chciałem go zabić?

— Nie, Leonie. Wcale tak nie myślę. Nie powinieneś jednak nikogo wynajmować, by majstrował przy jego samochodzie. Należało zachować klasę, Leonie. Nie trzeba było w ogóle tego ruszać.

Leon starł łzy z twarzy wierzchem dłoni. Pociągnął nosem.

— Jezu, myślisz, że tego nie wiem? Wolałbym, żeby to się nie stało, żebym wcześniej dał sobie spokój. Jeśli złapią tego człowieka i on zezna, że to ja mu zleciłem sabotaż, dostanę dożywocie.

Corinna położył mu dłoń na ramieniu.

— Leonie, uważam, że powinieneś zgłosić się na policję.

— Na policję? Chyba zwariowałaś! Zgłoszę się, a później okaże się, że wcale nie musiałem. I co wtedy?

— Ale to zrobiłeś, prawda? Bez względu na to, czy oni się dowiedzą, czy nie. Ja tylko chcę wiedzieć, czy potrafisz z tym żyć?

Leon podrapał się nerwowo w nogę.

— Chryste! — jęknął. — Dlaczego on musiał umrzeć?

— Może zginął, żeby dać ci nauczkę?

Leon milczał i co chwila pociągał nosem. Woda falująca w basenie odbijała promienie słońca. Ptaki wesoło ćwierkały na gałęziach drzewa. Ale nie dla Leona Suskicza. I nie dla Bradleya Wingera.

— Leonie. Powiedz mi, co tak naprawdę zrobiłeś?

— Zabiłem go i tyle, chociaż nie życzyłem mu śmierci. Tyle przecież wiesz.

— A na czym polegał ten sabotaż?

Leon wyciągnął jednorazową chusteczkę z kieszeni szlafroka i głośno wytarł nos.

— To było bardzo łatwe. „Ochrzciliśmy” jego paliwo.

— To nie jest chyba takie proste?

— To właśnie jest bardzo proste, jeśli się wie, jak to zrobić. I gdy się ma dobre kontakty.

— Jakie dobre kontakty?

— Posłuchaj, Corinno. Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Im mniej wiesz, tym lepiej dla nas obojga. Muszę pomyśleć o swojej przyszłości. Mój kumpel ma domek wakacyjny w Kanionie Topanga. Może zamieszkać tam przez jakiś czas. A przynajmniej do momentu, gdy upewnię się, że nikt mnie nie podejrzewa.

— Leonie, jakie kontakty?

— Corinna, daj spokój. I tak już wiesz za dużo. Nie powinienem ci nic mówić. Myślałem, że wszystko się uda, jak zaplanowałem, i że ty...

— Że ja co?

— Że zrobię na tobie wrażenie.

Odwrócił wzrok. Corinna nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Wrażenie? A po co? Leon, poprosiłam cię wtedy, w zeszłym roku, żebyśmy się kochali. I jakoś to do ciebie nie dotarło. I nagle chcesz zrobić na mnie wrażenie? Zabijając człowieka, którego nawet nigdy nie poznałeś?

— Poznałem go.

— Nie zmieniaj tematu. Dlaczego chciałeś wyrzucić na mnie wrażenie?

Leon się zmieszał.

— Właśnie dlatego nie ułożyło się między nami, bo myślałaś, że jestem słaby. Zależało mi na tobie, ale ty myślałaś, że mam mleko pod nosem. Że jestem miękki.

— Jezu, Leonie. Jesteś miękki. Spójrz na siebie!

— Pomyślałem, że jeśli... że jeśli zrobię coś bezlitosnego, bezwzględnego, to może wtedy mnie zechcesz.

To, co wyznał, było tak okropne, że Corinna o mało nie wybuchnęła mu śmiechem prosto w twarz.

— Zupełnie ci odpaliło. Coś sobie ubzdurałeś i zabiłeś Bradleya Wingera, żeby mi zaimponować?

Leon wstał.

— Nie, Corinno, to nie tak. Zamierzałem zabić tylko jego pychę, a nie jego. Chciałem pogrzebać jego szanse na pobicie rekordu. Powiedziałem ci o tym, żeby wyrzucić na tobie wrażenie.

— Leonie, ja...

— Gdy byliśmy ze sobą, traktowałaś mnie jak gówno na chodniku. Myślałaś sobie: gościu dobry do zabawy. Można nawet się z nim pośmiać. Ale czy kiedyś zastanowiłaś się, co dla mnie znaczysz? Pomyślałaś, że się w tobie zakochałem? I jak mnie bolało, gdy łączyłaś po ogrodzie bez ciuchów przed tymi wszystkimi facetami i ścisłaś ich wacki ręką, i opowiadałaś wszystkim, jak to dobrze jest mieć takiego wiernego, głupiego psa jak ja? Nie zdajesz sobie sprawy, jak mnie wtedy raniłaś? Kochałem cię, a ty mnie ukrzyżowałaś, publicznie, przed moimi i swoimi przyjaciółmi, przed wszystkimi.

Corinna wyciągnęła papierosa, zapaliła i szybko wydmuchnęła dym.

— Leonie, nie musiałeś bywać na imprezach, nie prosiłam cię o to, prawda? Jeśli uważałeś, że robię z ciebie idiotę, to dlaczego nie powiedziałeś mi po prostu: „Pierdol się!” i nie poszedłeś sobie?

Leon ukląkł na betonie.

— Dlatego, że cię kochałem. Nienawidziłem się za to, że zostawałem, ale ja cię kochałem. Miłość kazała mi cierpieć.

— Nie myśl, że znęcam się nad tobą, ale muszę ci to powiedzieć: twoja miłość to było piętnaście twoich centymetrów we mnie. Lubiłam cię, ale nie łączyło nas nic więcej.

Leon uderzył się pięścią w czoło.

— Czy myślisz, że tego nie wiedziałem?

— Dlaczego więc to zrobiłeś, Leonie? Po co się chwaliłeś, jakim zamierzasz stać się twardzielem, co?

— Marzyłem o tym, żebyś czuła do mnie to samo, co ja czułem do ciebie. Byłaś oschła i odrzucałaś mnie, gdy ciebie pragnąłem. Więc kiedy mnie zechciałaś, udałem obojętność. Chciałem być silny i karcieć cię tak jak ty mnie.

Corinna wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. On próbował odwzajemnić się tym samym, ale szybko odwrócił wzrok. Woda w basenie odbijała się o brzeg, ptaki śpiewały. Lekki wiatr poderwał krótkie włosy dziewczyny.

— Wiesz co? Lepiej już sobie idź.

Nie podniósł na nią wzroku. Przygarbiony powoli ruszył po trawniku i zniknął w domu, by się przebrać. Po kilku minutach Corinna usłyszała jego odjeżdżający samochód. Wiatr zawiął odrobinę mocniej i kartka po kartce „Wall Street Journal” ześlizgiwał się z kolan jej ojca, a po chwili wszystkie strony tańczyły po całym ogrodzie.

♦♦♦

Następnego dnia, gdy obudziła się po popołudniowej drzemce, usłyszała głosy na zewnątrz. Proteza leżała obok na łóżku, więc podskoczyła do okna na jednej nodze i wyjrzała. Na podjeździe zaparkował jakiś brązowy samochód i dwóch nieznanym rozmawiało z ojcem. Jeden z nich wyglądał na mechanika samochodowego w żółtej czapeczce i błyszczącej nylonowej kurtce. Drugi mężczyzna miał na sobie elegancki kremowy garnitur i wyglądał seksownie. Był podobny do Ala Pacino.

Corinna wróciła do łóżka i założyła protezę. Przy toalecie przeczesła włosy, poprawiła makijaż, wygładziła sukienkę i ruszyła do drzwi.

Nie próbowała się spieszyć. W zeszłym tygodniu spadła z połowy schodów i nabiła sobie sińce na plecach. Tym razem trzymała się mocno poręczy i schodziła ustalonym rytmem, krok w dół, obrót z protezą, aż do podstawy schodów.

Słońce przesłaniały chmury, ale na dworze było gorąco. Ojciec miał na sobie koszulę w hawajskie wzory i białe szorty zaprasowane w kant. Rozmawiał z obcymi niezwykle szczerze. Rozpoznała to po jego rosnącej i opadającej intonacji. Zwykle mówił płaskim tonem.

Mężczyźni odwrócili się, gdy usłyszeli kuśtykającą do nich Corinnę. Uśmiechnęła się. Mężczyzna w kremowym garniturze był tak samo przystojny z bliska, jak z daleka.

— Panowie, to moja córka, Corinna. Muszę wam powiedzieć, że od kilku miesięcy ma protezę nogi i świetnie sobie już daje z nią radę, prawda, moje maleństwo?

— Tato! Czy musisz o tym od razu mówić wszystkim gościom w chwili, gdy mnie przedstawiasz?

Tyson skrzywił usta w uśmiechu.

— Kochanie, ciekawość leży w ludzkiej naturze. Lepiej, żeby poznali prawdę od razu, bo mogliby sobie pomyśleć, że jedną nogę masz dłuższą od drugiej albo jeszcze jakieś inne kalectwo. Mniejsza z tym. To jest pan Craig Winger, a to pan Sam McCook.

Corinna była zaszokowana. Chyba tak szybko nie mogli poznać prawdy?

— Panie Winger—odezwała się ciepłym głosem. — Czy pan Bradley Winger to może pana krewny?

— Tak, panno Peace. Bradley Winger był moim ojcem — potwierdził zmęczony i poważny Craig. — Przyleciałem tu dziś z Utah. Pan Sam McCook jest technikiem paliwowym.

— To straszne, co tam się wydarzyło. Tak mi przykro. Proszę przyjąć moje kondolencje.

— Dziękuję — odparł. — Dostaliśmy wiele kondolencji. Wygląda na to, że mój ojciec był znanym człowiekiem.

Corinna rzuciła okiem na Tysona, który spoglądał w dal ogrodu, jakby myślał o czymś zupełnie innym. Widziała go w takim zamyśleniu parę lat wstecz, gdy odwiedził go inspektor z urzędu skarbowego. Zamknął się wtedy w niezniszczalnej skorupie i nie wyszedł z niej, dopóki poborca nie opuścił jego domu. W ten sam sposób traktował teraz Craiga Wingera i Sama McCooka — na dystans, osłonięty tarczą, nie patrząc im prosto w oczy.

— Napijcie się panowie drinka? — zapytała gości. — Zadzwońię po gospozię.

— Dobry pomysł, Corinno — podchwycił Tyson. — Czego sobie życzyacie, panowie?

Craig uśmiechnął się.

— Jeśli można, to poproszę brandy z wodą mineralną, panno Peace. Niewiele spałem zeszłej nocy.

Spodobał się jej ten uśmiech. W jego twarzy wyczytać można było ironiczne poczucie humoru, które na nią tak oddziaływało. Wyglądał na silnego, ale jednocześnie czułego. Rok temu, zanim pojawił się tu Hal Shocks, stałaby przypuszczalnie przed nimi nago i mogłaby mu odpowiedzieć cokolwiek tylko przyszłoby jej do głowy. A może plastikowa proteza też nie musiała jej w tym przeszkadzać. Zdała sobie sprawę, że uśmiecha się do niego szeroko i wpatruje się prosto w niego i tylko w niego. Wyprostowała się, żeby jej duże piersi jeszcze bardziej odznaczały się przez sukienkę, polizała usta, by się błyszczały, i zobaczyła w jego oczach, że mu się spodobała.

— Chodźmy do ogrodu i usiądźmy koło basenu — zaproponował Tyson Peace. — Tam są fotele i nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Sam McCook wskazał głową w stronę Corinny i zapytał:

— Czy nie będzie przeszkadzać panu obecność panny Peace?

Tyson rozejrzał się dookoła.

— Absolutnie nie. Nie mam żadnych tajemnic przed moją jedyną córką, prawda Corinno?

Corinna roześmiała się.

— Czasem nie masz. Zapomniałeś jedynie mi powiedzieć o tej rudowłosej, którą przechowujesz w szafie w swojej sypialni.

Ruszyli w stronę basenu, dostosowując tempo do kroków Corinny. Craig szedł blisko niej, by w razie potrzeby służyć jej pomocą. Kilka razy odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła. Odpowiedział jej tym samym. Gdy podniósł rękę, by przeczesać włosy, dostrzegła obrączkę na serdecznym palcu. No tak, pomyślała, jest żonaty. Ale przecież nie była to żadna przeszkoda. Przynajmniej kiedyś, gdy miała dwie nogi, nie była to przeszkoda.

Tyson Peace przyciągnął kilka plażowych foteli i usiedli w półkolu otwartym na basen. Mężczyźni zdjęli wierzchnie okrycia i zapalili papierosy.

— Piękne miejsce, panie Peace — stwierdził Craig. — Nie dziwię się, że woli pan pracować w domu.

— Od czasu do czasu muszę jednak jeździć do biura, by ich wystraszyć — roześmiał się Tyson Peace. — A gdy jest się prezesem, najlepiej jest trzymać się z daleka od biura i nikomu nie przeszkadzać w pracy.

Pojawiła się gospožia ze srebrną tacą pełną drinków. Corinna wzięła campari z wodą mineralną, dużą ilością lodu i plasterkami cytryny. Popijała gorzki aperitif i przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn. Nawet nie patrząc w jego stronę, wiedziała, że Craig cały czas obserwuje ją dyskretnie.

— No dobrze, panowie — odezwał się Tyson Peace. — Jak mogę wam pomóc?

Craig pochylił się do przodu.

— Panie Peace, to prosta sprawa. Wypadek ojca został najprawdopodobniej spowodowany nieczystością paliwa. Zawory się zatarły, pojazd stracił moc, wpadł w poślizg i rozbił się. *Fireflash 4* był bardzo skomplikowanym samochodem o napędzie raketowym, w którym nawet najmniejsza usterka mogła spowodować poważne zagrożenie życia kierowcy.

Tyson Peace przerwał Craigowi. Jego głos stracił tę szczerą melodyjną intonację i zaczął brzmieć ostro i nietolerancyjnie jak zwykle. Zagrożona była jego reputacja, postanowił więc się bronić.

— Proszę posłuchać, panie Winger. Zawór wtryskowy paliwa raketowego może zablokować się z wielu powodów. Skąd pan wie, że paliwo było zanieczyszczone?

Sam McCook podniósł głowę.

— Zbadaliśmy resztki paliwa w hangarze, panie Peace. Zawierało ślady obcej substancji, która nigdy nie powinna w nim się znaleźć. Czy zna pan skład chemiczny paliwa o nazwie „Zerolene”?

— Jestem biznesmenem, a nie chemikiem.

— No dobrze, to opiszę w skrócie. Zerolene zawiera wysokooktanową benzynę, która zmieszana ze związkami chemicznymi zawierającymi sole metali może wytrącić osad i doprowadzić do zapchania zaworów. Może pan zapytać swoich specjalistów. Powiedzą to samo. W jakiś sposób związki soli metali dostały się do zbiorników z paliwem raketowym i zapchały zawory wtryskowe *Fireflasha 4*.

Tyson Peace rozparł się w fotelu i wziął solidny łyk wysokiej jakości bourbona.

— Muszę panom coś powiedzieć głośno i wyraźnie. Firma Peace Pharmaceuticals nie jest w żaden sposób odpowiedzialna za znalezienie się obcych substancji w zbiornikach paliwa silnika raketowego samochodu pana ojca i zedrę wam skalpy z głów, jeśli coś takiego oświadczy publicznie.

Craig Winger wyglądał na wściekłego.

— Panie Peace, nie przyjechaliśmy tutaj, żeby pana stawić przed sądem ani kierować na pana światła reflektorów. Po prostu chcę wiedzieć, dlaczego mój ojciec zginął.

— A co na to Propulsion Laboratories? To oni przygotowali zerolene.

— Wiem o tym, panie Peace. Zebrali wielkie oklaski za zaprojektowanie i wyprodukowanie pierwszych partii zerolene. Polecieliśmy dzisiaj rano do Kokomo i już z nimi rozmawialiśmy. Okazuje się, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent produkcji zerolene odbyło się w zakładach Peace Pharmaceuticals, który dostarczył wszystkie składniki do mieszanki paliwowej. Tyson Peace pokręcił głową.

— Panie Winger, proponuję, żebyśmy zaczęli rozmawiać za pośrednictwem prawników.

Craig westchnął.

— Jeśli pan sobie tego życzy, to nie mam wyboru. Ale ja nie chcę wstępować na ścieżkę wojenną. Jestem inżynierem i nigdy do tej pory nie współpracowałem z ojcem przy jego projektach. Matka poprosiła mnie, żebym spróbował wyjaśnić, co było przyczyną wypadku i tylko to robię.

Tyson Peace chrząknął.

— Słyszałem już takie teksty wcześniej. Ostatni raz wtedy, gdy podano mnie do sądu o odszkodowanie wysokości ośmiu milionów dolarów za rzekomo zły test ciężowy. Wygrałem sprawę, jeśli to pana interesuje. Mam więcej prawników niż pan włosów łonowych.

Craig spojrział na Sama McCooka, który uniósł brwi i powiedział:

— Panie Peace, czy nie miałby pan nic przeciwko temu, byśmy spotkali się z pana ludźmi z firmy produkującej paliwo do raket kosmicznych i porozmawiali o procesie produkcyjnym zerolene?

— Czy miałbym jakieś obiekcje? Oczywiście, że tak. Skład zerolene jest tajemnicą firmową. Nie pozwolę, by obcy ludzie szwendali się po mojej fabryce i wypytywali moich chemików o poufne procedury przemysłowe. Pracujemy także dla Departamentu Obrony. Skąd mogę wiedzieć, czy nie jesteście rosyjskimi szpiegami?

— Tato — odezwała się Corinna. — To było niskiego lotu. Craig skinął głową.

— Zgadza się z pańską córką. Mój ojciec zginął wczoraj rano przez wyprodukowane przez pańską firmę paliwo. I sądzę, że mam prawo, by dowiedzieć się czegoś więcej o rym paliwie.

— Ma pan jedynie prawo do szukania szczęścia — odszczeknął Tyson Peace. — Bo to akurat gwarantuje Konstytucja Stanów Zjednoczonych. Ale nie posiada pan żadnego prawa przychodzić tutaj i sugerować, że moja firma doprowadziła do zaniedbania podczas procesu produkcji paliwa, które spowodowało śmiertelny wypadek. I jeśli uważa pan, panie Winger, że ma pan podstawy do wniesienia pozwu o odszkodowanie, to lepiej niech weźmie pan sobie dobrego adwokata, wróci z nim do mnie i spróbuje jeszcze raz.

— Panie Peace — wtrącił się Sam McCook. — My wcale tego nie chcemy, ale żeby dowiedzieć się, w jaki sposób te szkodliwe związki dostały się do paliwa, będziemy musieli prześledzić cały proces produkcyjny od samego początku. Od pana fabryki aż po moment tankowania *Fireflasha 4*.

Tyson Peace przełknął kolejny łyk bourbona i się skrzywił.

— Nie lubię wymieniać nazwisk, panie McCook, ale powinniście najpierw dokładnie przyjrzeć się swoim systemom, zanim zaczniecie pchać się do moich. My tylko produkujemy zerolene i robimy to zgodnie z najwyższymi normami przemysłowymi. Co się dzieje z nim po opuszczeniu fabryki, to już nie moja sprawa. Staramy się jak tylko możemy, by paliwo nie zostało zanieczyszczone w drodze do odbiorcy, ale jeśli jakiś poświrowany sabotażysta zechce tylko je zabrudzić, to...

Craig odstawił pustą szklanekę na beton.

— Sabotażysta, panie Peace? A kto tutaj mówi o sabotażu?

Twarz Tysona Peace'a pozostała niewzruszona.

— Musimy założyć taką możliwość. Pana ojciec nie był szczególnie uwielbianym człowiekiem.

— To pan znał swojego ojca?

— Oczywiście, że znałem. Był dobrym kumplem mojego kolegi — Davida Suskicza.

— Więc znał pan swojego ojca, a mimo to siedzi pan tutaj i nie zamierza pan nawet ruszyć palcem, żeby pomóc w ustaleniu, kto go zabił?

— Spokojnie, panie Winger — odparł Tyson Peace. — Znałem go tylko trochę, ale za to wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie należał do ludzi o ujmującej osobowości i

nie zjednywał ich sobie swoim czarem. Pewnie sam pan się o tym przekonał?

Craig wpatrywał się w koniuszki swoich butów.

— Chyba tak. Ojciec i ja nie byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

— Czy ktoś jeszcze chce drinka, czy może mokry ręcznik? — spytał Corinna.

— Nie wtrącaj się w to, Corinno — zgnił ją ojciec.

— Zostałam zaproszona i uważam, że niepotrzebnie piętrysz trudności. Pan Winger nie oczekuje od ciebie niczego specjalnego. A pomoc nie będzie cię nic kosztować. Pozwól mu obejrzeć fabrykę. No, chyba że faktycznie masz coś do ukrycia.

— Corinno, nie wiesz, o czym mówisz.

— Czyżby?

Rzuciła mu rękawicę i chciała zobaczyć, jak sobie poradzi z wyzwaniem. Grymas jego twarzy potwierdził jej podejrzenia i poruszył ją do głębi. Czyli jednak miał coś do ukrycia. Naprawdę. Ale co? Jak to określił Leon? „To właśnie jest bardzo proste, jeśli się wie, jak to zrobić. I gdy się ma dobre kontakty”.

Corinna zagryzła wargę. Uważnie przyglądała się ojcu. I wtedy zadała mu pytanie, by zweryfikować swoje podejrzenie.

— A może Leon mógłby oprowadzić pana Wingera po fabryce?

— Leon? A co Leon ma niby z tym wszystkim wspólnego?

Zrobiła minę niewinnej nastolatki i uśmiechnęła się znacząco.

— Cały czas sama zadaję sobie to pytanie. Co Leon ma z tym wszystkim wspólnego?

— Panie Peace — przerwał Craig. — Proszę mi wybaczyć, że nalegam, ale proszę o udzielenie mi konkretnej odpowiedzi. Gdybyśmy mogli tylko krótko porozmawiać z pana chemikami, byłibyśmy bardzo wdzięczni. Chodzi tylko o pamięć mojego ojca. Nic więcej.

Tyson Peace nie odrywał wzroku od córki. Widziała, jak powtarza prawie niedostrzegalnym ruchem warg: „Leon, Leon...”.

— Panie Peace? — powtórzył Craig, wrywając go z zamyslenia.

Tyson drgnął i spojrzał na Craiga, jakby ten wylądował przy basenie latającym spodkiem.

— Co? No dobrze. Na tyle mogę się zgodzić.

Posłuchajcie więc, panowie — pojedźcie do fabryki moim samochodem z szoferem, potem wróćcie i zamienimy jeszcze kilka słów.

Craig wyczuł, że nagła zmiana nastawienia Tysona wiązała się jakoś z Corinną. Spojrzał na nią, by się zorientować, co to mogłoby być, ale dostrzegł jedynie słodki i seksowny uśmiech. Była ładna, przyznał w myśli. Miała jedną nogę, ale była bardzo ładna. Wydawała się być bardziej wyrobiona i rozumiejąca rzeczywistość niż Sarah. Kaleka czy nie, to

pewnie w seksie nie popuściła facetowi przez całą noc. Gdzieś kiedyś czytał o kobietach z amputowaną jedną kończyną. O tym, jakie potrafiły być namiętne. Wpatrywał się w jej lewą nogę i starał się domyślić, w którym miejscu kończył się kikut i zaczynała proteza. Miała tylko jedną nogę, a to oznaczało, że mężczyzna mógłby w nią wejść z boku... Szybko wymazał tę myśl z wyobraźni i spojrzał z powrotem na Tysona Peace'a i Sama McCooka.

— No dobrze. Mnie to bardzo odpowiada, panie Peace. O kogo mamy pytać w fabryce?

— O doktora Edgara Waltersa. Jest chemikiem odpowiedzialnym za zerolene. Ale pamiętajcie, chcę, żeby to odbyło się nieoficjalnie. Jeśli piśnecie słówko komuś obcemu, to wszystkiego się wyprę i oskarżę was o pomówienie.

Craig wstał.

— W porządku, panie Peace. Nie musi się pan niczego obawiać. Porozmawiamy w fabryce i wrócimy tutaj.

Bez podnoszenia się z fotela Tyson Peace wyciągnął rękę, złapał dłoń Craiga i uściśnął w zadziwiająco przyjacielski sposób.

— Proszę zapamiętać jedną rzecz, panie Winger. Nie znalazłem się w miejscu, w którym jestem, bo ufałem wszystkim, którzy mówili, że nigdy nie zrobią mi nic złego. — Przerwał i popatrzył na Corinnę. — Nawet własnej rodzinie.

♦♦♦

Wykręciła numer Leona i czekała. Telefon dzwonił i dzwonił, aż wreszcie mocno zdyszany Leon podniósł słuchawkę.

— Leon? Tu Corinna.

— O cześć. Właśnie ruszam w drogę do Kanionu Topanga.

— Nie, nigdzie nie jedziesz.

— Słucham?!

— Powiedziałam, że nigdzie nie jedziesz.

— Jak to nigdzie nie jądę?

— Zostajesz w mieście, Leonie. A w ogóle, to przyjeżdżasz tutaj.

— To chyba jakiś absurd?! Najpierw mówisz mi, że bym się wynosił, a po chwili dzwonisz do mnie i chcesz, że bym wrócił. O co chodzi?

— Nazwijmy to przyjacielską perswazją. — Corinna uśmiechnęła się do siebie.

— Możesz to nazywać, jak chcesz, ale ja jadę do Kanionu Topanga.

— Leon?

— Co?

— Nie odkładaj słuchawki.

— Słuchaj, muszę lecieć. Samochód stoi przed domem, cały załadowany bagażami, na włączonym silniku.

— Przyjedź tutaj.

— Corinno, nie mogę. Muszę zniknąć na jakiś czas. Zaszyc się w dziczy.

— Wiem kto był tym twoim „dobrym kontaktem”.  
— Słucham?!

— Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o paliwie dla Bradleya Wingera i jak je „załatwiłeś”. Powiedziałeś, że to łatwe, tylko trzeba mieć dobry kontakt. No i ja wiem już, kto był tym twoim dobrym kontaktem.

Leon odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

— Cholera jasna!

— No właśnie, Leonie. Cholera jasna! No więc przyjeżdżasz, czy powinnam szukać w książce telefonicznej numeru do wydziału zabójstw?

— Corinno, to... to... do cholery, Corinno, to jest szantaż! Zamyśliła się. Z drugiej strony słyszała sapanie ze złości.

— Tak — odpowiedziała. — Chyba właśnie tak można to nazwać.

♦♦♦

Leon przyjechał pół godziny później. Był rozmemłany i wyglądał na przestraszonego, więc Corinna pocałowała go w koniuszek nosa i wysłała na basen, żeby sobie popływał. Gdy chlapał się, machając rękami i nogami w wodzie, ślepy bez okularów, z wycieczki do fabryki Peace Pharmaceuticals wrócili Craig i Sam McCook.

Corinna powitała ich, gdy właśnie wysiadali z samochodu.

— Cześć. Jak poszło? — zapytała.

— Pozwolono nam dość dokładnie zwiedzić zakład. Praktycznie cały proces od początku do końca. Nie ma najmniejszej szansy, żeby jakiegolwiek zanieczyszczenie dostało się do paliwa podczas jego mieszania. O ile oczywiście nie umieszczono go w nim celowo. Dowiedzieliśmy się czegoś jeszcze. Pozwala to odsunąć wszelkie podejrzenia od twojego ojca.

— Tak? A co to takiego?

— Jeśli ktoś chce pokombinować z zerolene, może to zrobić jedynie tuż przed samym wykorzystaniem paliwa. W przeciwnym wypadku jakiegolwiek zanieczyszczenie doprowadziłoby do zapchania dysz pomp paliwowych. Mówiąc inaczej, jeśli ktokolwiek dodał jakiś związek do paliwa *Fireflasha*, musiał to zrobić dosłownie na minuty przed odpaleniem silnika. Streszczając, nie udało się zanieczyścić paliwa tutaj, w Los Angeles.

Szli w kierunku domu.

— Czy to znaczy, że wracacie do Utah? — zapytała Corinna. Stała blisko Craiga i świadomie wysyłała mu informacje oczami: „Podobasz mi się, panie Craig Winger. Nie chciałbyś mnie?”.

— Obawiam się, że tak — odpowiedział Craig, nie zważając na telepatyczne wiadomości przesyłane mu przez Corinnę.

— Obawiasz się, że tak? Ale jesteś żonaty. Nie wracasz do żony?

Craig podniósł rękę z obrączką i uśmiechnął się.

— Oczywiście, cieszę się, że wracam. Kalifornia ma wiele piękna. Jest tu kilka rzeczy, które mężczyzna chciałby lepiej poznać.

— No to proszę zostać, panie Winger. Miło będzie pana gościć.

Na tarasie pojawił się Tyson Peace z wielkim hawaryskim cygarem w ustach.

— O, Winger! — rzucił. — No i jak poszło? Znaleźliście tajemniczego bandytę zanieczyszczającego paliwo raketowe i złapaliście go na gorącym uczynku? I gdzie on jest? Macie go w bagażniku? Craig był skrepowany.

— Nie, panie Peace. Nic nie znaleźliśmy. Dowiedziono nam, że nie istnieje jakakolwiek możliwość, by Peace Pharmaceuticals było odpowiedzialne za wypadek mojego ojca.

Tyson wciągnął dym z cygara do ust.

— Raczej trudno będzie to ustalić.

Craig wzruszył ramionami.

— Ja chcę tylko poznać prawdę. Nic ponadto.

— To i tak bardzo wiele — stwierdził Tyson. — Nie wolałby pan księżycy na złotej tacy?

— Może jedno i drugie — odparł Craig i popatrzył na basen. — Czy to może ktoś, kogo znam?

— To Leon.

— Leon? To o nim wspominał pan wcześniej? Tyson spokojnie pykał cygarem.

— O nim. To syn Davida Suskicza. Miły chłopak. Przejmuje po ojcu interes.

— Czy on znał mojego ojca?

— Najprawdopodobniej.

— To może zamienię z nim kilka słów?

Corinna pociągnęła Craiga za rękaw.

— Dałabym mu spokój dzisiaj, panie Winger. Jest strasznie zmęczony.

— Wygląda mi na faceta w pełni sił. Pływa jak Moby Dick — stwierdził Craig.

— Może innym razem, panie Winger — powiedziała Corinna i ruszyła w stronę samochodu Craiga.

Sam McCook spojrział na zegarek.

— Mamy trzydzieści pięć minut do odlotu do Salt Lake City, Craig. Powinniśmy się pospieszyć.

— Dobrze. Dziękuję za pańską pomoc, panie Peace.

— Do usług — odparł Tyson tonem, który wskazywał coś zupełnie przeciwnego.

— 1 dziękuję pani — zwrócił się Craig do Corinny. — Za pani gościnność i za pani urodę. Była pani dla mnie jasnym światłem w tym smutnym dniu.

Sam McCook zakaszłał i odwrócił wzrok. Corinna pochyliła się do przodu i pocałowała Craiga w usta.

— Jestem pewna, że jeszcze się zobaczymy, panie Winger.

— Po takim pocałunku chyba możemy już przejść na ty?

— Jasne. Jestem pewna, że jeszcze cię zobaczę, Craig. Milej podróży. Do widzenia.



Tyson Peace stał w drzwiach, obserwując, jak odjeżdżają. Gdy wynajęty samochód zniknął za bramą odwrócił się do Corinny i zapytał:

— Chcesz się z nim pieprzyć?

Corinna uśmiechnęła się.

— Może — odpowiedziała. — A ty nie chciałbyś?

♦♦♦

Zamknęła drzwi do sypialni na zasuwkę i zapaliła lampy koło łóżka. Leon stał na dywanie, nerwowo chrząkając.

— Stoisz, jakbyś właśnie miał wygłosić jakieś przemówienie.

— Może powinienem. Jestem trochę przejęty. Corinna podeszła do niego i odwróciła się plecami.

— Czy mógłbyś rozpiąć mi sukienkę?

— Oczywiście.

Niezdarnie odpinał drobne guziczki, materiał rozchylił się, ukazując znajome mu wgłębienie kręgosłupa i mniej znaną bliznę przecinającą jedną łopatkę. Sukienka opadła na podłogę. Leon odwrócił się.

— Podnieś ją proszę.

— Posłuchaj, Corinna. Nie jestem pewien, czy... Corinna złapała go za ramiona i odwróciła do siebie.

— Leonie, lepiej, żebyś był pewien. Bo jeśli nie będziesz, to podniosę słuchawkę i zadzwonię po gliny i zapewniam cię, że zjawią się tu tak szybko, że nie zdążysz nawet pomyśleć, którędy zwiewać. I mówię całkiem serio.

Leon skinął posłusznie głową. Spojrzał na nią. Nadal była ładna. Nawet ładniejsza z przyciętymi na lato włosami, choć na twarzy zauważył blade ślady — pozostałości po wypadku. Opuścił wzrok. Jej piersi były tak pełne jak kiedyś. Różowe sutki sterczały od chłodu klimatyzowanego pokoju. Prawie bez namysłu podniósł dłoń i dotknął jednego. Stwardniał jeszcze bardziej.

Zamknął oczy, pochylił głowę i znów otworzył oczy. Płaski brzuch, a wokół talii nylonowa uprząż mocująca pasy i sprzączki. Zmusił się, by na to spojrzeć. Gdy skupił wzrok, zadziwiająco łatwo zaakceptował to, co zobaczył. Po pierwszej wizycie tygodniami śniły mu się koszmary. Jednonożna Corinna goniąca go po polach, plażach i klifach. Jednonożna Corinna rozpadająca się kawałek po kawałku w jego rękach. Gładki kikut i różowa proteza tak się złąły, że nie wydawały się wcale odrażające.

Jasne łonowe kędziorki dziewczyny połyskiwały w świetle lampy. Niżej dostrzegł różowe wargi skrywające waginę.

Położył dłoń po prawej stronie jej ciała i zjechał w dół, subtelnie omijając nylonowy pas, dotknął ją między nogami wyprostowanym palcem. Była śliska, mokra i soczysta.

— No i co? — zaczęła Corinna. — Będziesz kazał biednej kalece stać tutaj przez całą noc?

Zawstydził się. Wkurzył się na siebie za zaczerwienione policzki. Corinna świetnie potrafiła wywołać w nim poczucie winy. Nawet jeśli niczemu nie był winny. Szybko

ściągnął koszulę i zrzucił buty. Pamiętał, by najpierw zdjąć skarpetki, a dopiero potem spodnie. Corinna śmiała się z niego kiedyś, gdy chodził nago w skarpetkach. Zsunął spodnie i bokserki. Członek sterczał w częściowej erekcji. Nie minęła nawet sekunda, a Corinna złapała go w rękę i kilka razy zmysłowo pociągnęła. Zesztywniał jeszcze bardziej.

— Połóż się — nakazała mu Corinna. — Zaraz do ciebie dołączę, tylko muszę zrobić magiczne ruchy.

Położył się na ozdobnej kapie i podtrzymał erekcję ręką. Corinna usiadła na brzegu łóżka i odpięła protezę. Odłożyła ją na fotel i przekręciła się do Leona, kładąc się na brzuchu. Kikut dotykał jego uda. Odczuwał to jak mieszaną podniecenia seksualnego i szoku. Zastawiał się, czy będzie musiał go pogłaskać.

Leon przysunął się bliżej. Objął ją ramieniem. Jej skóra była ciepła i gładka jak zawsze. Uwielbiał dotyk ciała Corinny. Jej plecy były długie, gładkie i miękkie. Miała wielkie, lecz jędrne piersi. Mógł chwycić je w dłoń i bawić się nimi jak erotycznymi piłkami plażowymi. Nadal pachniała tak samo — seksownie i aromatycznie. Jej pośladki były krągłe i twarde.

Zaczęła go namiętnie całować. Ustami, zębami, mokrym językiem gwałciła jego usta. Jej piersi przycisnęły się do jego piersi, poczuł twarde sutki. Ogarnęła go fala namiętności, która chyba zaczynała się w stopach i płynęła w górę aż do jąder. Członek stwardniał jak w najlepszych chwilach.

Corinna nie odzywała się. Musiała wreszcie zaspokoić uwięzioną na cały rok seksualność. Całowała go mocno w usta, w szyję, lizła, gryzła, i znów całowała. Długimi palcami schodziła coraz niżej po jego plecach, aż dotarła do krocza. Leon próbował powiedzieć, że jednak ją kocha, ale nawet tego nie słyszała.

Poczuł nagle, że dotyka jej lewego uda. Dziwne uczucie, które pojawiło się znikąd, zaczęło go jeszcze bardziej nakręcać, aż doszedł palcami do zaokrąglonego, gładkiego końca kikuta. Corinna zajęczała i cofnęła rękę. Wtedy złapała jego dłoń i położyła z powrotem na kikucie, zachęcając do głaskania różowego końca.

Aż drżała z rozkoszy. Leon odsunął się trochę i uklęknął na łóżku. Corinna leżała na boku, a on usiadł na jej zdrowej prawej nodze. Masował czerwony, nabrzmiąły członek o kikuta, brudząc go śliską wydzieliną z jąder. Nie mógł już dłużej znieść napięcia, podniósł go, aż wargi sromowe się rozchyliły, i wsunął się głęboko w gorące i mokre wnętrze. Corinna odrzuciła głowę i wydała z siebie ostry, zwierzęcy krzyk. Leon docisnął się do niej i zaczął wykonywać głębokie, gwałtowne, rytmiczne ruchy.

Dziewczyna wrzeszczała bardzo głośno; przez chwilę pomyślał, że robi jej krzywdę. Ale nie mógł przestać, nawet gdyby chciał. A ona nadal darła się i darła, aż wreszcie zacisnęła zęby i palce, jej twarz wykrzywiła się, sutki sterczały, a ciałem wstrząsały dreszcze rozkoszy. Kikut uderzał jak oszalały o jego nogę. Rzuciła się tak mocno, że członek

wysunął się z pochwy w czasie wytrysku, a sperma rozlała się na jej udzie i włosach łonowych.

— O Boże! — sapła. — Leonie, Leonie.

Usiadł z boku dyszący i spocony.

— Czy było okropnie? — pytała zasapana. — Było koszmarnie?

Pokręcił przecząco głową.

— Nie podobało ci się z tą amputowaną nogą? Zobacz, mam na niej twoją spermę. Czy nie jest sexy?

— Pewnie — odpowiedział i się odwrócił. Wbiła palce w jego plecy.

— Czy to było odrażające, Leonie? Czy ci się podobało? Powiedz mi, co myślisz! Przekaż mi swoją wyważoną opinię — ironizowała.

Ujął jej dłonie.

— Daj mi spokój, Corinna, do licha ciężkiego.

— Nie podobało ci się, prawda? Nie podobało ci się!

Odepchnął ją od siebie i wstał z łóżka. Corinna straciła równowagę i opadła na plecy.

— Pewnie jestem dla ciebie odrażająca, co?! — krzyczała. — Odrażająca kaleka!

Leon wyszedł na korytarz i oparł głowę o boazerię. Corinna przeczłogała się po ozdobnej kapie na koniec łóżka i zapytała go ciepłym i lubieżnym głosem:

— Czy nie była to najbardziej ohydna rzecz, jaką musiałeś kiedykolwiek w życiu zrobić? Nie dostałeś mdłości? Od dziewczyny z jedną nogą? Och, Leonie, powiedz mi, jak bardzo tego nie cierpiałeś. Powiedz mi, jak cię skręcało z obrzydzenia!

— Nie — warknął Leon. Nie odwrócił się od ściany. — Nie, Corinna. I zostaw mnie w spokoju.

— No dalej, Leonie. — Uśmiechnęła się. — Przyznaj się, jak przyprawiało cię to o mdłości? Chociaż troszeczkę? Nieznaczne mdłości? A może okropne mdłości? A może chciało ci się potwornie rzygać?

— Nie! — wrzasnął wysokim tonem, brzmiącym niemalże jak kobieca histeria. — Nie, do cholery, nie! To było niezwykle, ty głupia suko! Było lepiej! O stokroć lepiej niż wcześniej, gdy miałaś obie nogi! Lepiej niż kiedyś, gdy nie miałaś kikuta! Kocham cię taką jaką jesteś! O Jezu! Kocham cię właśnie taką!

Corinna pobladła. Usiadła z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami ze zdziwienia. Leon skulił się, klęcząc. Stukał głową w podłogę i łkał jak mała dziewczynka. Corinna polizała suche usta.

— Leonie — szepnęła. — Leonie.

Ale on nadal płakał skulony w embrionalnej pozycji z twarzą zalaną łzami.

— Leonie, odezwij się, Leonie!

Milczał. Corinna siedziała przez chwilę bez ruchu, po czym cofnęła się do wezglowia i przykryła się do połowy kołdrą. Czula zimną lepłą spermę spływającą po udzie, ale nie wytarła jej.

— Leonie, Leonie.

Tym razem już go nie wołała. Wypowiadała jego imię refleksyjnie, miękko, zastanawiając się, jak często słabi ludzie wykorzystywali swoją słabość, by wygrać z silnymi.

## ROZDZIAŁ 5

Sarah właśnie piekła, gdy Craig wszedł do domu. Zapach ciasteczek roznosił się w każdym pokoju ich małego mieszkania przy Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Przez otwarte okna wpadało wilgotne powietrze pełne szumu wielkiego miasta.

Odstawił walizkę i wszedł do kuchni. Pocałowali się na powitanie. Craig pochylił się i szturchnął palcem tacę orzechowych ciasteczek. Sarah odsunęła jego dłoń.

— Co to za okazja? A może wstąpiłaś do drużyny skautów? Myślałem, że tylko skautki pieką pierniki.

Przetarła spocone czoło. Klimatyzator domowy znowu się zepsuł i w mieszkaniu było parno i gorąco od sierpniowych upałów. Minał prawie miesiąc od śmierci Bradleya Wingera na solnym płaskowyżu w Utah, a oni wrócili do swojej codzienności.

— Twoja matka przylatuje w odwiedziny — wyjaśniła. — Nic o tym nie wiesz?

Wyjął puszkę piwa z lodówki, otworzył i upił długi łyk. Złapał się za brzuch i głośno beknął.

— Chyba nie. A skąd niby miałbym wiedzieć?

— Dzwoniła w poniedziałek. Ma być o w pół do dziewiątej.

— To świetnie — odpowiedział Craig z ironią w głosie. — Tego właśnie potrzebowałem. Kiepski dzień w pracy, kiepska jazda autobusem do domu, kiepski ból głowy, a teraz moja kiepska matka. Co dziś ciekawego w telewizji?

— Wszystko, co lubisz — odparła Sarah, wycierając ręce w kuchenny fartuch. — Nie mam czasu na oglądanie telewizji.

Craig przeszedł przez mały salonik i włączył telewizor.

— Gdybyś ostatnio coś oglądała, to nie mówiłabyś, że jest to, co lubię. Ostatnio są same marne programy, za ich oglądanie powinni przyznawać odznaczenia. O Boże, *Rodzina Waltonów* — Dobranoc, *John-boy*, Dobranoc, mamciu. Odpierdol się, dziadku.

Sarah podeszła do kuchennych drzwi. Włosy spięte gumką domagały się już mycia. Miała na sobie starą brązową bawełnianą sukienkę, właśnie tę, o której Craig zawsze mówił, że wygląda prawie jak worek na fasolę.

— Craig, pomożesz mi? Muszę dokończyć pieczenie i ugotować obiad, a nie wzięłam jeszcze prysznic.

Craig przełknął łyk piwa, oglądając, jak Fred Flintston zasuwa przez Bedrock.

— W porządku, kochanie, ale pozwól mi chwilę posiedzieć i odpocząć.

— Craig, jest dwadzieścia po szóstej, a twoja matka przyjeżdża o ósmej trzydzieści. Muszę obrać ziemniaki, oczyścić paprykę i nie zaczęłam jeszcze...

Craig podniósł oczy. Nagle zdał sobie sprawę, że jest brzydka. Zrobiona na laleczkę, jak Shirley Tempie, była rozkoszna, śliczna i słodka, ale po zdjęciu sztucznych rzęs, bez zalotnej czerwonej szminki, co zostało? Z niewyjaśnionych do końca przyczyn nagle zaczęło go jeszcze bardziej wkurzać, że jest taka brzydka.

— Nie dręcz mnie.

— Nie dręczę cię. Proszę cię tylko o pomoc w kuchni. Robię obiad i chcę, żebyś mi pomógł. Ja też pracowałam cały dzień.

Wstał i odstawił piwo. Z miseczki na stoliku do kawy wziął sobie garść orzeszków ziemnych.

— Orzeszki miały być na później — mruknęła Sarah. — Na wizytę twojej matki.

— Posłuchaj — zaczął, gryząc orzeszki. — Kto zapłacił za te pieprzone orzeszki? Jeśli chcę jeść orzeszki, to je jem, i koniec.

— Craig, do cholery jasnej. Ja nie chcę cię dręczyć, ale jest jeszcze tyle do zrobienia.

Poszedł za nią do kuchni

— No dobrze. To co mam robić?

Westchnęła niecierpliwie.

— Nie musisz udawać świętego Antoniego odprawiającego ciężką pokutę. Chcę, żebyś tylko obrał ziemniaki.

— Które?

— Te z torby, która zawsze jest na tym samym miejscu.

— Dobra, nie podniecaj się. Przecież tylko pytam. Ile tych ziemniaków mam obrać?

— Tyle, żeby wystarczyło dla trzech osób.

— To akurat wiem. Ale ile ma wystarczyć dla trzech osób?

— Craig, proszę cię! Obierz tyle, ile uznasz, że zjesz.

— Jeśli chodzi o mnie, to wcale nie chcę kartofli. Sarah rzuciła durszlak z mąką na podłogę i zabrudziła kuchnię.

— To nie obieraj tych pieprzonych kartofli! Zostaw to mnie! Wyjdź stąd i zostaw to mnie! Jezu, przecież to twoja matka!

— Nie krzycz na mnie! — ryknął. — To ty ją zaprosiłaś! Sarah wpadła we wściekłość. Podeszła do tacy, na której stygły ciasteczka, i rzuciła je wszystkie na podłogę.

— Masz! Wiesz, jaki jesteś? Jesteś samolubny i głupi, a odkąd zginął twój ojciec, uważasz, że wszyscy powinni ci współczuć! Jesteś głupim, prymitywnym, zepsutym bachorem!

— No brawo, kurwa, brawo! A co teraz mam zrobić? Poskakać po nich? Zrzucić kurczaka na podłogę i po nim też poskakać? A może cały pieprzony obiad zrzucić na podłogę?

Ruchem ręki zrzucił warzywa, kurczaka i słoiczki z przyprawami na podłogę i ze złością kopnął kurczaka do salonu.

Sarah popatrzyła przez chwilę na to wszystko i wyszła z kuchni bez słowa. Trzasnęła drzwiami sypialni i zamknęła je na klucz.

Craig przeszedł po chrzęszczących mu pod stopami ciasteczkach do lodówki i wziął sobie drugie piwo. Ręce mu drżały, gdy odrywał zawleczkę. Zaciął się w palec. Przeklinając, z zakrwawionym palcem, wrócił do salonu. Na ekranie Fred Flintstone właśnie klócił się z Wilmą. Craig wyłączył telewizor, usiadł i zapalił papierosa. Kurczak leżał pod drugim fotelem blady i niekochany.

Dlaczego ona zawsze musi mnie tak wkurzać? — zapytał się w myślach. Każdego dnia, gdy wracam z pracy do domu pełen dobrych intencji, kończymy wieczór awanturą. Im jest miłsza dla mnie, tym ja staję się gorszy. Co się ze mną dzieje? Z nami? Zaciągnął się papierosem i wypuścił dym. Coś umarło na słonych płaskowyżach koło Uinta i to nie był tylko jego ojciec.

Po chwili podeszedł do drzwi sypialni i zapukał. Nie było żadnej odpowiedzi.

— Sarah, przepraszam.

Brak odpowiedzi. Spojrzał na podniesioną dłoń.

— Sarah, proszę. Musimy o tym porozmawiać.

— Po co? — zapytała płaczącym tonem. — O czym tu rozmawiać?

— Sarah, dzieje się coś niedobrego między nami i powinniśmy spróbować o tym porozmawiać.

— To przez ciebie, Craig. To ty jesteś niedobry. Odkąd umarł twój ojciec, ciągle jesteś w złym humorze. Nie wiem, jak mam postępować, żeby ci dogodzić. Próbowалам wszystkiego i nic nie działa. Czego chcesz ode mnie? Jesteś niecierpliwy i ciągle poirytowany.

Craig zagryzł wargi.

— Sarah, to nie jest tylko moja wina.

— Więc czyja? Co ja takiego złego zrobiłam?

— No, wiele rzeczy. Jesteśmy winni pół na pół. Oczywiście, że źle się zachowywałam, ale ty też.

— Na przykład? Co zrobiłam złego?

Craig westchnął.

— Trudno mi teraz dać konkretny przykład. Ale tu chodzi o całe twoje podejście...

Podeszła do drzwi, otworzyła je i stanęła z nim twarzą w twarz. Miała czerwone i zażawione oczy, wyglądała jeszcze brzydziej i głupiej niż kiedykolwiek. Ledwie zniósł samo patrzenie na nią.

— No co takiego zrobiłam? Co?

— Spójrz choćby na siebie, do licha. Zawsze wyglądasz byle jak.

— Byle jak?! — zawyła. — A ty co? W niedzielę rano łazisz po domu w brudnych dżinsach i nawet się nie ogolisz!

— To co innego! — krzyknął. — To jest, kurwa, zupełnie co innego i dobrze o tym wiesz!

— A co w tym innego?

Coś w nim pękło. Robił wszystko, żeby tylko jej nie uderzyć. Fale wściekłości unosiły się i opadały w jego klatce piersiowej. Chodził z kąta w kąt po salonie jak stuknięty robot. W końcu kopnął w półkę z książkami i wodospad książek rozsypał się po podłodze. Włożył marynarkę, otworzył drzwi i wybiegł. Słyszał płacz Sarah w korytarzu, ale nic go to już nie obchodziło.

♦♦♦

Działając pod wpływem impulsu, złapał na ulicy taksówkę i kazał się zawieźć na lotnisko La Guardia, żeby spotkać się z matką. Była osobą, z którą mógł porozmawiać. Do portu lotniczego dotarł wcześniej, więc poszedł do baru i zamówił jacka danielsa z lodem. Chrupał orzeszki i słuchał zapowiedzi przylotów i odlotów.

Przy barze obok niego usiadła wysoka ciemnowłosa kobieta z kiepsko zapudrowaną opryszczką na twarzy. Miała wielkie piersi w odznaczającym się guzowatym biustonoszu, a do taniej białej sukienki przypięła wędzący goździk.

Wyciągnęła paczkę papierosów, wyjęła jednego i zwróciła się do Craiga.

— Przepraszam pana — zaczęła melodramatycznie chropowatym głosem — ale czy nie ma pan może ognia?

Craig przysunął jej paczkę zapalek leżącą obok niego na blacie baru. Popatrzyła na zapalki.

— To nie jest zbyt kulturalne. Nigdy nie zapala pan kobiecie papierosa, gdy o to prosi?

Craig przełknął łyk bourbona i nic nie odpowiedział.

— No taaak — powiedziała, uśmiechając się i wydychając chmurę dymu w jego stronę. — Wygląda pan na mężczyznę, który ma problem.

Nawet nie spojrzał w jej stronę. Przynęła swój stołek barowy bliżej i próbowała pochylić się ku niemu, żeby zwrócił na nią uwagę. Jezu, czy wszystkie brzydkie kobiety tego świata nie mogą się ode mnie odczepić? — pomyślał Craig.

— Wygląda pan na mężczyznę, który potrzebuje... pocieszenia — stwierdziła, przesuając dłonią zakończoną długimi czerwonymi paznokciami po jego rękawie.

Zignorował ją zupełnie. Dał znak barmanowi, że chce jeszcze jednego drinka i wyciągnął papierosa z paczki w kieszeni. Czarnowłosa dziewczyna wzięła pudełko z zapalkami i podała mu ogień. Przez moment zawahał się, wpatrując w migocący płomień na zapalce i spoglądając na brzydką dziewczynę, po czym pochylił się i odpalił papierosa.

— Powiem ci coś — przemówił, gdy pojawił się drugi drink.

— Co takiego, wielki cwaniaku?

Craig skrzywił się.

— Powinnaś być bardziej... subtelna. A „masz ognia?” i „cwaniaku” to kiepskie teksty z filmów drugiej kategorii. Gdzie się tego nauczyłaś?

Odchyliła się odrobinę do tyłu i wzruszyła ramionami.

— Sama nie wiem. Może z tych filmów drugiej kategorii. Craig wychylił swojego bourbona.

— Postawić ci drinka?

— Nie powiem nie.

Zamówiła sobie daiquiri. Siedzieli obok siebie, nic nie mówiąc przez dłuższą chwilę, po czym dziewczyna zapytała:

— Więc jednak masz jakiś problem?

— Można by tak powiedzieć. Różne problemy — odpowiedział, krzywiąc się.

— Chcesz o tym pogadać? Jestem bardzo dobrym słuchaczem.

— Nie ma o czym rozmawiać. I tak byś tego nie zrozumiała.

— Wypróbuj mnie.

Pokręcił głową.

— Nie zrozumiesz tego problemu, bo nie jesteś facetem. To całkowicie męski problem. Dotyczy zobowiązania syna wobec zmarłego ojca.

Dziewczyna przeczesła długie czarne włosy.

— W takim przypadku trafiłeś w dobre miejsce. Spojrzał na nią.

— Taaak?

— Tak. Przyjaciele nazywają mnie Suzy-Q, ale naprawdę nazywam się Howard Fremont. Masz problemy z ojcem? Chyba wiem coś na ten temat.

Craig popatrzył na grubą makijaż, szerokie brązowe oczy i cienkie, narysowane kredką brwi. Popatrzył na jej ręce i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że były dość muskularne. Nie wiedział, czy wstać i odejść, czy kazać Suzy-Q się wynosić, czy siedzieć i zachowywać się normalnie. Rozejrzał się po barze, by sprawdzić, czy ktoś z pozostałych gości zauważył, że rozmawia z mężczyzną przebranym za kobietę, ale zobaczył same pochylone postacie, zmęczone twarze i oczy pozbawione zainteresowania.

— Jesteś mężczyzną? — upewnił się.

— Jasne. Niezły jestem, co? To znaczy, chcę powiedzieć, że niektóre dziewczyny są tak paskudne, że aż trudno w to uwierzyć. Znam taką jedną z Brooklynu, w ciągu dnia pracuje jako doker i zwymiotowałbyś, widząc ją o północy w czymkolwiek, co nie jest piwnicą na węgiel. Broda, mięśnie, głęboki głos. Dostałbyś dreszczy. Ale są też dziewczyny wręcz niespotykane piękne. Mam przyjaciółkę o imieniu Tang — jest Chinką i jest śliczna. Tyłu facetów się w niej zakochało, że to aż niesamowite.

Craig zmarszczył brwi i zapytał:

— Próbowalaś mnie poderwać?

Suzy-Q wydeła wargi.

— Poderwać? Raczej nie wpadłam tu na piwo.

— I co niby miałbym zrobić, gdybyś mnie poderwała?

— To zależy od grubości twojego portfela, nie wspominając innych grubości.

Craig wypił niewielki łyk bourbona i zmierzył męską dziwkę wzrokiem od góry na dół. Gdy tak się jej przypatrywał, cały czas mrugała rzęsami, pozowała i robiła zalotne ruchy, ani razu nie robiąc czegokolwiek, co nie byłoby całkowicie kobiece.

— Jesteś niezwykła. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

— Ooo, dzięki.

— Ale czegoś tu nie łapię. Przecież musi nastąpić moment prawdy, tak? Moment, w którym przyznajesz się, że jesteś mężczyzną. Zanim przejdziesz do czegoś... bardziej intymnego.

— Panie kochany, obciążam facetom laski szybciotko w taksówkach, za rogiem budynku lotniska i gdziekolwiek pan sobie życzysz. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent moich klientów nie ma pojęcia, że jestem kimś innym niż tym, kogo widzą.

— Nigdy cię nie złapano?

Suzy-Q rozejrzała się dookoła. Wskazała palcem na potężnego ochroniarza w czystej koszuli i grubasa, którzy stali w poczekalni.

— Pewnie, że mnie kiedyś złapali. Byłam w kiciu ze dwa razy. Ale nie na długo. Mam wśród nich wpływowych przyjaciół. Ludzi, którzy nie wstydzą się pomóc dziewczynie w kwestiach prawnych w zamian za... pewne usługi.

Craig zamówił jeszcze dwa drinki. Gdy to robił, stało się coś, co wcale mu się nie spodobało, ale wpłynęło na całe jego późniejsze życie. Mężczyzna w tyrolskim kapeluszu zrobił zdjęcie z lampą błyskową swoim rodzicom wracającym do Wisconsin. Była to para grubasów w ubraniach zdradzających pochodzenie ze Środkowego Zachodu, z walizkami w kratę i torbami z upominkami z Nowego Jorku. I za nimi w tle siedział Craig Winger z jedną ręką na ramieniu męskiej dziwki — transwestyty. Jego twarz zdradzała, że mówi coś uwodzicielskiego, a oczy przymrużone pod wpływem odbłyску lampy wyglądały rozpustnie i nikczemnie.

Gdy rozmawiali jeszcze przez chwilę, Craig usłyszał zapowiedź przylotu samolotu matki.

— Muszę lecieć. Miło cię było poznać.

— Idziesz już?

— Muszę. Właśnie wylądował samolot mojej matki z Chicago.

— Nie chcesz się... rozweselić?

— Dzięki, ale nie. Spieszę się.

Suzy-Q pogrzebała w torebce.

— A może chcesz mój numer telefonu? Zawsze możesz do mnie zadzwonić, jeśli będzie ci smutno.

Craig położył dłoń na jej ramieniu i powiedział:

— Proszę się mną nie martwić, proszę pani.

— No proszę. Weź mój numer.

Nabazgrała numer telefonu na karteczce wyrwanej z notatnika i wcisnęła go do kieszeni na piersi Craiga.

— Nawet jeśli nie zadzwonisz, to możesz przynajmniej popatrzeć na numer i wyobrazić sobie, co by się działo.

Craig roześmiał się.

— Może raczej nie. Muszę już iść. Powodzenia Suzy-Q. I trzymaj się daleko od kicia.

Suzy-Q mrugnęła zalotnie okiem, ale Craig momentalnie o niej zapomniał, gdy tylko zaczął przepychać się przez tłum ludzi w poszukiwaniu matki.

♦♦♦

Pod szykownym okryciem elegancko noszonej żałoby Marjhorie była gorzka i zniechęcona. Miała na sobie rewelacyjnie uszyty dwuczęściowy czarny kostium z pasującą do niego czarną torebką z krokodylej skóry. Czarny kapelusz z woalką na platynowych włosach dopełniał obrazu. Jak zawsze wyglądała na osobę zamożną i zadbaną. Jednak wyblakły głos i matowy wzrok dały Craigowi do zrozumienia, że siły matki były na wyczerpaniu.

Nióśł jej torbę przez halę przylotów, a na zewnątrz zatrzymał taksówkę. Noc była ciemna i wilgotna, w powietrzu unosił się zapach paliwa lotniczego. I on, i Marjhorie woleliby nie pamiętać o tym zapachu. Usiedli na czarnych siedzeniach z dermy, a taksówkarz żydowskiego pochodzenia zanudzał ich przydługim opowiadaniem o bar micwie.

— Jak się czujesz, mamo? — zapytał Craig. Zadał jej to pytanie jeszcze na lotnisku, ale wtedy nie usłyszał odpowiedzi. A teraz naprawdę chciał wiedzieć, jak się czuje.

— Jestem zmęczona, Craig, potwornie. Mam trudności z zasypianiem.

— A doktor Fawcett nie dał ci żadnych proszków nasennych?

— Dał. Pomagają na krótko, nadal budzę się około drugiej lub trzeciej nad ranem. I cały czas przed oczyma mam twojego ojca i *Fireflasha czwartego*.

Craig złapał ją za rękę.

— Mamo, bardzo chciałbym zrobić coś, co by ci ulżyło, ale za bardzo nie wiem co. Chyba tylko czas może być dla ciebie lekarstwem.

Marjhorie zdjęła kapelusz i położyła go na kolanach. Patrzyła na uciekające po bokach światła miasta. Zbliżali się do Manhattanu. Craig nie wiedział, czy matka płacze.

Gdy zaczęła mówić, okazało się, że jednak nie. W jej głosie usłyszał zbyt dużo determinacji.

— Nie, Craig, czas nie jest jedynym lekarstwem. Ale to jest.

Rozpięła zamek torby i wyjęła zrolowany egzemplarz „Newsweeka”. Był otwarty na stronie z zakreślonym długopisem tytułem: „As prędkości, któremu się nie udało”. Pod spodem umieszczono starą fotografię ojca odbierającego nagrodę za zdobycie drugiego miejsca na torze Watkins Glen. Pod zdjęciem napisano: „Bradley Winger,

niezmordowany wicemistrz rajdów, odbiera puchar za drugie miejsce po swoim ostatnim wyścigu". Craig nie zdołał przeczytać całego artykułu w mrugającym świetle mijanych lamp ulicznych, ale sam rzut oka mu wystarczył. Zrozumiał, że jego ojciec przeszedł do historii rajdów jako Pan Elegancka Porażka. Oddał matce tygodnik.

— No i co? — zapytała.

— A co niby mam powiedzieć? Że to nieprawda?

Wcisnęła „Newsweeka” z powrotem do torby.

— Oczywiście, że to jest prawda, ale nie o to mi chodzi. Gdyby żył tylko trochę dłużej, mógłby pobić rekord i wszystko by się zmieniło. A teraz jest źródłem dowcipów. Zawsze gdzieś z boku zwycięzcy, nigdy sam na najwyższym miejscu podium. Zawsze drugi. Craig, jako jego żona wiedziałam, że on nosił w sobie zwycięstwo.

Craig westchnął.

— Mamo, nie wiem, co w ciebie wstąpiło. Kiedy żył, cały czas narzekałaś, że bierze udział w wyścigach. Teraz nie żyje i narzekasz, że nie był wystarczająco dobry. Nie da się tego pogodzić. Może gdybyś nie dawała mu poznać, że go za coś winisz, to lepiej by sobie radził na torze.

— Craig, to okropne, co mówisz!

— Naprawdę? Nie sądzę. Pamiętam kłótnie i awantury, i ojca wybiegającego z domu.

— Każde małżeństwo przeżywa wzloty i upadki. Craig skinął głową.

— Masz absolutną rację. A to przypomniało mi, że muszę ci coś wyznać: chyba to koniec z Sarah.

— Zostawiłeś ją? Dlaczego? Czy coś się stało?

— O, to nic poważnego — odpowiedział Craig. — Ostatnio ciągle były awantury i szarpanie nerwów. To pewnie przez te upały. Odkąd ojciec zginął, nie potrafię się uspokoić.

Marjhorie wyprostowała się na siedzeniu.

— No widzisz? To jest właśnie to.

— To jest co?

— Właśnie to, o czym cały czas mówię. Dobre imię i reputacja twojego ojca. Wygląda to tak, jakby go stąd zabrano, zanim zdążył zdobyć dla siebie właściwe miejsce w świecie. Craig, ten rekord prosi, żeby po niego sięgnąć, i wręcz błaga, żeby zrobił to jakiś Winger!

— Mamo, powiedziałem to już raz i powtórzę jeszcze raz...

— Nie mów nic, Craig. Nic przeciwko ojcu. Zginął i chcę, żebyś szanował jego pamięć. Nawet jeśli nie szanowałeś go, gdy żył.

— Ale, mamo, ty też go nie szanowałaś. Więc dlaczego mamy udawać, że został świętym Bradleyem od Solnego Płaskowyżu? Co w ciebie wstąpiło?

— Nic we mnie nie wstąpiło, Craig. Może właśnie uświadomiłam sobie, że duma rodzinna jest o wiele ważniejsza, niż do tej pory sądziłam.

— Duma rodzinna? Nie rozu...

— Nie rozumiesz i nie zrozumiesz. — Odwróciła się i patrzyła w okno.

Craig zastukał w pleksiglasową szybę oddzielającą kierowcę.

— Taaa? — odezwał się taksówkarz.

— Prosimy do Colosseum. Czterdziesta Ósma Ulica pomiędzy Siódmą i Ósmą Aleją.

Marjhorie odwróciła się zdziwiona.

— Colosseum? Myślałam, że jedziemy do domu.

— Mamo, przecież ci powiedziałem. Pokłóciłem się z Sarah. Lepiej, żebyśmy zjedli obiad na mieście, a potem wrócimy do domu.

— Nie sądziłam, że jest aż tak źle.

— Nie przypominam sobie, żebym coś więcej na ten temat mówił. Rozmawialiśmy tylko o moim wspaniałym ojcu.

— A co w nim takiego niewspaniałego? Co było w nim złego i podłego?

Craig już zamierzał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Przyglądał się twarzy matki z bliska, studiował jej rysy i nagle zrozumiał, co próbowała osiągnąć. Nigdy nie interesowała się wyścigami samochodowymi ani motocyklowymi. Tak jak syna nużył ją szum toru wyścigowego Watkins Glen i Indianapolis. Pamiętał jej sztuczny uśmiech na przyjęciach, na których mężczyźni rozprawiali o zawieszeniach, spojlerach, stopniu sprężania, a kobiety o osiągnięciach ich mężów; pamiętał jej wymuszone rozmowy podczas kolacji i pikników skupiające się wokół średnich osiąganych prędkości przejazdu i torów hamowania. Całe prywatne życie poświęciła Bradleyowi Wingerowi. Była błyskotliwą wykształconą inteligentną i kulturalną kobietą która świadomie pograżyła się w czyścisku rajdowego światka.

I zrobiła to z jednego powodu. Kochała Bradleya, ale jeszcze bardziej kochała sławę. Na początku ich związku wszyscy sądzili, że Winger zostanie gwiazdą wyścigów motocyklowych, a nawet mistrzem świata. Marjhorie widziała już męża w panteonie zwycięzców i wspierała go w dążeniach do sławy — bo tylko sława się dla niej liczyła. Była jak poszukiwacz złota, który zniesie trud wędrowki przez błota i pustynie, który przedrze się przez wysokie góry, puszcze i bagna, byle tylko na końcu szlaku wyłuskać błyszczący, złoty samorodek.

Ale niestety, nie nacieszyła się tym samorodkiem. Poświęciła całe życie na nic. Poświęciła je dla „Asa prędkości, któremu się nie udało”. Craig spojrzął na matkę i dostrzegł głębię jej bóleści i powód, dla którego prowokowała go do kontynuowania dzieła ojca. Sukces syna odkupiłby porażkę ojca. Bycie matką sławnego człowieka było prawie tak dobre, jak bycie żoną sławnego człowieka. A może nawet lepsze.

Craig kompletnie zaniemówił. Rozparł się na siedzeniu i gapił się na wprost, na szyję taksówkarza.

— No i co? Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co jest hańbiącego we wspomnianiu własnego ojca?

Craig zapalił papierosa.

— Wspomnienia nigdy nie są hańbiące — odparł spokojnym tonem. — To zależy, do czego mają służyć.

Nie zamienili już między sobą ani słowa, aż do momentu dojechania do restauracji. Zaczynało padać, więc skuleni pospieszyli do wejścia.

♦♦♦

W tej samej chwili Timeri Orari wychodził z taksówki w hiszpańskim Harlemie. Postawił kołnierz, poczekał na resztę, po czym wbiegł szybko po zaśmieconych schodach wysokiego, brudnego budynku, otworzył drzwi kluczem i zniknął w środku. W korytarzu było ciemno, śmierdziało dziecięcym moczem i przyprawami. Gdzieś na górze grał gramofon. Timeri pociągnął nosem i zaczął wspinać się po schodach. W połowie klatki musiał przekroczyć jakiegoś chłopaka w czerwonym T-shircie o jasnej, spoconej twarzy kiwającego się w narkotykowym otumanieniu.

Na czwartym piętrze stanął przed drzwiami i zaczął w nie walić. W środku grała głośno muzyka i słychać było harmider głosów.

— Tato, ktoś puka! — usłyszał czyjś głos i stukot dziecięcych stopek.

W końcu drzwi się otworzyły. Stanął w nich mały indo-j nezyjski chłopiec w T-shircie i majtkach.

— Mamo! To wujek Timmy! Wujek Timmy przyjechał!

Timeri wszedł i znalazł się w wąskim korytarzu z brudnymi tapetami i odpadającym tynkiem. Powitała go niska,<sup>1</sup> długowłosa Indonezyjka z podkrążonymi oczami. Ubrana była w tanią wzorzystą sukienkę, a na biodrach trzymała gołe niemowlę. W rozkręconym na cały regulator telewizorze w pokoju leciał akurat *Star Trek* i dochodziły stamtąd wybuchy śmiechu.

— Timmy.

Mężczyzna odłożył neser i rozłożył szeroko ramiona na powitanie. Objęli się mocno i obydwójce zapłakali z radości. Niemowlę złapało Timeriego za włosy. Przytulił je do siebie.

— Och, Timmy, Timmy — łkała kobieta. — Tak długo cię nie było. Bałam się, że już nigdy cię nie zobaczę.

— Już dobrze, Susha. Wróciłem. Przecież powiedziałem, że wrócę. Nigdy nie zapomniabym o mojej kochanej siostrzyczce.

Z salonu doszedł ich wybuch śmiechu i jakiś głos zawołał:

— Hej, co tam się dzieje? Susha! Czy to Timmy cię zatrzymuje? Przyrowadź go tutaj!

Trzymając neser, Timeri poszedł za siostrą do jasnego salonu zastawionego tanimi gipsowymi odlewami reniferów, królików i Matek Boskich. W pokoju dominował wielki telewizor, na którego ekranie wydzierał się kapitan Kirk. Troje małych indonezyjskich dzieci siedziało z nosami przyklepionymi do ekranu, niemalże wciągając amerykańską kulturę. Mały chłopiec bez spodni, który otworzył drzwi, i dwie dziewczynki z kucykami w sztywnych nowych, za dużych

dżinsach. W największym fotelu rozwalił się tusty Portorykańczyk w rozpiętej kowbojskiej koszuli w szachownicę odsłaniającej mocno owłosiony brzuch. Miał burzę czarnych włosów na głowie i oczy, które raz pojawiały się, a raz chowały w fałdach skóry, gdy mówił.

— Cześć, Carlos — powiedział Timeri i wyciągnął rękę na powitanie.

Carlos roześmiał się, złapał dłoń szwagra, klepnął go w plecy i uszczypnął w tyłek.

— Timmy, ty stary draniu. Kiedy byłeś tu ostatnio? Rok, dwa lata temu? Ty stary draniu! Chcesz piwo? Domowej roboty, daje niezłego kopa!

— Cola mi wystarczy. Zaszło mi w gardle. Macie colę?

— Hej! — zawołał Carlos, machając na Suszę. — Przyńś gościowi colę! Hej, Timmy, dobrze wyglądasz.

— Ty też dobrze wyglądasz, Carlos.

— Ha! — krzyknął Portorykańczyk, klepiąc się po wielkim brzuchu. — Trochę przytyłem. Nie mam pracy od trzech tygodni. Zamknęli sklep meblowy i wyrzucili mnie na ulicę. No i gdy nie mam pracy, to siedzę, piję domowe piwo i nagle — bęc — jestem gruby. Dobrze wyglądam z brzuchem?

Timeri uśmiechnął się skrepowany.

— Wołałem cię, jak byłeś szczupły. Może pobiegaj trochę. Jogging jest podobno dobry na zrzucenie kilku kilogramów.

— Nie — odburknął Carlos, machając tłustą łapą. — Mówili o tym w telewizji. Powiedzieli, że za dużo joggingu i ćwiczeń może człowieka zabić. Serio nie chcesz domowego piwa?

— Nie, dziękuję — odmówił Timeri. Mimo otwartych okien, w mieszkaniu było gorąco i zaczynał się źle czuć. Raził go hałas telewizora. Siostra przyniosła mu szklanekę ciepłej coca-coli. Wypił duszkiem, ale letnia słodkość jedynie wzmogła uczucie pragnienia.

Susha usiadła koło niego, trzymając dziecko na kolanach<sup>^</sup>. Dziecko ssalo sucharek i patrzyło na wujka, jakby ten właśnie przyleciał z Marsa albo z departamentu zdrowia.

— Czy to prawda, że ten Bradley Winger zginął? Teni dla którego pracowałeś? — zapytała Susha.

Timeri poluzował krawat. Na zewnątrz zaczął padać deszcz. Pomyślał, że wolałby być teraz na zewnątrz i schłodzić się w jego strumieniach.

— To prawda — przyznał. — Pomagałem wyciągać go z samochodu. To było okropne. Samochód wielokrotnie koziłkował i wybuchł, i musieliśmy go potem z niego wydobyć. Został rozdarty na pół. Śnił mi się przez wiele nocy. Okropne sny.

— To znaczy, że jesteś bez pracy? — zapytał Carlos.

Timeri wzruszył ramionami.

— No nie wiem. Mam przecież sporo doświadczenia. Może uda mi się szybko znaleźć jakieś dobre zajęcie.

Carlos podrapał się w brzuch.

— Nie próbuj znaleźć niczego w drewnie, Timmy. Stolar-ka, meble — nie ma w tym żadnej roboty. Próbowałem całymi tygodniami. I nic.

Timeri zmusił się do uśmiechu. Przypomniał sobie stary dowcip: „Słyszałeś o dzieciaku z Portoryko, który urodził się ze srebrną rybką w ustach?”. Spojrzał na trójkę dzieci przed telewizorem i Suszę.

— Dzieci zdrowe? Dostały prezenty na Boże Narodzenie z Chicago?

— Zdrowe. Dostały prezenty. Dziewczynki uwielbiają lalki. Hej, dziewczynki! Fajne te lalki od wujka Timmy'ego, nie?

Dziewczynki odwróciły główki, słysząc, że ktoś je woła, ale doktor Spock miał najwyraźniej silniejszy głos. Timeri zaczął odczuwać nadchodzący ból głowy. Skupił się na celu wizyty.

— A ty Susza? Jak ci się żyje?

— Dobrze.

— Byłaś ostatnio u lekarza?

— Nie — odpowiedziała, kręcąc głową.

— Dlaczego nie?

— Powiedzieli, żebym już nie przychodziła, bo to strata czasu.

Timeri chwycił ją za rękę. Sprawiała wrażenie na wpół zagłodzonego, drobnego ptaszka.

— Susza, nie jesteś żadną stratą czasu, rozumiesz? Carlos, Susza mówi, że nie chodziła do lekarza.

Carlos beknął.

— No a po co ma chodzić, Timmy? Bez sensu. I tak nie mamy na to pieniędzy.

Timeri wytarł pot z czoła.

— Carlos, powinienes opiekować się żoną. Nawet jeśli nie stać was na operację. Ona ma złośliwego guza. Zabije ją, jeśli czegoś się z nim nie zrobi. Nie można go po prostu zignorować i mieć nadzieję, że zniknie.

— Codziennie się modlę do Najświętszej Pani, żeby zniknął — oświadczyła Susza.

Timeri ścisnął jej dłoń.

— Susza, modlitwa nie wystarczy. Modlitwa to tylko rozmowa z Bogiem. Ale Bóg nie wyjmie ci guza z płuc. Tylko chirurg potrafi to zrobić.

— Panienska za darmo. Doktor za drogi — powiedziała i spuściła oczy.

Timeri spojrział na nich, otworzył neseser i odwrócił go do góry nogami. Dwadzieścia tysięcy dolarów w używanych banknotach wypadło mu na kolana. Susza zamarła, wpatrując się w pieniądze. Tak samo Carlos. Timeri poczuł się niemalże skrępowany tą sytuacją, jakby siedział z rozpiętym rozparkiem.

Podniósł paczkę pięćdziesiątek i pokazał Carlosowi. Szwagier nawet nie drgnął. Nie ruszył ich. Nie uśmiechnął się. Susza poszła za przykładem męża i też zachowała powagę i tylko bujała dzieckiem na kolanach.

— Zobaczcie. Dzięki tym pieniądzom będziesz zdrowa. Pieniądze na lekarzy.

Oboje milczeli.

— Nie chcecie ich? — zapytał Timeri. — To dwadzieścia tysięcy dolarów. Wystarczy na wszystkie potrzebne lekarstwa. Jest tu nawet więcej niż trzeba.

Carlos wytarł pianę z piwa z ust.

— Ukradłeś te pieniądze, Timmy?

— Absolutnie nie. To moja odprawa po śmierci szefa. Dobrze mi płacili, gdy dla nich pracowałem. Chcę wam je dać. Dla Sushy na leczenie.

Susza kaszlnęła.

— No nie wiem, Timmy. Mężczyzna ma swoją dumę.

Timeri próbował się uśmiechnąć. Z jego gardła wyszedł jedynie zdławiony i ochryply dźwięk.

— Oczywiście, Carlos. Oczywiście, że masz dumę. Nikt temu nie zaprzecza. To nie są pieniądze dla ciebie, żebyś je wydał na samochody, zakłady albo alkohol. To pieniądze dla Sushy na lekarstwa. Gdyby moja żona zachorowała, a byłaby twoją siostrą, to chyba zrobiłbyś to samo?

— No nie wiem, Timmy.

— Susza? — Timeri zwrócił się do siostry. — To dla ciebie, na operację.

Patrzył zdesperowany w jej podkrążone oczy, na wychudzone ramiona i nogi. Miała trudności z oddychaniem, kaszlała. Powoli dusiła się na śmierć, jakby ktoś przyciskał jej poduszkę do twarzy. Ostatnim razem, gdy odwiedził siostrę, lekarze dawali jej trzy lata życia. Przez rok zdobył pieniądze na operację. Więc zostały jej jeszcze dwa lata, pomyślał. Ale przyglądając się Sushy, zrozumiał, że z trójką dzieci, niemowlęciem i mężem bez pracy pożyje najwyżej połowę tego. Może nawet mniej.

Timeri trzymał pieniądze w obu dłoniach.

— Masz, weź je. To twoje życie.

Carlos wstał i dotoczył się do fotela, na którym siedział szwagier. Wziął jedną pięćdziesiątkę do ręki, podniósł do góry.

— Wygląda na prawdziwą — stwierdził.

Timeri był zdenerwowany.

— Carlos. To są prawdziwe pieniądze. Nie ukradłem ich ani nie sfalszowałem. Zarobiłem je uczciwie i przyniosłem tu, żeby uratować życie mojej siostrze.

Carlos poklepał go po plecach.

— Okay, Timmy. Masz rację. Będzie dobrze. Zapłacimy za doktorów. Jest okay.

Zebrał banknoty tłustymi łapami i wcisnął je do postrzępionej koperty. Timeri zamknął pustą torbę i uśmiechnął się nerwowo do siostry i szwagra. Chociaż czuł, że nie wszystko jest w porządku. Jak na kobietę, która właśnie dostała pieniądze na przedłużenie sobie życia, Susza nie wyglądała na szczęśliwą.

— Chcesz piwo? Domowej roboty? — pytał nachalnie Carlos. — Mocne. Daje kopa.



— Nie, dziękuję — odpowiedział Timeri. — Muszę zaraz jechać. Chcę wrócić do hotelu, zanim rozpada się na dobre.

— Nie zjesz z nami? — zapytała Susha. — Zrobię dobry obiad.

— Nie, dziękuję. Muszę już iść. Może kiedy indziej. Jak będę trochę swobodniejszy.

Timeri nie spuszczał wzroku z koperty z pieniędzmi na stole. Coś tu było nie tak, ale nie wiedział co. Jego krwawica leżała na obrusie w kratkę. Cena życia Bradleya Wingera rzucona beztrząsco na stół. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie ten moment w swoich fantazjach. Widział w nich całą rodzinę tańczącą dookoła stołu ze szczęścia. Tymczasem nikt się nie cieszył i jednocześnie czuło się napięcie w powietrzu. Nie podobało mu się to.

Wstał i wyciągnął rękę do szwagra.

— Niedługo tu wpadnę. Opowiesz mi, co z operacją dobra? Carlos ścisnął jego rękę w swojej przypominającej w dotyku spocony ser.

— Jasne, Timmy. Wszystko będzie okay. Będzie dobrze.

— Do zobaczenia, dzieciaki. — Ale dzieci usłyszały za plecami tylko jakiś nic nieznaczący dźwięk i nadal wpatrywały się w telewizor. Wyszedł na korytarz. Susha podążyła za nim z niemowlęciem.

— Timmy — powiedziała nerwowym szeptem.

— Co się stało?

Obejrzała się.

— Chodź na schody, gdzie Carlos nas nie usłyszy.

— Co się dzieje, Susha? — pytał Timeri, trzymając siostrę za rękę.

— Te pieniądze, Timmy. Carlos nie wydaje na mnie ani grosza. Nie dawaj mu pieniędzy. On tylko pije i gra w karty. Przepije wszystko.

Timeri poczuł suchość w ustach.

— Jesteś pewna?

— On jest taki sam jak kiedyś. Zabierz mu te pieniądze.

Pomyślał chwilę, skinął głową, kazał jej czekać na klatce schodowej i wrócił do mieszkania. W telewizji nadal leciał *Star Trek* na cały regulator, a Carlos siedział w fotelu z pełną szklanką piwa i grubym paluchem dłubał w nosie.

— Wróciłeś, Timmy? Chcesz piwo? Domowej roboty.

Nie mówiąc ani słowa, Timeri wziął kopertę z pieniędzmi ze stołu i wyszedł z pokoju. Serce mu waliło, ale nie zaczął uciekać. Nie bał się. Nie miał czego się bać. Doszedł do drzwi wyjściowych, gdzie stała Susha z niemowlęciem. Dziecko zaczęło płakać.

Carlos był niespodziewanie szybki jak na takiego tłuściocha. Timeri poczuł nagle rękę na ramieniu, która pchnęła go na poręcz. Silny cios trafił go w żebra i ściął z nóg. Orari padł na kolana na brudne linoleum. Po uderzeniu pięścią dostał potężnego kopniaka w jądra. Zakaszał, zakrzuszył się i poleciał na twarz. Jego umysł pulsował na czerwono i czarno. Świadomość przebijała biała lanca nieopisanego bólu. Carlos pochylił się, podniósł kopertę i wszedł do mieszkania.

Susha, łkając, poszła za nim. To wszystko, co mogła zrobić

— Jasne, Dan. Zrobiłem sobie zasłużoną przerwę na kawę.

— Ale zdajesz sobie sprawę, że oczywiście moim kosztem — zażartował Dan Spencer. Miał na sobie nylonową koszulę i brązowe spodnie, zbyt obcisłe, jak na faceta w średnim wieku. Przyciągnął sobie krzesło i usiadł.

— Jeśli chcesz, to mogę jedną ręką szkicować obwody, a drugą jeść salami. Oczywiście jeśli zaakceptujesz tłuste plamy na projekcie. Dan roześmiał się.

— To zawsze jakaś odmiana od plam po surówce z kapusty. Jak ci idzie z tymi projektami, Craig?

— Doskonale. Mieliśmy trochę problemów z systemem przerywaczy. Wypróbowałem trzy, może cztery różne rozwiązania i chyba trafiłem na najbardziej skuteczne. Powinniśmy to skończyć do piątku.

— To świetnie. — Dan skinął głową i uśmiechnął się.

Craig przeżuwał kanapkę i spoglądał na szefa. Dan nie miał nic więcej do powiedzenia, ale mimo to nie wychodził. Craig upił łyk kawy i też się nie odzywał. Dan Spencer przeczesał swój szczeciniasty wąsik.

— Craig, nie wiem, jak to wyrazić.

Craig przestał jeść.

— Coś się stało, Dan? Jeśli tak, to lepiej powiedz mi *tef* prosto z mostu.

— No wiesz, tylko nie zrozum mnie źle, Craig. Zwykle nie obchodzi mnie prywatne życie pracowników. Lubię cię, osiągasz dobre wyniki i sądzę, że dobrze nam się współpracuje. Nie sądzisz?

— Jasne — odparł Craig. — Też tak uważam.

— Dziś rano — zaczął Dan, czerwieniąc się — zadzwoniła twoja żona.

— Sarah? Zadzwoniła do ciebie? Po co?

— Martwi się o ciebie. Mówiła, że dziwnie się ostatnio zachowujesz w domu. Że wciąż się kłócicie. Wiem, że to nie moja sprawa, ale Sarah myśli, że masz problemy ze zdrowiem. Może powinieneś iść do lekarza albo coś takiego.

Craig odchylił się na krześle. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Sarah do ciebie zadzwoniła i to wszystko ci naopowiadała?

Dan był speszony.

— No wiesz, coś w tym stylu. Nie mogłem tak po prostu odłożyć słuchawki. I wymogła obietnicę, że z tobą pogadam. Craig, ona nie zamierza ci zrobić krzywdy. Martwi się o ciebie i chce tylko wiedzieć, czy z tobą jest wszystko w porządku.

Craig ugryzł się w kostkę palca wskazującego. Dawno nie był tak wściekły. Co ona sobie, do cholery, myślała? Że zadzwoni do takiego pajaca jak Dan Spencer i opowie mu o swoich problemach małżeńskich? Co to, do licha, miało wspólnego z jego szefem? Czy ona nic już w życiu nie rozumiała? I co jeszcze mu zdradziła? Jakie inne osobiste sprawy, które Dan Spencer zachowa tylko dla siebie? Craig bardzo cenił sobie prywatność, a teraz odniósł wrażenie, że

## CZĘŚĆ DRUGA

### FIREFLASH 5

#### ROZDZIAŁ 6

Craig siedział w biurze, jadł kanapkę z węgierskim salami. Pił kawę z plastikowego kubeczka i patrzył przez okno na wrześniey deszcz. Dziesięć pięter niżej po chodnikach przesuwały się mokre parasole niczym czarne chrząszcze. Czuł się zmęczony, a mrugające fluorescencyjne światło przyprawiało go o ból głowy.

Ktoś zapukał do przeszklonych drzwi. Dan Spencer, jego szef, niski blondyn z przyciętym wąsikiem i twarzą nakrapianą piegami, wsadził głowę przez uchylone drzwi.

— Craig? Jesteś wolny?

szef wlaź z buciarami do jego mózgu, małżeństwa i domu, pokręcił się i podeptał jego intymność.

Spencer wstał. Był bardzo skrępowany i chciał już wyjść.

— Mam nadzieję, że nie myślisz, że wtrącam się w nie swoje sprawy, Craig? Próbowałem tylko pomóc, gdy mnie o to poproszono.

Craig skinął głową bez podnoszenia wzroku.

— Tak, Dan. Wiem. Dziękuję, że mi to powiedziałeś.

Szef zatrzymał się jeszcze przy drzwiach.

— I gdyby coś się działo... no wiesz, jakieś problemy, to wpadaj do mnie śmiało. Zawsze chętnie pomogę.

Jasne, pomyślał Craig, gdy Dan wyszedł z pokoju. Założył się, że chciałbyś znać każdy, nawet makabryczny albo intymny szczegół. Jak na przykład, ile razy się pierdolimy w tygodniu. Ile razy się kłócimy. Jakie programy oglądamy w telewizji. Co jemy. O której idziemy do toalety. Co ta Sarah sobie myślała? Po jaką cholere dzwoniła?

Przysunął do siebie aparat telefoniczny i wstukał domowy numer. Zajęty. Odłożył słuchawkę i wstukał numer w Chicago. Telefon długo dzwonił, ale w końcu został odebrany.

— Halo? Marjhorie Winger, słucham.

— Mama? Tu Craig.

— Craig! Właśnie zamierzałam do ciebie dzwonić. Jak się masz, mój drogi?

— Mamo, czy mogę cię prosić o przysługę?

— To zależy, o co ci chodzi. Jeśli chcesz, żebym przetestowała na sobie któryś z twoich elektrycznych gadżetów, to odpowiedź brzmi: nie. — Przypomniała mu czasy, gdy miał dwanaście lat i wybudował domowy wykrywacz kłamstw. Podłączył go do akumulatora samochodowego i poparzył matce rękę prądem.

— Nic z tych rzeczy, mamo. Chciałbym u ciebie zamieszkać. Przez tydzień, może dłużej. Sarah i ja, no... nie wychodzi nam najlepiej. Chyba dojdzie do piekielnej awantury.

— Jak to dojdzie? O czym ty mówisz?

— Później ci opowiem. Pozwól mi do ciebie przylecieć i daj mi łóżko na jakiś czas.

— Oczywiście, Craig. Będzie mi miło mieć towarzystwo. Ale czy naprawdę dobrze robisz? Nie wolisz zostać w Nowym Jorku i dojść z Sarah do porozumienia? Wiesz, że uciekanie przed problemami nie bardzo komukolwiek pomogło. Twój ojciec nigdy przed nimi nie uciekał. Craig westchnął i zapalił papierosa.

— Tak, mamo. Wiem o tym, że mój ojciec przed niczym nie uciekał. Był taki bohaterki.

— Po co ten sarkazm, Craig?

— Przepraszam. Posłuchaj, chyba mam jakiś samolot o ósmej. Nie wiem, o której ląduje na O'Hare, ale zadzwonię do ciebie z lotniska, gdy odbiorę bagaż, dobrze?

— Świetnie, Craig. Bezpiecznej podróży. I postaraj się nie robić Sarah tej piekielnej awantury.

— Mamo, to musi się stać.

— Tak właśnie zawsze powtarzał twój ojciec. To musi się stać.

Craig nie odpowiedział. Odkładał słuchawkę na widelki, gdy usłyszał wołający głos matki:

— Craig? Jesteś tam jeszcze?!

Podniósł słuchawkę i powiedział:

— Do zobaczenia, mamo.

Odłożył słuchawkę, wstał, zdjął marynarkę z wieszaka, schował klucze i papierosy do kieszeni, poprawił kołnierzyk i wyszedł. Po drodze wpadł na Spencera.

— Na długo wychodzisz? — zapytał Dan, patrząc na zegarek.

— Na pięć minut — odpowiedział i wybiegł z biura.

\*\*\*

Spakował walizkę. Siedzieli obok siebie w półmroku. Obydwoje zdawali sobie sprawę, że on odchodzi. Sarah była poważna i smutna. Jej wyszywana bluzka i sprane dżinsy przywoływały na myśl dziecinność, która kiedyś tak bardzo na niego oddziaływała. Mała zagubiona dziewczynka. Jednak jej dziewczęcość nie wystarczyła, by go zatrzymać. Było jeszcze coś w życiu, coś bardziej magnetycznego, jakieś wyzwanie, któremu nie można się oprzeć — i on postanowił to odszukać. Na pewno nie znalazł tego tutaj — w tym małym mieszkaniu.

Zapalił dwa papierosy i podał jednego Sarah. Wzięła go i zaczęła mechanicznie palić.

— Wiesz, kiedy wracasz? — zapytała. To było próżne pytanie.

— Nie wiem. Zobaczę...

— Będziesz dzwonił? Żeby chociaż mi powiedzieć, że wszystko z tobą w porządku.

— Jasne.

Nienawidził pożegnań. Łaził tam i z powrotem, paląc papierosa. Podszedł do okna w salonie i wyjrzał. To może być ostatni raz, gdy oglądam widok z tego okna, pomyślał. Ta ulica, sklep na rogu, kiosk z gazetami. Odwrócił się. W pokoju było ciemno i ledwie dostrzegł sylwetkę żony, zgarbioną, malutką jak stare zdjęcie z polaroidu jakiegos wycinka życia, które się skończyło.

Spojrzał na zegarek.

— Muszę już iść.

— Naprawdę?

— Sarah, wiesz, że muszę to zrobić. Nie możemy kłócić się i walczyć ze sobą w nieskończoność.

— Pewnie nie. Wziął

walizkę do ręki.

— No to lecę. Zadzwonię z Chicago.

— Nie musisz. Chcesz, żebym zadzwoniła do Dana Spencera i powiedziała, że jesteś chory?

— Nie. Sam do niego zadzwonię. I nie jestem chory.

— Myślałam, że coś ci dolega — powiedziała cicho.

— Wiem, że tak pomyślałaś, ale ja nie jestem chory. Z pewnością nie zachowuję się tak, jak sobie wyobrazasz zachowanie idealnego męża, ale nie oznacza to, że nadaję się na kolejnego pensjonariusza domu wariatów. To nie jest pierdolony Związek Radziecki. Tutaj nie wysyła się ludzi do szpitali psychiatrycznych, tylko dlatego że myślą inaczej.

Zgasła papierosa.

— Nie chcę tego znowu zaczynać. Zrobiłam to dla ciebie, a ty nawet nie jesteś mi wdzięczny.

— No jasne. Zrobiłaś to dla mnie. Straciłaś dla mnie pracę — to tak na początek. Wyobrazasz sobie, że mógłbym dalej pracować w firmie Dana Spencera, gdy on wie więcej o moim małżeństwie i jego problemach niż ja sam? Jeśli ktokolwiek potrzebuje analizy osobowości, to raczej ty.

Wstała.

— Craig, idź już sobie.

— Sarah, musisz stawić czoło rzeczywistości. Ludziom i rzeczywistości. Ludziom i ich charakterom, i temu, w jaki sposób się zmieniają. Kiedyś, jako mała dziewczynka, byłaś bardzo ładna i wszyscy byli dla ciebie mili i nie miałaś żadnego problemu ze światem. Ale teraz żyjesz między dorosłymi, którzy walczą o przetrwanie. I nie ma w tym świecie zbyt dużo miejsca na bycie miłym za nic. Nie możesz oczekiwać, że wszyscy, których spotkasz, a szczególnie ja, będą cię tylko przytulać i nosić na rękach. Nie będę tego robił, bo już nie potrafię. Bywam złośliwy i wściekły, i czasem trudno mnie zrozumieć. Ale ty nawet nie próbowałaś mnie zrozumieć. Skoro nie byłem twoim wymarzoną mężem, to pewnie nie chciałaś już więcej o mnie wiedzieć. Nie widzisz, co dzieje się w mojej głowie od momentu śmierci ojca? Nic a nic?

Sarah usiłowała zrobić minę, jakby wcale go nie słuchała. Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej ramieniu, ale ona się wykręciła.

— Wiem tylko, że nie jesteś już tym mężczyzną, za którego wyszłam. Twój ojciec był pompatycznym starym blagierem i gdy żył, doskonale zdawał sobie z tego sprawę i nienawidził go za to. Ale teraz nie żyje, a ty i twoja matka zrobiliście sobie z niego jakiegoś bożka. Jeśli chcesz ode mnie odejść i udowodnić, jak wspaniałym człowiekiem był twój ojciec, to odejdziesz i udowadniaj sobie, co chcesz. Ale nie spodziewaj się, że przyjmę cię z powrotem. Wiele rzeczy mogę zrozumieć, Craig. Mogę znosić twoje humory i marudzenie, ale nie zaakceptuję hipokryzji. A teraz idź już, bo spóźnisz się na samolot.

Walnął pięścią w ścianę.

— Sarah, rany boskie, nie wyjeżdżam na zawsze!

— A jeśli poprosiłabym cię, żebyś wcale nie wyjeżdżał? A jeśli powiedziałabym: wybieraj pomiędzy wyjazdem na zawsze i życiem ze mną?

— Czy stawiasz mi wybór?

— Sam sobie go stawiasz.

Odstawił walizkę i uklęknął przed nią. Jej oczy błyszczą™ w ciemności. Zawsze płakała, gdy była zła. Płakała też, gdy była smutna, ale i wtedy, gdy była szczęśliwa.

— Sarah, jeśli nie pojedę, jeśli nie uporządkuję myśli, tj nie pozostanie nam żaden wybór. Ale jeśli tylko poskładam do kupy uczucia i emocje, to może będziemy jeszcze mieli przed sobą przyszłość. Wspólną. Tak jak zawsze o tym marzyliśmy. Sarah, zrozum, że cię Kocham.

Szukała rozpaczliwie chusteczki. Gdy znalazła, wytarła nią oczy i wyczyściła nos.

— Kocham cię, Sarah.

— Naprawdę? To masz dziwny sposób okazywania tej miłości.

— Ale okazuję ją, na Boga! Gdybym cię nie kochał, zostałbym, wygłosił jakąś tyradę, wydarł się i pewnie stracił panowanie nad sobą, tak jak zdarzało mi się przez ostatnich kilka tygodni, i skończyłoby się na tym, że rozeszlibyśmy się na zawsze. Kocham cię i nie chcę cię zostawić.

Pochyliła się, ujęła jego głowę w dłonie. Craig też płakał, a spływające łzy zostawiały słone ślady na jego policzkach.

— Craig, dlaczego musisz jechać? Nie możesz zostać i wszystko naprawić na miejscu? Damy sobie radę, zobaczysz. Czemu jedziesz? Boję się o ciebie. Boję się, że już nigdy nie wrócisz.

Pochylił głowę. Chciał zostać. Chciał tego bardziej niż cegokolwiek innego w życiu. Ale umysł nie pozwalał mu zostać. Craig patrzył na podłogę i zastanawiał się, dlaczego to akurat jemu przytrafiło się coś takiego. Dlaczego to ja musiałem mieć takiego ojca? Dlaczego nie ktoś inny?

— Craig — szepnęła Sarah, całując go we włosy. — Proszę, zostań. Potrzebuję cię. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo cię potrzebuję.

— Nie — odparł, kręcąc głową.

Przytulała się do niego jeszcze przez chwilę. Czując, że jego ciało nie odpowiada ciepłem, odsunęła się.

— Boże, jakim ty jesteś egocentrycznym skurczybykiem.

— Sarah, gdybym tylko wiedział, co się ze mną stało, to spróbowałbym to naprawić. Gdybym był chory, poszedłbym do lekarza. Ale nie jestem chory. Od śmierci ojca coś bez przerwy mąci mój spokój, i nie chcę, żeby tak było wiecznie. Nie umiem nawet nazwać tego uczucia. To coś niedokończzonego w życiu, co naciska na mnie, żebym zrobił z tym porządek. Jak mogę ci to wytłumaczyć, skoro nie rozumiem, dlaczego mnie nachodzi. Jezu, przecież wiesz, co sądziłem o ojcu. Wiesz, że go nie szanowałem. I masz rację, mówiąc, że był pompatycznym starym bucem.

— To dlaczego? — łkała Sarah. — Dlaczego uciekasz?

— Bo ojciec umarł w moich ramionach. Umarł, próbując coś osiągnąć. Bez względu na to, jak było to głupie, to próbował za wszelką cenę. I przez to zginął. Czuję, jakby po nim została jakaś próżnia. Rozsupłane końce czegoś, co należy związać. Zadanie, które trzeba dokończyć, a które nie da mi spokoju, dopóki tego nie zrobię.

— A czy ja nie mogę ci w tym pomóc? Może pojedę z tobą i zrobimy to razem? Dlaczego musisz mnie zostawiać?

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Problem tkwił w tym, że nie wiedział, dlaczego chce być sam. Przecież ją kochał. Przynajmniej tak myślał. Była jego żoną ale nie potrafiła zrozumieć, co nim powoduje. Nie pojmowała, że na solnych jeziorach czeka na niego niepokonywany rekord. Niewidzialna granica, którą musiał pokonać.

— Sarah, posłuchaj.

— Co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

— Nie wiem, czy to zrozumiesz, ale postaram się wyjaśnić, jak ja to widzę. Każdego mężczyznę coś w życiu motywuje. I to nie są takie zwykłe rzeczy jak ambicja, chciwość czy pożądanie. Jest to fundamentalne przekonanie, że pewne rzeczy robi lepiej niż ojciec. Rodzice mogą mieć różny wpływ na dzieci. Uczą je, wychowują pokazują świat. Ale robią jeszcze coś, coś, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę. Sami są końcowym punktem odniesienia, który każdy syn chce osiągnąć i posunąć się dalej. A jak myślisz, dlaczego synom ojców, którzy osiągnęli wielki życiowy sukces, tak się pierdoli w życiu? Bo nie potrafią być lepsi od ojców. To jest podświadoma siła, taka wewnętrzna motywacja. Myślałem, że jestem lepszy od ojca, bo on był tylko drugorzędny kierownicą rajdowym. Nikt nie brał go poważnie. Za bardzo się przechwalał, był kupą gówna i lał pod wiatr. Ale zrobił coś tego dnia, gdy zginął. Zrobił coś ważnego, a ja muszę zrobić to jeszcze lepiej.

— A co takiego ważnego zrobił, co? Rozwalił się i zabił. Co jeszcze?

Craig podeszedł do niej i dotknął jej włosów. Nie były już tak miękkie i sprężyste jak wtedy, gdy się w niej zakochał. Cofnął dłoń, a jego wnętrze stało się tak ciężkie jak walec drogowy tonący w jeziorze.

— Był odważny. To jest właśnie to Jeszcze". Pobił ten pieprzony rekord świata, jechał szybciej niż jakkolwiek inny mężczyzna na świecie. Bo był odważny!

Sarah podniosła oczy. Nic nie rozumiała. Odwaga była dla kobiet jakąś wątpliwą cechą. Nie miała nic wspólnego z umiejętnością przeżycia, a kobiety były urodzonymi mistrzyniami przeżycia.

— I to dlatego mnie opuszczasz? — zapytała uprzejmym głosem. W mieszkaniu panowały już takie ciemności, że ledwie widzieli swoje sylwetki. Ale gdyby zapalili światło, oznaczałoby to, że ten wieczór jeszcze dla nieb potrwą. Jednak jeśli mieli się rozstać, to najlepiej to zrobić wraz z końcem dnia, w kompletnym mroku nadającym rozstaniu właściwy nastrój.

— W pewnym sensie tak — westchnął Craig. — Niestety, nie chcesz zrozumieć, co ja czuję. Chociaż tego nie pojmujesz, nie mogę teraz zostać. To, co się dzieje we mnie, jest dla mnie ważne.

— A jeśli spróbuję zrozumieć? Czy to coś pomoże?

— Spróbować? Daj spokój, Sarah. Nawet nie wiesz, co to słowo znaczy. Zadzwoń do Dana Spencera i

powiedziałaś mi, że jestem chory na głowę. Czy to jest próbowanie?

— Ale ty jesteś chory, Craig! To wszystko, co pleciesz o ojcu, ten żalony rekord świata, te niedokończone działania! To przecież szaleństwo!

Craig stracił panowanie nad sobą.

— Ja pierdolę! To nie jest, kurwa, żadne szaleństwo! Tylko dlatego, że gówno rozumiesz na jakiś temat, to jest dla ciebie od razu pojebane!

— No i proszę! — wrzasnęła Sarah. — Już wariujesz! Drzesz się i tracisz kontrolę nad sobą! Co się z tobą dzieje?!

Craig aż drżał z wściekłości.

— Nie-straciłem-żadnej-pierdolonej-kontroli-nad-so-bą! — ryczał rozjuszony, akcentując każdy wyraz. Ukłął na podłodze i zaczął walić pięściami w dywan. Był tak rozwścieczony, że nie potrafił już wypowiedzieć żadnego słowa.

Zapadło milczenie. W końcu usiadł. Sarah siedziała koło okna i wyglądała na zewnątrz. Deszcz lekko stukał o szybę. Na ulicy zwiększył się ruch i hałas. Słychać było trąbienie samochodów. Nowy Jork nocą. Najbardziej samotne miasto na świecie.

Podeszedł i stanął obok. Wzięła go za rękę i poklepała.

— Wiesz, co? Gdybym mógł otworzyć sobie czaszkę i wyciąć jakąś część mózgu, która to wszystko powoduje, zrobiłbym to. I wcale nie chcę cię opuszczać, Sarah. Ale muszę.

— Wiem o tym. Nawet nie spodziewałam się, że zostaniesz.

— Próbowalaś jednak. Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą. Przepraszam. Ale jeśli sam nie poukładam sobie wszystkiego w głowie, to tak już by zostało. A nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała. Za bardzo cię kocham.

A może wcale już cię nie kocham — przebiło się przez jego myśli.

Pochylił się i pocałował ją w głowę. Jej włosy pachniały perfumami, które zawsze mu ją przypominały i kojarzyły się z dniami, kiedy byli szczęśliwi. Jednak teraz już mu się nie podobały. Nawet nie potrafił sobie uzmysłwić, w którym momencie przestały mu się podobać. A tak go kiedyś podniecały.

— Sarah, ja już jadę.

— Dobrze. Odezwiesz się jeszcze, prawda?

— Oczywiście. Znasz adres mojej matki. I jej numer telefonu. Nie krępuj się dzwonić, gdybyś chciała się ze mną skontaktować.

— Zawsze będę chciała. Zawsze.

Craig zamierzał coś powiedzieć, ale zacisnął zęby. Wziął prochowiec, chwycił walizkę i wyszedł. Odwrócił się na końcu korytarza i zobaczył, że Sarah patrzy za nim z wyrazem bólesci i smutku. Czuł się wystarczająco winny, więc szybko się odwrócił. Po kilku sekundach drzwi mieszkania się zamknęły.

Tydzień później siedzieli przy długim stoliku do kawy w zadymionym od papierosów salonie Marjhorie w jej mieszkaniu na ósmym piętrze. Przeglądali szkice i plany Projektu E.

Craig w białych dżinsach i niebieskim T-shircie usiadł w największym obrotowym fotelu z zagłówkiem. Matka w wyprasowanych na ostry kant beżowych spodniach i czarnym golfie zajęła fotel obok niego. Po drugiej stronie na sofie usadowił się Timeri Orari, blady i kiepsko ubrany, ale nadal zachowujący swą orientálną godność i powagę chwili.

— Zupełnie jak w dawnych czasach — powiedziała Marjhorie, popijając sherry. — Ty, Timmy i Craig.

Craig się nie odezwał. Pochylił się tylko i wziął do ręki spory szkic wehikułu w kształcie klina osadzonego na wielkich kołach.

— Podoba mi się — stwierdził. — Czy przeprowadzałeś już jakieś testy tego kształtu, Timeri?

Orari zaszeleścił szkicami i papierami na stoliku.

— Tak, zrobiłem mnóstwo testów w tunelu aerodynamicznym w Galveston. Razem z Bradleyem rozważaliśmy dwa możliwe kształty karoserii dla *Fireflasha czwartego* — tradycyjny rakiety cygara i klin. Bradley wolał konwencjonalny wygląd, ale ja uważam, że klin jest bardziej stabilny. Jest szerszy, bardziej płaski i dlatego nie potrzebuje tak wielkiego statecznika ogonowego.

— A co z silnikiem raketowym?

— To oczywiście będzie problem. Jest Reaction Industries w Milwaukee. Oni zbudowali silnik dla *The Blue Flame*. Oprócz nich mamy Propulsion Laboratories albo Davida Suskicza w Port Arthur.

Craig okręcił się w fotelu, wstał i podszedł do okna. Spojrzał na niezbyt wyraźną panoramę Chicago na tle bezchmurnego nieba, na wąski czarny wieżowiec Sears Tower i John Hancock Center o trójkątnym przekroju. Spomiędzy wysokościowców śródmieścia unosił się dym spalin, a brudne zielone pociągi przemierzały mosty, krążyły pomiędzy magazynami i zabudowaniami terenów przemysłowych. Prognoza pogody przewidywała deszcze w Nowym Jorku, więc pomyślał o Sarah, samotnie omijającej kałuże na chodnikach w drodze do ich mieszkania.

Odwrócił się do matki.

— Czy to właśnie David Suskicz nie był pierwszym wyborem ojca do budowy silnika dla *Fireflasha czwartego*?

— Tak — skinęła głową.

— To co się stało? Dlaczego tata zmienił firmę na Propulsion Technologies?

— Nie jestem pewna, ale chyba dali lepszą ofertę.

— No dobrze, jeśli to kwestia pieniędzy, to musimy mieć najtańszą ofertę.

Timeri zakasłał.

— Chyba nie warto na tym tak bardzo oszczędzać, Craig. Silnik musi być zbudowany porządnie.

Marjhorie uśmiechnęła się i wskazała z dumą na syna.

— Mój syn — najszybszy człowiek na świecie.

Craig usiadł i zaczął przeglądać szkice, dopóki nie znalazł projektu silnika raketowego.

— Czy to silnik z Propulsion Laboratories?

— Tak — potwierdził Timeri.

— Jaką ma przewidywaną siłę ciągu?

— Siedem tysięcy czterysta czterdzieści kilogramów.

— A gdzie projekt silnika od Suskicza?

— Tutaj. Ma siłę ciągu siedem tysięcy pięćset siedemdziesiąt pięć kilogramów.

Craig uniósł brwi ze zdziwienia.

— O co tu chodzi, Timeri? Może jestem tylko inżynierem elektrykiem, ale od razu widać, że silnik Suskicza ma lepszy ciąg. Jest mniejszy i ma większą moc. Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego ojciec wybrał Propulsion Laboratories? Wiesz coś o tym?

— Nie patrz na mnie. To była decyzja polityczna. Craig zaczął studiować poszczególne elementy projektu silnika. Nawet pobieżne przejrzanie szkiców dawało wyraźnie do zrozumienia, że silnik Suskicza był lepszy — przede wszystkim mniejszy, oryginalny i bardzo dokładnie zaprojektowany. Silnik z Propulsion Laboratories był ciężki, dziwaczny i (co się przecież okazało) niewystarczająco szybki. Nawet o tym specjalnie nie myśląc, Craig postawił wielki znak zapytania na spodzie planów tego silnika i przeszedł do innych spraw.

— Ile to wszystko będzie kosztować? — zapytał matkę.

— Czy masz już jakieś wstępne szacunki?

Marjhorie wzięła do ręki notatnik.

— Będzie raczej tańszy od *Fireflasha czwartego*, bo większość prac w tunelu aerodynamicznym już zostało wykonanych i zapłaconych. To samo dotyczy silnika. Pozostaje tylko kwestia samego zbudowania maszyny, zebrania ekipy techników i inżynierów i przeprowadzenie prób. Plus minusz cztery miliony dolarów pokryłyby te koszty. Craig podrapał się w głowę.

— Cztery miliony dolarów? Czy ta kwota obejmuje koszty reklamowe i prawa filmowe?

Marjhorie skinęła głową.

— To jest absolutnie podstawowa kwota. Jeśli chciałbyś coś osiągnąć za niniejszą cenę, to równie dobrze możesz spróbować jazdy na wrotkach.

— Więc potrzebujemy sponsora. Czy Former Tires da się jeszcze raz na to złapać?

— Już z nimi próbowałam. To niemożliwe po tym, co się stało. Musieli złożyć oficjalne wyjaśnienia, że wypadek twojego ojca „nie miał nic wspólnego z jakimkolwiek uchybieniem ze strony firmy Former Tires”. Prawie śmiali mi się w oczy, gdy powiedziałam im, że będziemy po raz drugi próbować pobić rekord świata.

— A może Peace Pharmaceuticals? Ten Tyson Peace nie wie, na co wydawać pieniądze.

— To nie jest głupi pomysł. Nie powiem, że jesteśmy najlepszymi kumplami, szczególnie po tym, jak oskarżyliśmy go o zanieczyszczenie paliwa. Ale jego córka

mogłaby wpłynąć na ojca, a ja mam z nią dobry kontakt. Ona zna też Leona Suskicza — a to przecież syn Davida Suskicza. Można by złożyć z tego jakąś układankę.

— Polecisz do Los Angeles? — zapytała Marjhorie, podnosząc wzrok.

— Chyba tak. Gdy prosi się o pieniądze, a szczególnie o takie kwoty, to prywatne kontakty są zawsze najbardziej skuteczne. Chcesz ze mną polecieć?

— Raczej nie. No, chyba że chcesz, żebym trzymała cię za rękę podczas rozmów.

— Nie, dziękuję. Miałem już dosyć trzymania za rękę. Timeri wyciągnął wielki szkic karoserii pojazdu raketowego w kształcie klina.

— A co z tym? — zapytał. — Osobiście uważam, że jest to najlepsza propozycja. Jeśli chcesz, żeby Suskicz zbudował silnik, to mamy gotowy projekt nadwozia. Bo klin był właśnie stworzony dla jego silnika. Nie będzie trzeba nic zmieniać. Spokojnie przekroczysz w nim tysiąc sto kilometrów na godzinę.

Craig długo przyglądał się projektowi nowego potwora. Projekt E — nazwany piątą literą alfabetu. *Fireflash 5*. Ostrze siekiery na kołach, z subtelnymi zakrzywieniami karoserii i dodatkowymi spoilerami. Dokładnie w środku ciężkości znajdowała się kabina kierowcy, trójkątna owiewka z pleksiglasu. Po bokach zbiorniki na paliwo, a z tyłu potężny silnik raketowy o sile ciągu prawie siedmiu tysięcy sześćset kilogramów. Najszybszy pojazd na kołach.

— Okay. Właśnie taki będzie. Timeri, zacznij rozpytywać o firmę, która zbuduje karoserię i o ekipę techniczną. Ja polecę do Los Angeles i porozmawiam z Tysonem Peace'em o pieniądzach. A potem pojedę do Port Arthur spotkać się z Davidem Suskiczem. Jak będziemy mieli odrobinę szczęścia, to uda nam się postawić to cudo na kołach w niespełna rok.

— O Boże, to jednak się dzieje. Wprost nie mogę w to uwierzyć — mówiła Marjhorie, przykładając dłonie do policzków z radości. — Craig, tylko pomyśl — będą gazety, telewizja, wszystko. Och, Craig, powiesz im, że robisz to dla niego, prawda? Że zrobiłeś to dla swojego ojca?

— Mamo, nie mam pieniędzy nawet na własny rower, a co dopiero na samochód napędzany silnikiem raketowym. Tym, co powiemy prasie, będziemy się martwić po pobiciu rekordu świata.

— Ale powiesz im, tak? Powiesz im, że to dla niego?

— Oczywiście, że tak. Sama spójrz na te wszystkie papiery i projekty. Przecież to jego praca. A ja będę tylko szoferem jego wehikułu.

— Tysiąc sto kilometrów na godzinę to nie jest zwykłe szoferowanie. To wymaga umiejętności i hartu ducha — odezwał się cichym głosem Timeri.

Craig się zirytował. Bardzo dobrze wiedział, że to ciężkie przedsięwzięcie.

— Timeri, jeśli sam chcesz pojechać *Fireflashem piątym*, to proszę bardzo.

Orari pokręcił głową.

— Nie mógłbym, Craig. Nie nazywam się Winger.

♦♦♦

Corinna Peace siedziała na szerokiej białej werandzie domu ojca i uczyła się grać na gitarze. Słońce raz wychodziło zza chmur, raz się chowało. Zielone pnącza ucepięte boków werandy szeleściły od powiewów lekkiego wiatru. Na samouczku gry na gitarze stała pusta szklanka po bourbonie, a w resztkach na dnie desperacko pływała mała czarna mrówka. Co za sposób na śmierć, pomyślała. Utopić się w whiskey. To prawie tak dobre jak zamasturbować się na śmierć.

Udało jej się z przerwami zagrać *Old Man River* i wyśpiewać słowa piosenki, fałszując wysokim głosem. W końcu przestała. Właśnie odkładała gitarę, gdy usłyszała aplauz. Odwróciła się i zobaczyła Craiga Wingera. Miał tak samo ciemną, niemalże latynoską karnację jak wtedy, gdy go poznała, i był tak samo seksowny. Włożył elegancki ciemny garnitur i wyglądał, jakby dopiero co się ogolił. Bardzo pociągająco.

— Co ja widzę — odezwał się Craig — robisz postępy.

— Gdybym nie robiła postępów, to podciąłabym sobie gardło. Jestem najgorszym gitarzystą od czasów King Konga.

— Dlaczego akurat King Konga?

— Bo on miał wycucie rytmu, ale nie umiał przebierać palcami. Tu trzeba lekko poszarpywać struny.

Craig wsunął ręce do kieszeni.

— Ja umiem nieźle poszarpywać. Przynajmniej wszyscy tak mi mówią.

Corinna była bardziej opalona i wydawała się jeszcze ładniejsza niż wtedy, gdy widział ją po raz pierwszy. Nosila długą, białą, rozpinaną z przodu sukienkę, odkrywającą prawie całe równomiernie opalone piersi. Gdy pochyliła się do przodu, Craig dostrzegł krążki jej sutków, co jeszcze bardziej go podnieciło. Siedziała na wysokim wiklinowym fotelu, a jej proteza spoczywała na tapicerowanym stołeczku. Miała już dość długie włosy z rozjaśnionymi od słońca pasemkami.

— To jesteś „szarpiącym” czy „szarpanym”? Craig uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Chyba będę musiał skontaktować się z moim prawnikiem, zanim odpowiem na to pytanie.

Corinna rozparła się w fotelu.

— Przyjechałeś w jakiejś konkretnej sprawie, czy tylko z kurtuazyjną wizytą? Bo jeśli chciałbyś podyskutować o „szarpaniu”, to jestem gotowa.

— Tak naprawdę, to przyjechałem porozmawiać z twoim ojcem. Jestem umówiony z nim na trzecią.

— On chyba teraz śpi w altanie. Próbował trochę popracować, ale gdy usłyszał, że zaczęłam ćwiczyć grę na gitarze, to zrezygnował i poszedł się zdrzemnąć.

Craig usiadł na poręczy werandy. Słońce wyszło zza chmury i oświetliło Corinnę, która błyszczała w jego promieniach. To był właśnie jeden z tych dziwnych dni, gdy niebo groźnie zasnuwało się chmurami i ciemniało, ale słońce cały czas gdzieś prześwitywało, podświetlając okno, odległe wzgórze czy pobliskie drzewo.

— Zapalisz? — zapytał Craig, wysuwając papierosa z nowej paczki.

— Nie, dziękuję. Rzuciłam palenie. Stwierdziłam, że od palenia niezbyt ładnie pachnie z ust.

Craig już miał zapalić papierosa, ale powstrzymał się, popatrzył na niego, zmarszczył nos i wyrzucił za siebie.

— W takim wypadku też muszę rzucić palenie.

— A niby dlaczego? — zapytała Corinna. Craig zobaczył głęboki, ciepły i podniecający rowek między jej piersiami. Imusiał zwrócić uwagę na coś innego. — Rozważasz jakiś kontakt oralny?

— Kontakt oralny?

— No wiesz, to dzieje się wtedy, jak ludzie zbliżają do siebie usta, patrzą sobie z bliska w oczy, a wokół ich głów latają małe ptaszki, ćwierkają śpiewają i srają im na plecy.

— Tego ostatniego fragmentu jakoś nie zapamiętałem z kreskówek Disneya.

— Walt Disney nie był zbyt realistyczny. Widziałeś kiedyś gówienko jelonka albo bobki zajączka w *Jelonku Bambil* A widziałeś psie gównno w *Zakochanym kundlu*? A co z *Dumbol* Latający słoń! Kaczucha, chłopaki, uwa-gaaa... znowu leci... Liiii..., bęc!

Craig był zauroczony jej zachowaniem. Żyła w wesołej rzeczywistości, której Sarah w ogóle nie rozumiała. Corinna była piersiasta, seksowna, radosna i miała szerokie horyzonty. Żadnego lamentowania, żadnego zrzędzenia ani napadów hysterii jak u małej dziewczynki. Brała życie, jakie jest. No i co z tego, że miała tylko jedną nogę? Co to za różnica? Może była przez to nawet bardziej seksowna, bardziej niezwykła. Poczł dziwny dreszcz przebiegający przez ciało i zrozumiał, że pragnie tej dziewczyny, i to bardzo.

— Corinno, ty chyba zwariowałaś.

— O! Zapamiętałaś moje imię. A ja nie pamiętam, jak ty masz na imię.

— Craig. Craig Winger. Takie dość popularne.

— Jest piękne! Pocałuj mnie na powitanie, panie Craigu Wingerze.

Spojrzał w jej zielone, flirtujące oczy. Prowokowała go, by pokazał, na ile jest mężczyzną i nie mógł jej odmówić. Szczególnie, że jej pragnął. Pochylił się i pocałował ją w usta. Corinna wysunęła język i przeciągnęła nim po jego zębach. Pachniała pomarańczami i perfumami, których nie rozpoznał.

— Craig, nie masz na palcu obrączki.

Craig podniósł się.

— Może i nie pamiętałaś mojego imienia, ale widzę, że zapamiętałaś stan cywilny.

— Oczywiście — odpowiedziała, mrugając zalotnie rzęsami. — To druga rzecz, na którą zawsze zwracam uwagę.

— A jaka jest ta pierwsza?

Zachichotała.

— Lepiej idź już do altany i zobacz, czy tatko się obudził. Połaskocz go w stopy, to zwykle wystarcza.

— Zobaczymy się później? Może zjemy dziś razem kolację?

— No, nie wiem. Nie wychodzę na miasto zbyt często. Przez tę nogę.

— To może zrobisz wyjątek?

— No dobrze, zastanowię się. Przyjdź, jak już pogadasz z tatą i nie pokłóćcie się zbyt, wrócimy wtedy do tematu.

— Trzymam cię za słowo.

Zszedł z werandy i ruszył przez ogród do małej altanki zbudowanej z kamienia. W środku na wielkim, przykrytym niebieską kapą łożu chrapał Tyson Peace z kapeluszem zsuniętym na twarz. Stosy raportów giełdowych i sprawozdań z działalności jego firmy farmaceutycznej leżały rozsypane na podłodze. Craig podniósł kapelusz, spojrzał na nijaką twarz i łysą czaszkę:

— Panie Peace?

Tyson Peace otworzył jedno oko. Potem drugie.

— Czego pan chce?

— Panie Peace, to ja, Craig Winger. Byliśmy umówieni.

— Serio?

— Serio. Dzwoniłem w zeszłym tygodniu z Chicago.

Tyson Peace ziewnął.

— Chyba nie uda się pana stąd spławić?

— Chyba nie.

— No dobrze — odparł Tyson Peace, usiadł i przetarł twarz. — W takim razie lepiej od razu przejdźmy do konkretów. Napije się pan?

— Daiquiri dobrze by mi zrobiło.

Tyson Peace machnął ręką i z domu wyszła gospoia.

— No więc — zaczął Tyson Peace, wyciągając wielkie kubańskie cygaro ze skórzanej skrzyneczki — co takiego chce pan ode mnie tym razem, panie Winger?

— Pamięta pan mojego ojca? — zaczął Craig i usiadł.

— Jasne. Bradley Winger. To ten facet, który wysadził się w powietrze.

— No właśnie. A ja... Ja chcę zrobić to, co jemu się nie udało.

— Co takiego? — zapytał Tyson Peace, wyrażając zdziwienie.

— Zamierzam podjąć próbę pobicia lądowego rekordu świata. Ojcu się nie powiodło. I muszę się przyznać, że początkowo nie dopuszczałem do siebie takiej myśli, ale zrozumiałem, że jest to mój święty obowiązek.



— Chce pan wykorzystać moje paliwo? Zerolene? Wydawało mi się, że jest pan dość sceptycznie do niego nastawiony?

— Nie tylko pana paliwo, panie Peace.

— A co jeszcze?

— Szukam sponsora. Całość będzie kosztować około czterech milionów dolarów i ja właśnie szukam kogoś, kto za to zapłaci.

Podeszła do nich gosposia i Tyson Peace zamówił drinki. Skrupulatnie strzepywał każdy pyłek popiołu z koniuszka cygara.

— Cztery miliony dolarów to mnóstwo pieniędzy.

— Wiem. Ale to i tak mniej niż koszty ostatniej próby ojca. Wszystkie projekty techniczne są już gotowe. Wystarczy tylko zbudować pojazd i przygotować przejazd.

— Mimo wszystko — cztery miliony to mnóstwo pieniędzy.

— Zgadza się.

— Panie Winger, proszę wskazać mi jeden dobry powód, dla którego miałbym dać panu cztery miliony dolarów — powiedział Peace, mierząc Craiga wzrokiem.

— Pojazd będzie miał wielkie napisy „Peace Pharmaceuticals” na całej karoserii.

— To wszystko? A jak długo trwa jazda po rekord?

— Pięć sekund z niewielkim haczykiem.

Tyson wydmuchnął dym z cygara.

— Pięć sekund, co? I sądzi pan, że zapłacę cztery miliony dolarów za pięć sekund reklamy?

Craig skinął głową. Miał wielką nadzieję, że uda mu się go pozyskać. Tyson Peace był najlepszym kandydatem na sponsora i Craig nie wiedział, do kogo innego mógłby zwrócić się o finansowanie swego przedsięwzięcia, gdyby Peace odmówił. Mógłby ewentualnie zebrać czterech, pięciu sponsorów, ale takie sytuacje zawsze rodziły problemy. Dochodziło do kłótni o to, czyja nazwa powinna występować na najlepszym miejscu, kto będzie wymieniany jako pierwszy lub najważniejszy sponsor. Craig wolał uniknąć takich sytuacji.

— Jest jeszcze jeden powód.

— Naprawdę? Niby jaki?

— Można by nazwać to patriotyzmem, bo to, co robimy, ten rekord, który chcemy ustanowić, jest częścią naszej amerykańskiej tradycji. Bo Stany Zjednoczone ustanowiły większość rekordów świata w prędkości; bo Amerykanie zawsze chcieli być jeszcze szybsi. Bo wydawali pieniądze na to, by ich kraj był Numerem Jeden.

Zamilkł i zagryzł wargę. Tyson żuł koniec cygara i patrzył na niego zimnym, pozbawionym zainteresowania wzrokiem.

— To, co pan mi tu mówisz, to jest wszystko gówno — odparł.

Craig wstał.

— No dobra, może to i gówno, ale przynajmniej próbowałem. Ojcu jakoś się udawało. A ja pewnie nie mam tej jego dostojnej i patriotycznej aparycji.

Tyson Peace zachichotał.

— Nie, panie Winger. Tego pan nie ma. Ale proszę zostać na drinka. I proszę się nie spinać tylko dlatego, że panu odmówiłem. Ludzie ciągle proszą mnie o jakieś pieniądze a ja pozostaję bogaty, bo im odmawiam.

— Wie pan co? — zaczął Tyson Peace, sącząc drinka, którego przyniosła gosposia — chyba zrobiłby pan lepiej, gdyby dał pan sobie z tym wszystkim spokój. Te historie o Samotnym Jeźdźcu rodem z Dzikiego Zachodu to czyste' wariactwo.

— Może i tak — odparł Craig. — Czasem czuję, że wcale nie chcę tego robić. Zawsze zarzekałem się, że to nie dla mnie. Ale po śmierci ojca wszystko się zmieniło. Uważam, że rodzice nie mają prawa niczego oczekiwać od swoich dzieci. Ale chociaż nie jestem nic winny ojcu, to uważam, że powinienem dokończyć tę jedną rozpoczętą sprawę. Tyson Peace upił spory łyk bourbona.

— Jest pan bardzo sentymentalnym człowiekiem, panie Winger. W moim biznesie nie ma miejsca na sentymenty. Przynajmniej niewiele.

— A nie jest pan sentymentalny wobec Corinny?

— Czasem tak, to przecież oczywiste. Kocham ją, bo to moja córka. Ale to nie znaczy, że muszę się rozczulać z jej powodu. Jest już dorosła i może sama zajmować się swoimi sprawami. Przynajmniej się nimi zajmowała, zanim straciła nogę. A teraz podejrzewam, że będzie — nomen omen — kulą u nogi przez resztę mojego życia.

— Kulą u nogi?

— Nawet ludzie, których się kocha, mogą być zawadą, panie Winger. Każdy człowiek, którego obecność powstrzymuje pana od zachowywania się, jak się panu podoba, od robienia tego, na co ma się ochotę, i mówienia tego, co uważa się za stosowne, jest kulą u nogi. Ożeniłem się z matką Corinny tylko dlatego, że była dziwką. Wiedziała, jak robić mi dobrze, ale potrafiła sama zadbać o siebie. Nie wisiała na mnie przez cały czas, domagając się wsparcia emocjonalnego. Kiedy przychodziłem późno z pracy, wcale nie patrzyła na mnie płaczącymi, pełnymi urazy oczami. Do licha, albo tańczyła na trawie, albo leżała pijana pod stołem. Corinna wiele po niej odziedziczyła. Zawsze pragnąłem, żeby była niezależna. Ale przez ten cholerny wypadek nigdy już nie będzie zupełnie samodzielna.

Craig wyjął papierosa i zapalił. Nie lubił tego nałogu. Tym razem jednak jego nerwy domagały się ukojenia i nie miał na nie lepszego lekarstwa.

— Przecież ona może jeszcze wyjść za mąż.

— Za mąż? — zdziwił się Tyson Peace. — Naprawdę pan tak myśli? Z tą nogą? Po co żenić się z dziewczyną z jedną nogą skoro można się ożenić z dziewczyną z dwoma nogami?

— Ta noga zupełnie nie ma znaczenia, panie Peace. Pana córka jest uroczą osobą. Sam bym chętnie się z nią ożenił.

Tyson Peace zmrużył ze zdumienia oczy. Żuł cygaro w ustach, obśliniając brązowe liście.

— Serio?

— Oczywiście. Uważam, że jest wspaniała.

Długa cisza. Niebo pociemniało i wydawało się, że za chwilę uderzą pioruny. Biała rezydencja Peace'ów odbijała się na tle trawy. Liście na drzewach szeleściły, jakby obawiały się nadchodzącej burzy.

— Panie Winger, przecież pan jest żonaty.

— To prawda. Ale już niedługo. Myślę, że rozszedłem się z żoną na dobre.

— Przykro mi.

— Zdarza się. Chyba wyrosliśmy z siebie.

Tyson Peace zamknął oczy. Craig nie wiedział, czy zasnął, czy nie. Minęła długa chwila. Było w pół do piątej i Craig zaczął się zastanawiać, czy nie powinien już jechać. Poruszył się na fotelu.

W końcu odezwał się Tyson Peace.

— Panie Winger, chcę złożyć panu propozycję.

— Słucham pana.

— Umowa przypuszczalnie będzie trochę bardziej skomplikowana, ale streszczę ją do kilku zdań. Dam panu cztery miliony dolarów na pewnych warunkach, jeśli tylko weźmie pan moją córkę spod mojej opieki. No i co pan na to?

Craig nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

— Panie Peace?

— Co znowu? I proszę, do jasnej cholery, mówić do mnie: Tyson!

— Tak jest. Czy ja dobiżę usłyszałem?

— Chyba tak. To jest interes, panie Winger. Prosta wymiana handlowa. Pan daje mi szansę na odpoczynek i na spokojną emeryturę, a ja daję panu cztery miliony dolarów. Jesteś miłym chłopcem, prawda? Jesteś odpowiedzialny? Pochodzisz z dobrej rodziny?

Craig był totalnie zaskoczony.

— Panie Peace, to znaczy, Tyson, nie wiem, co powiedzieć!

— Nic nie mów. Przemyśl to. Zostań na kolację. Zobacz, czy ty i Corinna sobie odpowiadacie. I jak wszystko będzie grało, to rano dopracujemy warunki porozumienia. Wezwę mojego prawnika i podpiszemy umowę.

Craig wyciągnął drugiego papierosa i zapalił go trzęsącymi się z przejęcia dłońmi.

— To zupełnie jak w średniowieczu. Co na to Corinna? Nie można przecież tak sobie sprzedawać córki jak jakiejś własności?

— Ja już jestem właścicielem mojej córki. Szacując z grubsza, jest warta jakieś siedem, może osiem milionów dolarów. Tak długo, jak będzie dla mnie miła. Jeśli nie będzie, to dostanie figę z makiem. No i skoro jestem właścicielem córki, to kto może mi zabronić ją sprzedać? Tobie

albo jakiemuś facetowi na ulicy, handlarzowi białych niewolników z Panamy albo komukolwiek?

— Ale czy to ma jakikolwiek sens?

Tyson pokręcił wściekle głową.

— Oczywiście, panie Winger, więcej sensu, niż możesz zrozumieć. Moja córka zachowywała się jak dzika kotka od dwunastego roku życia. Kiedyś miała nawet dwóch chłopców w łóżku, choć skończyła dopiero czternaście lat. Jest bystra i seksowna, kocham ją jak tylko ojciec może kochać jedyną córkę. Ale po co mi wieczne towarzystwo takiej dziewczyny? A po co jej moje towarzystwo? Ona potrzebuje faceta, który będzie ją kochał jak kobietę i da jej poczucie bezpieczeństwa i opiekę, której potrzebuje. Jedna noga, panie Winger, proszę o tym pomyśleć! Proszę pomyśleć, co znacząłoby to dla pana albo dla mnie, gdybyśmy stracili nogę. Corinna potrzebuje kogoś bardziej, niż się nam wydaje, tylko sama się z tym nie zdradzi. Potrzebuje kogoś takiego jak ty!

— Nadal nie rozumiem.

— Więc nie próbuj! Ale to nasza umowa. Jeśli chcesz Corinnę i cztery miliony dolarów, to są twoje. Jeśli nie chcesz, to koniec rozmowy.

Zaczęło intensywnie padać. W jednej chwili z nieba spadały pojedyncze krople, w następnej cały ogród zalewały strumienie deszczu, że prawie nie było widać domu.

Tyson oparł się o wezłowie, wyciągnął spod szezlongu butelkę bourbona i odkręcił zakrętkę.

— Skoro posiedzimy tu jeszcze przez chwilę, to może po małym?

Craig podsunął mechanicznie swoją szklanę. Nagle pomyślał o Sarah i o dniu, który wydawał się tak odległy, kiedy to ojciec zadzwonił do niego i poprosił, żeby przyjechali do Utah.

— Tyson, gdybyś miał maszynę czasu, to do jakiego momentu w przeszłości chciałbyś wrócić?

## ROZDZIAŁ 7

Na plaży San Molto w Kalifornii paliło się kilka ognisk, rozjaśniając ciemności. Morze huczało niespokojnie, na oślep rozbijając fale. Po plaży niósł się dźwięk piskliwego, niemal histerycznego śmiechu i pobrzdkiwania gitar. Jakiś głos powiedział: „Musisz to zrobić, człowieku. Naprawdę musisz”. Inny, spokojniejszy głos odpowiedział coś złośliwego.

Było ich sześciu, może siedmiu. W dawnych czasach, gdy ta nazwa jeszcze coś znaczyła, nazywaliby się hippisami. Mieli długie włosy, przyozdobione skórzane kamizelki, dzinsy i bosc stopy. Jeden z nich był wysoki i ubrany na czarno. Wiatr szarpał płomieniami rozświetlającymi ich twarze. Była wśród nich dziewczyna, młoda blondynka, naga do pasa. Śpiewała *Panów wojny* i próbowała wczuć się w klimat.

*O, wy panowie wojny...*

*Wy, którzy zbudowaliście wielkie działa...*

*Wy, którzy zbudowaliście wszystkie bomby...*

— Na miłość do wszystkiego, co święte! — zawołał jeden z mężczyzn najwyraźniej pijany. — Zamknij już tę jadaczkę!

Dziewczyna przestała śpiewać. Nuciała tylko pod nosem; nikt nie mógł jej już tego zabronić. Gitarzysta zerwał strunę i rozległ się wybuch ochryplego śmiechu.

Po chwili z koła wokół ogniska wstał mężczyzna w czerni. Skinął na dziewczynę, która nadal cicho nuciała. Podeszła do niego. Stali razem w ciemności, poza zasięgiem mrugającego światła z ogniska i rozmawiali po cichu.

Dziewczyna była drobnej budowy. Miała ładne, seksowne oczy i małe, okrągłe piersi. Na chłodnym, wieczornym wietrze jej sutki stwardniały i wyglądały jak czerwone porzeczeki. Nosila dzinsy przyozdobione kryształkami i wyszywane w kwiaty i chmury. Miała na imię Edwina, skończyła dopiero siedemnaście lat.

Mężczyzna o ciemnej karnacji, wilczej twarzy i orlim nosie ubrany był w białą koszulę z bufiastymi rękawami, czarne spodnie i czarne wysokie buty do jazdy konnej. Rozmawiając z Edwiną, wskazywał na ciemne niewidoczne morze. Dziewczyna protestowała, sprawiała wrażenie, jakby się czego bała.

— Czy wierzysz, że morze jest matką życia? Jeśli wierzysz, że morze jest dawcą życia, to czy mogłoby ono pozwolić ci się utopić?

Odgarnęła włosy z oczu. Na brzegu, gdzie dopływały resztki rozbitych fal, było zimno i wietrznie. Morze czekało jak jakiś wielki potwór wyrrywający się z okowów. Dziewczyna zamarzła i obejmowała się ramionami, nie wiedząc, co robić.

— Edwino — powiedział Hal Shocks. — nigdy nie będziesz wiedziała, co to jest życie, jeśli nie stawisz czoła śmierci. Jesteś gotowa spojrzeć śmierci w twarz?

— Hal, nie wiem. Nie chcę umrzeć.

Popatrzył na nią z pogardą. Jego oczy odbijały blask płynący z ogniska. Wyglądał jak szatan. Rękawy jego koszuli poruszały się na bryzie jakby były żywymi stworzeniami.

— To jest właśnie ta podstawowa kwestia, Edwino. Nie chcesz umrzeć. Chcesz żyć, bo boisz się śmierci. Ale wyobraź sobie, jakby to było, gdybyś nie bała się śmierci. Gdybyś

stawiła jej czoło i rozumiała, że to nie jest takie straszne? I jak byś się wtedy czuła?

— Chyba dobrze... — Gołymi palcami stóp rysowała wzory na piasku.

Złapał ją za nadgarstki.

— Dobrze? Czułabyś się o wiele lepiej! Wiedziałaś, że już nic więcej w życiu nie zdoła cię przestraszyć! Gdy przeżyjesz przerażający strach śmierci, to nic ani nikt już cię nie przestraszy! Niczym! Śmierć cię od tego wyzwoli! Ona jest źródłem strachu!

Jakiś znudzony głos doszedł do nich od ogniska:

— Hej wy tam, przyjdziecie tu wreszcie? Zaczynamy piec kiełbaski!

Edwina drżała. Jej skórę pokryła gęsia skórka. Straciła wszelkie argumenty.

— Problem z ludźmi jest taki, że wszystko warunkują strachem przed śmiercią. Oglądają telewizję, żeby nie pamiętać, że się starzeją. Kupują samochody, ubrania i biżuterię, żeby zapomnieć, że śmierć stoi tuż za nimi i czeka. Wykupują ubezpieczenia. Biorą kredyty hipoteczne. Boją się, walczą ze strachem, martwią się. Lecz gdyby tylko zrozumieli, że nie należy bać się śmierci. Stawienie czoła śmierci jest chwilą totalnej paniki, ale gdy ta chwila minie, to jesteś wolna. I jesteś ocalona. Edwino, czy chcesz być ocalona?

— Hal, no dalej — zawołał jeszcze inny głos z ogniska. — Przestań marudzić tej dziewczynie, tylko chodź do nas coś zjeść.

Hal Shocks zignorował ich.

— Edwino, czy rozumiesz to, co do ciebie mówię?

Dziewczyna podrapała się po głowie.

— No jasne, Hal. Ale ta jazda z totalną paniką nie bardzo mnie rajcuje.

Hal ścisnął jej ramiona jeszcze mocniej.

— Edwino, to wszystkich rajcuje! Bo tak już jest! Jeśli wejdiesz teraz do morza i wypłyniesz, aż nie poczujesz dna i nie będziesz wiedziała, gdzie jesteś, poczujesz strach, jakiego nigdy jeszcze nie przeżyłaś. Nikt po ciebie nie przyplynie, żeby cię uratować. Nie będzie żadnych sygnałów ani pomocy znikąd. Tylko morze, ty i ciemność. Edwino, spojrzysz śmierci prosto w twarz i wtedy zobaczysz, jak to jest.

— No dobrze, rozumiem, o co ci chodzi, Hal, ale nie jestem pewna, czy chcę wziąć w tym udział. To znaczy, no wiesz, nie umiem dobrze pływać. No, a jeśli faktycznie utonę, to co?

Hal Shocks opuścił ramiona.

— Czy można być aż tak głupim? Oczywiście, że możesz utonąć. O to właśnie w tym wszystkim chodzi.

— Przepraszam, że o to zapytam, ale jaki jest sens poznania uczucia, gdy się staje twarzą w twarz ze śmiercią, jeśli się rzeczywiście umrze? Hal, lubię cię, ale nie mam zamiaru się utopić.

Grupa przy ognisku zachowywała się coraz głośniej. Przekazywali sobie z rąk do rąk wielką butlę czerwonego kalifornijskiego wina, palili haszysz, a ich krzyki i nawoływania roznosiły się po pustej, odległej od jakiegokolwiek cywilizowanego miejsca plaży.

Hal Shocks złapał Edwinę za rękę i poprowadził nad brzeg oceanu. Nadchodził przyptyw i woda oblewała ich kostki. Piana morska mieniła się zielonością, a w wodzie świeciły tysiące fosforyzujących żyjątek. Dziewczyna drżała na całym ciele. Daleko w morzu widać było czerwone i zielone światła statku, ale resztę spowijały ciemności.

— Edwino — powiedział Hal Shocks — czego pragniesz od życia?

— No nie wiem. Chyba przyjemności, to znaczy, nie chcę, by moje życie było takie jak matki. Gotowanie, sprzątanie i ciągle zajmowanie się domem. Mój brat wyjechał do Filadelfii.

— A po co mu to? Aż do Filadelfii?

— Nie wiem. Każde miejsce byłoby lepsze niż zostanie w domu. No wiesz, to taka nuda. To jak czyścić na przedmieściach. Tandetne domy i tandetni ludzie.

Hal trzymał jej rękę w swoim kościstym uścisku. Patrzył w niespokojną ciemność, wciągał do płuc słone powietrze nosem przypominającym ostrze siekiery.

— Czy twoja matka stała kiedyś tak jak ty, naga do pasa, i myślała o śmierci?

— Rany, nie. No chyba nie. To znaczy, może jak była młoda. Ale chyba nie.

— Czy twoja matka boi się śmierci?

— No wiesz, ona ogląda dużo telewizji.

— A ty?

Edwina wzdrygnęła się.

— Chyba tak, Hal. Chyba boję się śmierci.

Hal odwrócił się i położył dłonie na jej ramionach. Wyglądał jak jastrząb albo szatan, albo jakaś inna zjawa z najgorszych koszmarów sennych. Edwina zaczęła się zastanawiać, czy może gdyby się obudziła, to on będzie tylko złym snem.

— Wielka woda oddziela żywych od martwych. To wody Hadesu. Wody zapomnienia. Każdy, kto umrze, musi popłynąć tą rzeką. — Wskazał na wzburzony ocean. — Masz ją przed sobą. Musisz ją przejść.

Edwina przeraziła się jeszcze bardziej. Ten wysoki, diaboliczny mężczyzna w czarnych butach naprawdę zmuszał ją do stanięcia twarzą w twarz z rzeczywistością prawdziwej śmierci. To już nie była zabawa w kowbojów i Indian. Żadne wyglupy. Tylko przerażająca śmierć. Jak wypadki samochodowe i prawdziwa krew, jak ten trupio błądy mężczyzna, którego widziała na stacji autobusowej Grayhound z twarzą do ziemi i dziwnie rozrzuconymi na boki nogami.

— Zdejmij dzinsy! — rozkazał Hal Shocks. — Nie możesz umrzeć w dzinsach!

Trzęsąc się, odpięła metalowy guzik i rozpięła suwak. Zsunęła dzinsy i odepchnęła je stopami. Morze je złapało i unosiło na grzbietach rozlewających się fal przyptywu.

Hal Shock puścił jej ramię. Stała, szcękając zębami i dygocząc, z kępką włosów łonowych i twardymi, zimnymi piersiami.

— Zapomnienie czeka na ciebie — powiedział Hal Shocks, wskazując na morze. — Nie możesz go zawieść!

Edwina zaczęła brodzić po kolana w wodzie. Była nawet dość ciepła, uspokajała ją. Może będę tak unosić się na powierzchni przez pół godziny — pomyślała — i popłynę wzdłuż plaży, żeby dalej wyjść na brzeg i uciec od Hala Shocks'a i tych innych.

— Dalej! — wołał Shocks. — Dalej, Edwino, jeszcze dalej!

Weszła głębiej i zachłysnęła się wodą, która uderzyła falą o jej piersi. Im dłużej szła, tym woda stawała się zimniejsza. Dziewczyna zdała sobie sprawę z tego, że nie utrzyma się na powierzchni nawet pięć minut, a co dopiero pół godziny. Odwróciła się i zaczęła brnąć w wodzie w stronę plaży tak szybko, jak tylko potrafiła, kierując się na skały czterdzieści, pięćdziesiąt metrów od Hala Shocks'a.

Woda przypominała zimny klej. Każdy krok był coraz trudniejszy i wolniejszy, jak we śnie; podnosiła nogi tak wysoko, że aż zaczęły ją boleć. Minęło kilka minut, zanim Hal Shocks zorientował się, co ona zamierza. Wydawało się jej, że właśnie te kilka minut wystarczy jej, by uciec. Już widziała wyraźnie skałki na brzegu. Chciała do nich dotrzeć i tam się ukryć. Mogłaby później dobiec do drogi i zatrzymać ciężarówkę albo samochód.

Ale Hal Shocks przewidział jej próbę ucieczki ku wolności. Brodził na płyciźnie w wysokich butach, odcinając jej drogę ucieczki do skał. Próbowwała desperacko zmienić kierunek i wydostać się na plażę w miejscu, w którym weszła do morza, ale on zatrzymał się i też zwrócił w tę stronę.

Zygzakami brodziła w stronę piasku. Hal Shocks był tylko dziesięć, może piętnaście metrów dalej. Tłumek przy ognisku obserwował, co się dzieje i dopingował Edwinę, a Hal Shocks zaczął ją gonić.

— Nie! — wrzeszczała. — Nieee!

— Uciekaj mała, uciekaj! — dał się jakiś chrapliwy głos od ogniska. — No dalej, Hal, ruszaj nogami!

Edwina biegła po miękkim, delikatnym piasku. Słyszała uderzenia stóp Hala tuż za sobą. I jego ciężki oddech. Była wyczerpana, a mięśnie jej nóg osłabły od brodzenia w głębokiej wodzie. Zatrzymała się na moment, żeby skoczyć z niewielkiego pagórka, ale wtedy Hal chwycił ją za włosy i zakręcił, aż padła na kolana. Łkała, próbując złapać oddech, a Hal pchnął ją w ramię i przewróciła się na piasek.

— Ty suko! — dał się. — Jak śmiesz mi się przeciwstawiać! Jak śmiesz uciekać od śmierci! To ja ci daję moż-

liwość przeżycia ostatecznego doznania, a ty tak mi dziękujesz! Ty dziwko!

Nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. Leżała rozplaszczona, z szeroko rozwartymi oczami i unoszącą się do góry klatką piersiową. Hal Shocks złapał ją za nadgarstek i ciągnął po piachu jak worek kartofli. Porzucił ją koło ogniska, twarzą do ziemi, kaszlącą i dyszącą.

Sześciu pijanych, spoconych i brudnych kumpli Hala Shocksa patrzyło na Edwinę. Baniak z winem leżał przewrócony i wino sączyło się na piasek niczym krew z rany. Młody chłopak, który grał na gitarze, próbował upiec sobie kiełbasę, ale miał za krótki kij i ciągle przypiekał sobie palce. Inny koleś o rudych włosach, mocno zamroczony, niezdarnie skręcał jointa.

Shocks całkowicie z nimi kontrastował — był czysty, trzeźwy i wściekły. Kopnął dziewczynę szpicem buta.

— No dobra — odezwał się do wszystkich. — Co z nią zrobimy? Odmówiła oddania się bogini śmierci i pograżenia w oceanie, więc musimy wymyślić coś odpowiedniego do sytuacji.

Jeden z mężczyzn z niebieską opaską na czole mongolowskiej gęby przetarł pot z brody wierzchem ręki.

— Nie wiem, człowieku. To dość zarozumiała panienka. Może powinniśmy ją jakoś „poniżyć”?

— A co to za słowo? — odezwał się inny.

— No... — zaczął mongoloid — to znaczy „wypierdolić”, ale jest bardziej uprzejme.

Hal Shocks spojrział na Edwinę, trzymając ręce na biodrach. Z miejsca, w którym leżała, widziała tylko wijące się płomienie i trzy, może cztery błyszczące twarze hippisów. Wyglądali, jakby mieli na sobie pomarańczowe maski z jakiegoś dziwaczego chińskiego teatru lalek. Czują potworny, zaciskający piersi strach, ale nie ośmielała się poruszyć.

— W porządku — odparł Shocks. — Każdy niech zrobi z nią to, co chce. Ale każdy musi zrobić coś innego.

Spodobał im się ten pomysł i zaczęli się cieszyć jak głupki i klepać po kolanach. Gitarzysta wstał pierwszy, liżąc paluchy i żując resztki podpieczonej zaledwie kiełbaski. Złapał Edwinę za rękę i odciągnął kilka metrów od ogniska.

Zaczął się sprośne dopingowanie od widzów. Hal Shocks stał poza ich kręgiem, spoglądając ze skrzywioną miną na morze.

Edwina leżała na plecach. Nie krzyczała, nie wołała o pomoc. Jej umysł ogarnęło dziwne otępienie, niczym jakaś szara płachta. Widziała gwiazdy nad sobą i czuła piasek pod plecami, ale prawie nie czuła rąk gitarzysty, który rozchylił jej uda, ani żółdzia sztywnego penisa, gdy zaczął wpychać się do pochwy.

Jego twarz wisiała nad jej twarzą, spocona i śmierdząca tanim winem. Dziewczyna miała suchą pochwę i ciasną od morskiej wody. Gitarzysta mocno napierał. Członek był zapiaszczony i o wiele za duży. Leżała jak otępiała, nie

krzycząc, nie mówiąc ani słowa, a pieprzył ją ciężkimi, mozolnymi ruchami.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak długo to trwało. Może godzinę, a może tylko kilka minut. Chłopak syknął przez zęby i poczuła gorący wytrysk spermy wewnątrz ciała. Jakaś wątpła myśl przemknęła przez jej głowę, nadzieja, że może nie zajdzie w ciążę. Co powiedziałaaby na to matka? Byłoby strasznie trudno to wszystko wytłumaczyć.

Po chwili podszedł następny mężczyzna. Odwrócił ją na brzuch. Poczuła jego rękę między pośladkami, a potem palący ból, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Piasek wciskał się wszędzie, nawet do ust, ale niewiele już to ją obchodziło. Mężczyzna rozmazywał gorący tłuszcz od kiełbasy w jej odbycie. Próbował wcisnąć członek między jej pośladki, przeklinając potwornie, bo było za ciasno. Wiedziała, że to ten rudzielec, i zastanawiała się, czy on jest świrem.

Tym razem zabolalo. Bardzo zabolalo. Rozdzierający ból przedostający się coraz głębiej w odbyt sprawił, że lzy ciekły strumieniami po policzkach. Głęboko, tam i z powrotem, rozdzierał jej nabłonek i tkanki, rozmazując krew na pośladkach. Chyba zemdlala, bo gdy odzyskała przytomność, był przy niej ktoś inny.

Wpychał jej twardy i gumowaty członek do ust. Miał drażniący i gorzki smak. Jakby z dala dochodził do niej rozkaz ssania. Mężczyzna uderzył ją w twarz, pociągnął za włosy i jeszcze raz rozkazał ssać. Ssała. Czują, że za moment się udławi. Penis wciskał się do gardła i krztusił ją. Napastnik kazał ssać mocniej, więc ssała mocniej, tak długo, aż wystrzelił spermą która wypełniła jej usta. Edwina leżała na plecach, a sperma wypływała bokiem z ust. Nawet nie próbowała jej wypluć.

Ale to nie był jeszcze koniec. Nie wszystko odczuwała świadomie, raz po raz tracąc przytomność. Jakaś gorzka ciecz zlała jej twarz, nasaczyła włosy i szczypała w oczy. Coś gorącego i tłustego wsuwano jej do pochwy. Piersi miała posiniaczone i podrapane. Wydawało jej się nawet, że to jest tylko sen, że obudzi się za chwilę w swojej sypialni w Bakersfield. Podczas maltretowania szeptała: „Mamo”...

Kiedy ogniskowe towarzystwo już z nią skończyło, przyszła kolej na Hala Shocka. Wysoki i ciemnowłosy, z czarnymi, połyskującymi oczami, stał teraz nad jej zwiniętym do pozycji embrionalnej ciałem. Pochylił się i odwrócił ją.

Pozostali śmiali się z niej, żartowali i pili. Próbowali otworzyć kolejną kilkultrową butlę kalifornijskiego wina. Jeden z nich chichotał piskliwym głosem, próbując wyjaśnić innym, jak udało mu się zrobić to, co on jej zrobił.

Nadal rechotali, gdy Hal Shocks zmusił Edwinę, by uklękła na piasku. Miała przerażone oczy i posiniaczone ciało, a z krocza sączyła się krew.

— Powtórz po mnie — mówił Hal Shocks. — Powtórz po mnie: „Kocham śmierć... Chcę śmierci...”.

Nic nie powiedziała. Zachwiała się.

— Powtórz! — szczechnął Hal Shocks. — Powiedz to, ty pierdolona macioro!

Spojrzała na niego matowym wzrokiem i zwilżyła językiem usta.

— Kocham... śmierć...

Coś, niby uśmiech przecięło jego twarz. Schylił się i wyciągnął długi nóż z cholewki buta. Pozostali zobaczyli błysk ostrza i przestali się śmiać.

Hal Shocks wbił nóż w błądy brzuch Edwiny i jednym ruchem pociągnął do góry, aż do mostka. Z rozcięcia wylały się wnętrzności. Dziewczyna padła twarzą w piach.

Hal Shocks wstał. Wokoło panowała grobowa cisza. Ognisko skwierczało i trzaskało. Trochę dalej ryczało i kipiało morze. Sześciu mężczyzn o spoconych twarzach patrzyło na Halę, ale nikt nie odezwał się ani słowem. Shocks otarł nóż i wsunął go z powrotem do cholewki buta.

Usiadł i przechylał butelkę z winem. To był pierwszy łyk tego wieczoru. Odłożył butelkę; wszyscy nadal patrzyli na niego oniemiałymi.

— Słyszeliście, co powiedziała — zaczął spokojnym głosem. — Powiedziała, że kocha śmierć.

Rudzielec odezwał się chropawym głosem:

— Ale chyba nie mówiła tego dosłownie... Hal Shocks rzucił mu ostre spojrzenie.

— Powiedziała, że kocha śmierć — powtórzył. — A kimże ja jestem, że mógłbym odmówić jej tego, co kocha?

\*\*\*

Timeri Orari jadł podgrzany gotowy obiad z tacki, gdy zadzwonił telefon. Odstawił tackę z grubej folii aluminiowej na sąsiedni stolik, ściszył telewizor, w którym leciał *Kojak*, i podniósł słuchawkę.

— Orari, słucham? Kto mówi?

— Cześć, Timeri. Tu Sarah. Możesz chwilę ze mną porozmawiać?

— Jasne, poczekaj sekundkę.

Odłożył słuchawkę, wziął tackę z gotowym obiadem do mikroskopijnej kuchenki i wsunął do piekarnika, by utrzymywał ciepło posiłku. Był zmęczony. Miał na sobie sarong z czerwonego jedwabiu i tanie chińskie tenisówki. Okna jego małego mieszkania wychodziły na zaniedbany park w zachodnim Chicago. Cała podłoga zawałona była planami i szkicami. Na ścianach wisiały jaskrawe obrazki przedstawiające palmy i laguny Celebes i Borneo.

— Już w porządku — powiedział. — Jestem do twojej dyspozycji.

— Przerwałam ci coś ważnego?

— Żaden problem. Jadłem to gotowe świństwo do podgrzania.

— Przykro mi, ale po prostu musiałam do ciebie zadzwonić.

— W czym mogę ci pomóc?

— Czy wiesz, gdzie jest Craig?

— Jasne, jest w Los Angeles. Pojechał tam, by zdobyć pieniądze.

— Zdobyc pieniądze? Na co?

— Na próbę prędkości. Na *Fireflasha piątego*.

— To znaczy, że... on serio chce to zrobić?

— Sądzę, że tak. Jeśli tylko uda nam się zdobyć pieniądze, to będziemy okay. Jest kilka drobiazgów do dogrania, ale wybraliśmy już rodzaj samochodu i rozglądamy się za sponsorami.

— Timeri, czy możesz przekazać mu wiadomość?

— Pewnie, że tak. Ale czy nie uważasz, że powinnaś porozmawiać z nim sama?

— Nie wiem. Chyba się trochę boję.

— Boisz się? Czego? Przecież to twój mąż!

— Boję się tego, co on mógłby mi odpowiedzieć.

— Sarah, nie odzyskasz go, jeśli sama z nim nie porozmawiasz. On jest, jaki jest. Taki sam jak jego ojciec. Musi wiedzieć, że chcesz go z powrotem, bo inaczej zaczniesz myśleć, że nie chcesz.

Głos rozmówczyni drżał. Timeri podejrzewał, że Sarah za chwilę zacznie płakać.

— Nie rozumiesz, Timeri. Też tak myślałam, ale to już się zmieniło. Byliśmy małżeństwem przez siedem lat i nagle on odszedł jak gdyby nigdy nic. Nawet nie wiem, co takiego złego zrobiłam. Boję się, że on sam siebie dobrze nie rozumie.

— Sarah, ja też tego nie wiem. Ta cała rodzinka jest taka. Craig zachowuje się tak samo, jak zachowywał się jego ojciec.

— Ale on nienawidził ojca. To dlaczego próbuje go naśladować?

Timeri podrapał się po nodze.

— Craig jest wypisz, wymaluj jak jego ojciec. Chyba próbował być inny niż Bradley. Ożenił się z tobą, zamieszkaliście w przytulnym mieszkanku, miał stałą pracę. Zrobił wszystko to, czego nie zrobił jego ojciec. Ale odmienne zachowanie nie oznacza, że jest inny niż ojciec. I w końcu nie potrafił tego wszystkiego tak ciągnąć...

— To uważasz, że on mnie nigdy nie kochał?

— Wcale tak nie uważam. Myślę, że Craig próbował prowadzić życie, które nie odpowiadało jego osobowości, by tylko pokazać Bradleyowi, że nie jest taki jak on. Ale to nie było najlepsze rozwiązanie. Człowiek powinien żyć tak, jak mu się podoba, a nie tak, żeby udowodnić rodzicom, jakimi są palantami.

— Timeri, ale dlaczego on mi tego nie powiedział? Przecież jestem jego żoną. Mógł mi powiedzieć! Ja też nie lubię tego przytulnego, małego życia tak samo jak on. Tak żyję, bo sądziłam, że on tak chciał żyć. Robiłam to tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność.

— Sądzę, że nigdy nic nie mówił na ten temat, bo nie zdawał sobie z tego sprawy. Poznał siebie dopiero po śmierci ojca. Nie musiał się buntować, bo zabrakło faceta,

przeciwko któremu się buntował. Craig zawsze był nieodrodnym synem Bradleya. Znam ich od lat. Bardzo go przypomina, mimo że starał się udowodnić, iż jest inaczej. A teraz, gdy Bradley nie żyje, Craig może być sobą po raz pierwszy w życiu.

— Timeri. Czy on wróci do mnie?

— Chcesz szczerej odpowiedzi?

— Tak. Tu chodzi przecież o moje życie. Nie wiem, co począć bez Craiga.

— No to jeśli chcesz szczerej odpowiedzieć, to muszę powiedzieć, że on nie wróci. Czy ty potrafiłabyś cofnąć się o rok? Craig też nie cofnie się do życia, jakie prowadził rok temu. Teraz ma oczy otwarte szeroko na świat i widzi go takim, jaki jest. Odkrył sam siebie. Jego ojciec musiał najpierw umrzeć i niejako uwolnić Craiga.

— Ale on tu wszystko zostawił — ubrania, płyty, całe mieszkanie...

— Sarah, nie chcę być okrutny. Ale on już nie wierzy w wasze przytulne mieszkanie. I już nigdy nie wróci. Przynajmniej nie na stałe. Może próbować, ale jak tylko wróci, to zaraz sobie przypomni, dlaczego uciekł. Nie przez ciebie ani przez to, co źle zrobiłaś, ale po prostu dlatego, że on z tego wszystkiego wyrósł. Craig jest takim facetem, który musi wierzyć w to, co robi w życiu, w swoją pracę i otoczenie, i nie potrafi żyć w kłamstwie.

— To znaczy, że on już mnie nie chce?

— Nie, Sarah. Tego nie powiedziałem. On nie pragnie życia, jakie ty prowadzisz, ale to nie znaczy, że nie chce ciebie. Może spróbuj zrozumieć, jakiego życia on potrzebuje. Możesz spróbować być jego częścią.

— Ale co z życiem, która ja chcę mieć? Czy Craig o tym nie pomyślał? Co ze mną?

— Nie wiem. Bicie rekordu prędkości jest teraz najważniejsze. Bez względu na to, czy jesteś tutaj, czy przy nim, to on i tak będzie próbował zrobić z siebie najszybszego człowieka na świecie.

— A czy on nie pomyślał, jaka jestem przez to samotna? Muszę brać pigułki nasenne, żeby przespać choć kilka godzin co noc.

— Sarah, jestem przyjacielem rodziny. Będę cię słuchał tak długo, jak będziesz tego potrzebowała, ale nie pytaj mnie o takie rzeczy. To sprawa między tobą a Craigiem, a mnie nic do tego. Jeśli chcesz wyznać, jak bardzo czujesz się samotna, to wyznaj to jemu. Nie mnie. Nie mogę w żaden sposób na niego wpłynąć. I niby dlaczego miałbym to robić? Lubię cię, Sarah, ale tylko pracuję dla Craiga. Nie jestem jego żoną.

— Czy sądzisz, że jeśli już z tym skończy i pobije ten rekord, to wróci?

— Może. Ale samochód będzie gotowy dopiero za dwa naście, może nawet trzynaście miesięcy, a to dużo czasu na czekanie.

— Timeri, to chociaż przekaz mu, że go kocham.

— Sarah, nie powtórzę tego. Jeśli naprawdę chcesz wyznać Craigowi, że go kochasz, posłuchaj mojej rady: poleć do niego i powiedz mu to w oczy. Nigdy go nie odzyskasz, próbując wzbudzić w nim poczucie winy. Nigdy.

— No dobrze. Rozumiem — odparła Sarah po chwili milczenia.

Timeri spojrział na telewizor — Kojak właśnie zdejmował marynarkę i został w fantazyjnej kamizelce. Miał nadzieję, że Sarah wreszcie zakończy rozmowę.

— W porządku — odezwała się. — To już kończę.

— Do widzenia, Sarah. Zadzwoń, jak będziesz jeszcze miała ochotę.

— Okay, Timeri. Dziękuję. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę, wstał i przetaił oczy. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał okropne komplikacje, jakie niesie ze sobą majstrowanie z życiem i śmiercią. Gdyby nie nowotwór płuc Sushy, Bradley Winger nadal by żył, a Craig nie porzuciłby Sarah. Timeri poczuł się, jakby wyciągnął jeden talerzyk ze spodu stosu delikatnej zastawy, a wszystkie salaterki i talerze runęły, tłukąc się w drobny mak.

Tylko czy była to naprawdę jego wina? Gdyby miał jeszcze raz wybierać pomiędzy życiem siostry a Bradleya Wingera, wiedział już, jak by postąpił. Teraz żywił jednak nadzieję, że Carlos przejrzy na oczy i wyda pieniądze na leczenie Sushy. Timeri nie mógł go do niczego zmusić. Nie mógł też zadzwonić na policję, bo policja zaczęłaby się zastanawiać, skąd wzięło się tyle pieniędzy. Nawet tak wybitny ekspert techniczny jak Timeri nie chodzi po ulicy z dwudziestoma tysiącami dolarów w używanych banknotach. Minęło już kilka tygodni bez wiadomości o siostrze. Więc najprawdopodobniej żyła i nie leżała w szpitalu. W przeciwnym wypadku dotarłyby do niego złe wiadomości.

Już miał iść do kuchni po niedokończony obiad, gdy o czymś pomyślał. Sięgnął po notatnik, znalazł numer do Sarah. Podniósł słuchawkę i wykręcił. Telefon dzwonił przez minutę, zanim Sarah odebrała.

— Tu Timeri.

— Co się dzieje? — zapytała smutnym głosem, jakby była pogrążona w depresji.

— Sarah, chyba byłem zbyt obcesowy. Może jednak porozmawiam z Craigiem.

— Mówisz poważnie? Naprawdę myślisz, że cię wysłucha?

— Mogę spróbować. Gdy wrócę do Los Angeles, zaproszę go na obiad i porozmawiam z nim.

— Dziękuję, Timeri. Wiesz, ile to dla mnie znaczy.

— Sarah, jest jeszcze jedna rzecz.

— O co chodzi?

— O małą uprzejmość.

— Jeśli tylko będę w stanie...

— Moja siostra mieszka w hiszpańskim Harlemie. Jest chora, a ja miałem nadzieję, że podda się operacji. Problem

w tym, że ona za bardzo nie umie pisać i nie ma telefonu. Czy mogłabyś do niej wpaść i zobaczyć, jak się czuje?

— Ależ oczywiście. Podaj mi adres. Pojadę jutro. Timeri podyktował adres Sushy.

— Sarah, nie wiem, jak ci dziękować.

— W porządku. Tylko zadzwoń do mnie, gdy dowiesz się czegoś o Craigu.

— Oczywiście. Trzymaj się ciepło. Do usłyszenia.

Odłożył słuchawkę. Poszedł do kuchni i wyjął obiad z piekarnika. Spróbował tężejącego sosu widelcem. Zastanawiał się, co sprawiało, że życie było tak straszliwie skomplikowane i dlatego ciągle trzeba o wszystko nieustępliwie walczyć.

Nastawił głośniej telewizor, gdy Kojak mówił: „Czy ktoś cię kocha, dziecińko?”.

♦♦♦

Kolacja w rezydencji Peace'ów tego wieczoru była połączeniem formalnej elegancji z odrażającymi manierami. W ładnej, bogato obwieszanej obrazami i gobelinami jadalni stał stół z drewna orzecha włoskiego i połyskiwał od ciągłego polerowania. Kunsztowne srebrne kandelabry oświetlały kieliszki na wysokich nóżkach i ciężkie srebrne sztuce. Talerze ozdobione kwiatami pochodziły z najlepszych europejskich fabryk porcelany. Wypili zupę żółwiową i zjedli soczystą jagnięcinę. Służący dolewali do pucharków Chateau Latour.

Niestety, Tyson Peace siedział zjedną nogą przewieszoną przez podłokietnik fotela i jadł z otwartymi ustami. Wyciągał się nad stołem, gdy chciał sobie czegoś dołożyć, i wycierał tłuste paluchy w obrus. Corinna wcale nie zachowywała się lepiej. Prawie nie używała widelców ani noży, wszystko brała palcami — mięso, warzywa, nawet sos.

Craig siedział między nimi, jedząc kulturalnie i starając się domyślić, o co w tym wszystkim chodzi.

Tyson dokończył jagnięcinę i odsunął talerz.

— Problem z jagnięciną jest taki, że — zaczął grzebiąc palcem w ustach — wchodzi między zęby.

— Została wspaniale przyrządzona — skomentował danie Craig.

— Oczywiście. Bo mój zakichany kucharz zarabia więcej ode mnie.

Corinna obgryzała kość. Miała na sobie wieczorową sukienkę z zielonego szyfonu i szmaragdowy diadem. Wyglądała jak królowa jakiegoś obskurnego słowiańskiego państewka.

— Lubisz jeść, Craig? — zapytała.

— Tak, oczywiście. Ale w tej chwili już czuję się nasycony.

— Mm... szkoda — odpowiedziała.

Coś chciała w ten sposób mu zakomunikować, ale nie za bardzo mógł ją zrozumieć. Zastanawiał się, ile już wiedziała o czteromilionowej ofercie swego ojca. Może nawet wszystko. Jeśli tak, to trudno było mu stworzyć jakiś jednoznaczny

obraz jej osobowości. Po raz pierwszy zaczął czuć, że nie gra w swojej lidze.

— Nie będziesz się bał prowadzić samochodu z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę? — zapytała Corinna. — Chyba trzeba mieć wtedy okropnie szybki refleks?

Bez żadnego ostrzeżenia rzuciła w Craiga srebrną solniczką.

Craig machnął ręką i złapał ją w locie, zanim upadła.

Ustawił ją delikatnie obok talerza.

— Szybki refleks? Jak najbardziej. Ale łapanie solniczek to nic wielkiego. Gdy kierujesz samochodem jadącym z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę, niewiele można zrobić, żeby uratować się przed rozbiciem. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę pokonuje się odcinek kontrolny długości niecałych dwóch kilometrów w zaledwie pięć i jedną dziesiątą sekundy. To szybciej niż trzysta metrów na sekundę. Nawet jeśli prowadzisz zwykły samochód z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, to jego droga hamowania wynosi prawie sto metrów. Przy prędkościach, które ja osiągnę, droga hamowania wynosi prawie dwa kilometry.

Corinna uśmiechnęła się.

— To musi być strasznie niebezpieczne. Dlaczego chcesz to zrobić?

Tyson wlał w siebie wino bordoskie, jakby to była zwykła coca-cola.

— Chce to zrobić, bo po prostu jest jakiś rekord, który można pobić — wtrącił się Tyson. — No dobra, zjedźmy jakieś owoce, zanim umrzemy na szkorbut.

— To prawda? — zapytała Corinna. — Tylko dlatego, że jeszcze nie został pobity?

Craig pokręcił głową.

— To nie tak. To nie jest góra, którą można zdobyć, ani rzeka z bystrzami, które trzeba pokonać. Rekord prędkości jest całkowicie nienamacalny. Tylko kilku ludzi widzi, jak go zdobywasz i może nie udać się tego powtórzyć. No, może i można, ale nie jest to takie proste.

— Innymi słowy — skomentował Tyson — jest to jak sikanie po ścianie.

— Nie wiem, jak to jest — odparł Craig. — Nigdy tego wcześniej nie robiłem. Odczuwam to jak pewną przeszkodę do pokonania. Jak egzamin, który muszę zdać, czy mi się to podoba, czy nie. Nie mogę o tym po prostu zapomnieć. Jeśli nie spróbuję tego zrobić teraz, to myśl, że nie spróbowałem, będzie dręczyła mój umysł do końca życia.

Corinna zatrzepotała rękami z przesadnym uwodzicielstwem.

— Nie sądziłam, że jesteś mężczyzną, który mógłby się czymś bardzo przejmować. Wyglądasz na chłodnego, spokojnego i opanowanego.

— Przejmuję się niedokończonymi projektami.

Tyson Peace wbił zęby w wielką pomarańczę, aż sok spłynął mu po brodzie.



— Masz rację, Craig. To jest właśnie problem z dzisiejszymi ludźmi. Nigdy nie kończą tego, co zaczęli. No a Corinna chce się zemścić na ojcu.

— Zemścić się? To chyba nie jest najwłaściwsze słowo? — zapytał Craig.

— Jest to jak najbardziej właściwe słowo — odpowiedziała, uśmiechając się lekko.

Craig był zdezorientowany. Coś tutaj nie grało i to go drażniło. Odłożył nóż i widelec, spojrzał na Tysona, potem na Corinnę i znowu na Tysona.

— Nie chciałem być niegrzeczny, ale mam uczucie, jakbyście wy dwoje wiedzieli o czymś, czego ja nie wiem.

Corinna uśmiechnęła się szeroko.

— Nie jesteś wcale niegrzeczny, Craig. Ale to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż ci się może wydawać.

— Skomplikowane? Dlaczego?

— Czy nadal uważasz, że śmierć twojego ojca była przypadkowa?

Te słowa wbiły się w Craiga jak kawałki ostrej stali. Wpatrywał się w nią, próbując zrozumieć to, co powiedziała, ale nie chciał dopuścić tego do swojej świadomości. Jej zielone oczy odbijały światło świec, a skóra była miękka, brązowa i ponętna. A tu, nie wiadomo skąd, takie słowa.

— Ciekawe... — odparł zachrypłym głosem. — Kto chciałby zabić mojego ojca? I po co?

Tyson Peace stuknął lekko pięścią w stół.

— Corinno, zamknij się.

Corinna całkowicie zignorowała ojca.

— Ludzie nie zawsze zabijają żeby coś zdobyć — wyjaśniła. — Przecież mogą istnieć też inne motywy.

— Na przykład jakie?

— Zemsta — odparł Tyson Peace. — To jest zawsze dobry motyw.

Craig nie wiedział, co ma odpowiedzieć w takiej sytuacji.

— Zemsta? Mój ojciec był kierowcą wyścigowym i to zaledwie drugiego sortu.

— Był także biznesmenem, ale już trzeciego sortu — uzupełnił Tyson Peace.

— Co to wszystko znaczy? O czym wy mówicie?

Corinna zrobiła minę do ojca.

— Nie sądzisz, że powinniśmy mu to wyjaśnić? Tyson starał się być ostrożny.

— Skoro ty już wszystko o tym wiesz, to może powinniśmy.

Craig wstał.

— Jeśli to jest jakiś dowcip, to lepiej powiedzcie mi to od razu, tu i teraz. A jeśli nie, to zadzwonię na policję.

— Na policję? A co, do cholery, im powiesz? — zapytał Tyson.

— Nie wiem. Ale może się dowiem od was. Jeśli śmierć mojego ojca była morderstwem, to chcę poznać prawdę natychmiast.

Tyson wyciągnął rękę nad stołem, sięgając po cygaro ze srebrnej szkatułki. Odciął końcówkę i zapalił. Przez moment otoczyła go chmura siniego dymu jak Orsona Wellesa.

— Śmierć twojego ojca była przypadkowa. Przydarzyła się, ponieważ ktoś chciał dać mu nauczkę. Nikt nie zamierzał go zabijać i miałbyś duże trudności, starając się to udowodnić. Pojawiła się jakaś usterka w zaworach i po wszystkim. Gdyby twój ojciec nie był takim pieprzonym, skorumpowanym skurczybykiem, te zawory zostałyby czyste.

— Skorumpowanym? O czym ty mówisz?

— Daj sobie spokój, Craig. Twój ojciec nie był żadnym bohaterem i ty o tym dobrze wiesz. Był człowiekiem, któremu nie może się udać. Miał jaja i sporo talentu, ale brakowało mu tej ekstrahucy, która pozwala zostać zwycięzcą.

Craig usiadł. Wyjął papierosa z małego porcelanowego słoiczka na stole i zapalił go trzęsącymi się palcami.

— Tyle to sam wiem.

Tyson skinął głową.

— Ale możesz nie wiedzieć, będąc żółtodziobem w świecie wyścigów samochodowych, że próby pobicia rekordów świata w prędkości na lądzie podejmuje się nie tylko ze względu na miłość do sportu lub dreszcz emocji związany z sukcesem ani też ze względu na jakieś wymyślone bohaterstwo. Za próby bicia rekordów prędkości dostaje się kupę szmalu i cała kolejka chętnych nieźle wypycha sobie kieszenie pieniędzmi.

— Nie rozumiem — odparł Craig. — Lepiej mi to wyjaśnij dokładniej.

— Chętnie — przytaknął Tyson, spokojnie pykając dymem z cygara. — Przede wszystkim każda forma sponsoringu to już jest wielki interes sam w sobie. Jak sądzisz, dlaczego wielkie korporacje tak chętnie sponsorują sport, instytucje medyczne, stypendia studenckie i biblioteki? Myślisz, że ich zarządy siedzą sobie pobożnie ze złożonymi rękami jak do modlitwy i zastanawiają się, jak tu wydać olbrzymie pieniądze, by ludzie byli szczęśliwi? Akurat! Oni zostają sponsorami, bo jest to łatwy sposób na zniknięcie sporych sum pieniędzy. Poprosiłeś mnie dzisiaj o cztery miliony dolarów. Jeśli spełnisz pewne warunki, to ci je przekażę. Już o niektórych rozmawialiśmy i nie musimy ich poruszać w tej chwili.

Tyson Peace spojrzał w tym momencie na Corinnę i Craig zorientował się, że ona jeszcze nic nie wie o jednoosobowym handlu białą niewolnicą.

— Może i poprosiłeś o cztery miliony dolarów, ale ja dam ci sześć. W końcu przyda ci się parę milionów ekstra na badania i rozwój, prawda?

Craig wydmuchał dym.

— Rozumiem wszystko. Dwa miliony dolarów tajemniczo znikną na badania, których wcale nie potrzebujemy, i równie tajemniczo znajdą się u ciebie w kieszeni, nieopodatkowane przez urząd skarbowy.

— Szybko łapiesz. Prawda, Corinna, że on szybko się uczy?

— Okay, ale co to ma wspólnego z moim ojcem?

— Twój ojciec — tłumaczył dalej Tyson — jest dla nas wszystkich przestrożą. To smutna historia człowieka, który nie chciał normalnie wziąć udziału w tej grze. Przynajmniej nie uczciwie. Twój ojciec był chciwy, a w tym biznesie chciwość zwykle nie popłaca. Szczególnie przesadna chciwość.

— Powiedz mi wszystko — wtrąciła się Corinna, jedząc winogrona. — Oszczędź nam już tych morałów i po prostu powiedz mi prawdę.

— To było tak. Twój ojciec podpisał umowę na budowę silnika raketowego z Davidem Suskiczem z Port Arthur.

— Wiem o tym. Ja chcę, żeby Suskicz zbudował silnik dla *Fireflasha piątego*. Jego silniki są bardzo dobre.

— To, czy są dobre, czy złe, nie ma tutaj żadnego znaczenia. To, co się liczy, to mały interesik, który zrobiłem na boku z Davidem Suskiczem. On miał wybudować silnik raketowy, a ja wyprodukować do niego paliwo. A oprócz tego wykorzystaliśmy projekt bicia lądowego rekordu prędkości na skręcenie kilku milionów dolarów nieopodatkowanego zysku. Former Tires był głównym sponsorem, a oni osiągnęli wysokie zyski, które chcieli gdzieś ukryć. Więc spotkali się ze mną i Davidem Suskiczem i razem wypracowaliśmy taki minisystem prania nieopodatkowanych pieniędzy. David zbudował silnik i pisemnie określił bardzo wysokie parametry paliwa. Twierdził, że paliwo powinno się palić czystiej niż jakiegokolwiek do tej pory wyprodukowane paliwo raketowe, żeby można było osiągnąć maksymalną moc z niewielkiego silnika. Nadażasz za mną? Craig skinął głową.

— Czyli chcesz powiedzieć, że zerolene było zwykłym, stosowanym do tej pory, paliwem?

— Nie do końca, nie było wcale takie zwykłe, ale też nie różniło się znacznie od paliwa kosmicznego o nazwie „Spectralene”, które stworzyliśmy osiem czy dziewięć lat temu dla raket marynarki wojennej. Najdroższymi elementami badań i produkcji było, de facto, przejrzanie archiwów i składu chemicznego spectralene i zbadanie, jakich neutralnych substancji możemy dodać, by w świetle prawa powstało zupełnie nowe paliwo. Uzyskaliśmy zwolnienie podatkowe na kwotę poniesionych kosztów badań nad zerolene o wysokości dwóch i pół miliona dolarów plus dodatkowe koszty transportu i personelu. Suskicz płacił nam sześć dolarów za galon, a potrzebował tysiąc galonów na swoje badania. Przynajmniej my tak twierdziliśmy, że tyle płacił za paliwo. Prawdziwy koszt wynosił mniej więcej połowę.

— Każdy miał z tego zysk. Former Tires płacili za całkowity koszt projektu i wrzucili w koszty dziewięć milionów dolarów. David Suskicz odliczył sobie jakąś kwotę

na badania i rozwój, i my też. Każdy dostał swój kawałek tortu, a twój ojciec samochód do bicia rekordu.

Craig rozgniół papierosa w popielniczce i zapalił kolejnego. Wzrok skupił na Corinnie, która z kolei obserwowała go, oceniając jego zachowanie. Fascynowała ją reakcja Wingera na informację o tym, przez co zginął jego ojciec. Zastanawiała się, czy wyjdzie? Czy może zadzwoni na policję? Czy też zostanie tutaj i będzie chciał rozegrać własną grę z Tysonem Peace'em.

— W porządku — odparł Craig. — Tyle rozumiem. Ale skąd w tym wszystkim wziął się mój ojciec? Przecież on nie brał żadnego udziału w tym waszym projekcie unikania płacenia podatków.

Tyson Peace zarechotał.

— No, nie brał. Ale problem tkwił w tym, że jego zdaniem powinien być wzięty pod uwagę. Nigdy nie poznał wszystkich szczegółów tych transakcji. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że zerolene zostało oparte na składzie istniejącego paliwa. Ale udało mu się dowiedzieć, że Suskicz żądał sześciu dolarów za galon, gdy paliwo raketowe normalnie kosztowało tylko trzy dolary za galon. T chyba nawet poznał te ceny zupełnie przypadkowo. Prawdopodobnie ktoś z Propulsion mu to powiedział. W tej branży trudno utrzymać wszystko w tajemnicy. Nie znam szczegółów wydarzeń, ale było to mniej więcej tak: twój ojciec zaczął domagać się od Da vida Suskicza udziału w dodatkowych zyskach, ale David odmówił. Uważał, że Bradley Winger dostał wystarczająco dużo w postaci samochodu do bicia rekordu za darmo. Więc twój ojciec poszedł do Propulsion Laboratories z propozycją przekazania im kontraktu na budowę silnika raketowego, jeśli dadzą mu z tego działkę. I oni się na to zgodzili. W świetle prawa Bradley Winger zarządzał całym projektem i totalnie udupił Suskicza, wrzucając go do szamba. Zostawił go z w połowie ukończonym silnikiem raketowym, kupą kredytów i pozbawił możliwości zarobienia pieniędzy, by wydostać się z tego szamba.

Craig nalał sobie lampkę starego bordoskiego wina. Przez chwilę przyglądał się ciemnej powierzchni, po czym wypił cały pucharek. Wino miało cierpki posmak.

— Sugerujesz, że to David Suskicz zabił mojego ojca? Z zemsty?

— To jest trochę bardziej skomplikowane.

— Zabił czy nie?

— Nooo... nie. Nie całkiem.

— Więc, kto go zabił? Tyson, ostrzegam cię. Chcę poznać prawdę.

Corinna pochyliła się i dotknęła jego dłoni.

— Nie denerwuj się. Jesteś wśród przyjaciół. Craig kompletnie ją zignorował.

— Kto to zrobił, Tyson? Ty?

— Ja? — Tyson się zaśmiał, zarzucając nogę na podłokietnik fotela. — Ja jestem szanowanym biznesmenem. Po co miałbym robić coś takiego?

— Więc kto?

— Craig, chciałbym ci powiedzieć, ale tak naprawdę nie mam prawa tego robić. Problem w tym, że twój ojciec zginął przez niewłaściwie przeprowadzone obliczenia. Twoje wstępne domysły dotyczące oceny paliwa były właściwe. Ktoś przy nim majstrował. Zerolene posiada tę ciekawą właściwość tężenia i zapychania dysz wtryskowych, gdy doda się do niego pewnych soli metali. Prawdopodobnie łączą się one z tymi składnikami, które dodaliśmy do paliwa wcześniej, by różniło się od spectralene. Musiałbyś zapytać moich chemików o szczegóły. Niestety, ten dodatek spowodował zbyt wolne tężenie paliwa. *Fireflash czwarty* nie powinien w ogóle ruszyć z miejsca. Nawet na kilka metrów. Ale tężenie paliwa rozpoczęło się, gdy twój ojciec znalazł się już w połowie biegu, no i nastąpiła tragedia. Co więcej mógłbym powiedzieć? Wszystkim było przykro, ale Bradley Winger chciał się przyłączyć do gry, o której nie miał zielonego pojęcia. I spalił się na tym. Dosłownie i w przenośni.

Craig siedział bez ruchu i nie wiedział, co odpowiedzieć. Wielki zegar ścienny wybił jedenastą. Na zewnątrz przestało już padać i po rozgwieżdżonym kalifornijskim niebie przesuwały się jedynie ciemne chmury. Wstał, odłożył serwetkę i podszedł do okna.

— No i co? — zapytał Tyson, zapalając wygasłe cygaro.  
— Zamierzasz na nas donieść?

Craig odwrócił się i wzruszył ramionami.

— Na co i na kogo? Przecież ty tak naprawdę nic nie zrobiłeś.

— Powiedziałem zabójcy twojego ojca, czego powinien dolać do paliwa.

— Ale nie spodziewałeś się, że mój ojciec może zginąć, prawda?

— Nie. Ale sąd mógłby uznać moje działania jako spisek na życie, nie uważasz?

— To byłoby trudne do udowodnienia — odpowiedział Craig, odwracając wzrok.

Tyson mrugnął do Corinny. Dokładnie wiedział, dokąd zmierzają teraz myśli Craiga.

— A niby dlaczego teraz mnie bronisz, Craig? — za

pytał. — W końcu należałem do tej grupy, która zabiła twojego ojca.

Craig przetarł twarz dłońmi. W jego umyśle działały się rzeczy, o jakich nie miał wcześniej pojęcia. Uczucia wirowały wśród emocji, a on ich nie kontrolował. Wrócił do stołu i usiadł. Spojrzał na łysiego i uśmiechniętego gospodarza uczy.

— Bo cieszę się, że mój ojciec nie żyje, dlatego cię nie oskarżę — odpowiedział i sięgnął po następnego papierosa.

## ROZDZIAŁ 8

Późno w nocy, leżąc w sztywnej, wykrochmalonej pościeli na łóżku w pokoju gościnnym, Craig usłyszał kroki. Ktoś zatrzymał się na chwilę na szczycie schodów i przeszedł koło jego drzwi. Usłyszał jeszcze ciche pukanie i głos Corinny, otwarcie i zamknięcie drzwi.

Począł dłuższą chwilę, nasłuchując. Gałęzie drzewa ocierały się o okno i utrudniały wyłapanie dźwięków z sąsiedniego pokoju. Od czasu do czasu rozlegał się cichy śmiech i dziwny dźwięk jakby posuwającego ugniatania, i nic więcej.

Craig usiadł na łóżku. Pokój gościnny był granatowo-biały, a łóżko przykrywała błękitna jedwabna kapa. W mroku widział swoją marynarkę powieszoną na oparciu krzesła i mały obraz kalifornijskich sadów pomarańczowych z początku dwudziestego wieku. Fosforyzujące wskazówki zegara na stoliku nocnym wskazywały drugą nad ranem.

Znowu usłyszał śmiech i dźwięk ugniatania. Po cichu zsunął nogi z łóżka i na palcach podszedł do ściany. Przyłożył do niej ucho, ale nadal nic nie słyszał. Wtedy przypomniał sobie trik ze starego filmu szpiegowskiego. Wziął szklankę z łazienki i trzymał ją krawędzią do ściany, a ucho przycisnął do denka. Wsunął palec w małżowinę przeciwnego ucha, żeby zablokować szum ocierających się gałęzi na zewnątrz i próbował podsłuchać rozmowę toczącą się w sąsiednim pokoju.

Słyszał męski głos. Po chwili kobiecy — Corinna. Znowu śmiech. Coś o parkowaniu: „...gdzie zaparkowałeś?”, mężczyzna odpowiedział coś niezrozumiale. Corinna zapytała: „Jesteś zmęczony?”, ale potem musiała odwrócić twarz w inną stronę, bo Craig nie dosłyszał reszty.

W końcu się poddał. Corinna oczywiście przyjmowała kogoś w swojej sypialni, bez względu na to, czy ojciec o tym wiedział, czy nie. Craig usiadł i zaczął zastanawiać się, jak to będzie kochać się z dziewczyną z jedną nogą. Wydało mu się, że nie kochał się już z nikim przez całe wieki.

Co, do licha ciężkiego, myślał sobie ten Tyson Peace — sprzedawać w taki sposób córkę? Czy naprawdę chciał doprowadzić do tej transakcji, czy tylko był to kolejny dowcip? Teraz Craig nie wiedział, czy cała ta historia o przyczynach śmierci jego ojca też nie była dowcipem. Kto mógłby przedstawić na to dowody? Tyson Peace chyba usiłował zagonić Craiga w róg. Ale do którego rogu i dlaczego? Gryzł paznokcie i intensywnie myślał. Może nawet zachęcał Craiga, by realizował projekt *Fireflash 5*, żeby Craig też zginął. Ale po co to robić? Bo wiedział za dużo? Przecież niczego by się nie domyślił, gdyby Tyson Peace sam mu tego nie powiedział. I dlaczego wykorzystywał własną córkę jako przynętę?

Craig podniósł zamyślony wzrok. Usłyszał ciche trzaśnięcie i oddalające się korytarzem kroki.

Po cichu zakradł się do drzwi i bezszelestnie je uchylił akurat w momencie, gdy młody mężczyzna o wydatnej szczęce zniknął na klatce schodowej. Zamknął drzwi i stał przez moment totalnie zaskoczony. To był Leon Suskicz.

Podszedł do marynarki i znalazł w kieszeni papierosy. Chodził z kąta w kąt, palił i myślał. W którym momencie w tej całej intrydze pojawił się Leon Suskicz? Craig widział go już wcześniej na terenie posesji, w basenie. Ale nigdy by się nie domyślił, że Leon mógł być kochankiem Corinny. Znał go zaledwie powierzchownie, ale nie wpadłby na to, że tak żywiołowa młoda kobieta jak Corinna wybrałaby sobie takiego typa na kochanka.

A może właśnie Leon był człowiekiem, który...

Usiadł, by przemyśleć to jeszcze raz. A jeśli Leon zabił jego ojca? Miał przecież dobry motyw. Bradley Winger wystawił Davida Suskicza do wiatru. Leon był udziałowcem w firmie Suskicz Rockets, a gdy Bradley odebrał im kontrakt, także Leon odczuł to jak kopniak w krocze. Ale czy ten motyw okazał się wystarczający? Czy strata kilku tysięcy dolarów skłoniłaby kogoś takiego jak Leon do sabotowania próby pobicia rekordu prędkości świata i ryzykowania życia kierowcy?

Tego już nie wiedział. Nie znał dość dobrze Leona, choć nigdy nie wydawał mu się osobą nastawioną na pieniądze, ale możliwe, że się zmienił. Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Bezpośredni kontakt i rozmowa twarzą w twarz.

Craig wstał i włożył spodnie. Słyszał, że Corinna mówiła coś o parkowaniu, a to mogło znaczyć, że Leon zaparkował na zewnątrz ogrodzenia. Poza tym stąd nie doszedł go żaden hałas odjeżdżającego samochodu. A to dawało mu kilka minut na złapanie Suskicza, jeśli tylko się pośpieszy.

Wcisnął bosc stopy w buty, wsunął koszulę przez głowę i otworzył drzwi sypialni.

Na klatce schodowej było cicho i ciemno. Gdzieś w domu tykał duży zegar. Wiedział, że Corinna jeszcze nie śpi, ale nie da rady go śledzić, nie z protezą. Miał tylko nadzieję, że reszta domowników spała głęboko. Stawiał stopy najciszej, jak tylko potrafił, doszedł do schodów i zbiegł na dół.

Hol był zatopiony w mroku i ciszy. Ponure wiktoriańskie obrazy i złowieszcze wypchane łby dzikich zwierząt przypierały o gęsią skórę. Craig doszedł do ciężkich frontowych drzwi i próbował je otworzyć. Były zamknięte na zamki o potężnych zasuwach i najprawdopodobniej także zabezpieczone alarmem, więc Leon musiał się tutaj dostać inaczej.

Craig podszedł na palcach do schodów i rozejrzał się dookoła. W kuchni prawdopodobnie znajdowały się drzwi dla służby. Przeszedł po cichu przez jadalnię na zaplecze domu.

Kuchnia była pusta. Olbrzymia lodówka szumiała i mruzczała do siebie, pojedyncza czerwona lampka kontrolna mrugała nad piecem, ale resztę okrywały ciemności. Craig przeszedł po pokrytej płytkami ceramicznymi podłodze do tylnych drzwi.

Przekręcił gałkę. Puścili. Leon musiał dostać się do domu właśnie wtedy.

Drzwi zaskrzypiały, gdy je otwierał. Szybko wyszedł na zewnątrz i zamknął je za sobą. Owiał go chłód nocnego powietrza; wyczuł w nim jeszcze świeżą deszczową wilgoć. Drzewa w ogrodzie tworzyły wysokie czarne kształty, sapały i szumiały jak rozpaczające wdowy.

Craig pobiegł przez trawnik do bramy. Spojrzał za siebie na dom, żeby sprawdzić, czy ktoś go obserwuje, ale w oknach było ciemno. Słyszał tylko wiatr, drzewa i własny oddech.

Wtedy usłyszał coś jeszcze. Odległy hałas uruchamianego silnika. Przyspieszył i wybiegł z bramy akurat w momencie,

gdy światła samochodu skręcały z parkingu na poboczu na drogę dojazdową.

Stanął przed maską i zamachał ramionami. Przez chwilę obawiał się, że auto nie zahamuje, ale w końcu stanęło. Podszedł do okna kierowcy i upewnił się, że to Leon Suskicz. Wyglądał blado, a jego okulary zaszyły mgłą.

— Kim jesteś? — zapytał nerwowo Leon. — Czego chcesz?

— Nie pamiętasz mnie? — odezwał się Craig. Spotkaliśmy się w Port Arthur w Teksasie. Bardzo dawno temu. Nazywam się Craig Winger.

— Tak? I czego chcesz?

— Moglibyśmy porozmawiać?

— No nie wiem, trochę się spieszę.

— To zajmie tylko kilka minut. Musimy porozmawiać.

— No dobrze. To wsiadaj do samochodu.

Leon wyłączył silnik. Craig obszedł auto dookoła i wsiadł na miejsce pasażera. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał drugą czterdzieści pięć. Leon przekręcił się w fotelu kierowcy i spojrzał na Craiga.

— Chyba musiałeś zobaczyć mnie w domu — odezwał się Leon.

— Obudziliście mnie. Ty i Corinna.

— Bo... Corinna i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi — odpowiedział nieco skrepowany.

— Tyle zrozumiałem. A ty i Tyson?

— Z nim też się przyjaźnię.

— I to tak blisko, że musisz się po cichu przemykać po jego domu w środku nocy? — zapytał Craig i sięgnął po papierosa.

— A co to niby ma do rzeczy?

— Sam mi wyjaśnij. Nocne schadzki były modne w średniowieczu.

— Nie chciałem wszystkich obudzić. A co ciebie to obchodzi?

— Znałeś mojego ojca, prawda? — zapytał Craig, zmieniając temat.

— Jasne, jak wielu innych ludzi.

— Ale miałeś powód, żeby znać go lepiej niż wielu innych ludzi. Mój ojciec współpracował z twoim, czyż nie tak?

— Przez jakiś czas. Popielniczka jest tutaj. Trzeba ją wyciągnąć.

Craiga ścisnęło coś w klatce piersiowej. Zdawał sobie sprawę, że za dużo pali, ale tym razem powód był inny. Odwrócił się do Leona, starał się, by jego głos był spokojny i opanowany.

— No i co się potem stało?

— Kiedy?

— Po tym, jak mój ojciec pracował z twoim ojcem.

— Przestali ze sobą pracować i tyle.

— I mój ojciec zostawił twojego ojca z kupą kredytów?

— Tak. Ale ta sprawa jest skończona i załatwiona.

— No jasne, że ta sprawa jest skończona i załatwiona. Bo mój ojciec jest skończony i załatwiony.

Leon milczał.

— Mój ojciec zginął w rakiecie na solnym płaskowyżu w Utah. Umarł na moich rękach.

— Przykro mi.

— Przykro? Dlaczego tobie ma być przykro?

— Bo twój ojciec był dzielnym facetem.

— Wierzysz w to, co mówisz? Mimo to, że zostawił twojego ojca z kupą długów?

— Jedna zgniła sprawa nie oznacza, że człowiek jest całkowicie zgniły.

Craig zagryzł wargi. • — Ale i tak go zabiłeś, wiem o tym.

Leon nic nie odpowiedział. Trzymał ręce na kierownicy i patrzył przed siebie na drogę.

— Majstrowałeś przy paliwie rakiety mojego ojca, by uszkodzić *Fireflasha czwartego*.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł Leon. — Nigdy nawet nie widziałem *Fireflasha czwartego*. Nigdy nie byłem w Utah. Porozmawiaj z Corinna. Była ze mną gdy twój ojciec zginął.

— I tak dokładnie to pamiętasz? Z jakiego powodu?

— Nie rozumiem, po co o to wypytujesz. Po prostu wiem i tyle. Akurat byłem w rezydencji, gdy usłyszałem o tym w wiadomościach. To było dzień przed tym, kiedy tu przyjechałeś z tym drugim facetem.

— Mogłeś kogoś wynająć.

Leon się zaśmiał.

— A niby kim ja jestem? Alem Capone? Craig złapał go za rękaw i potrząsnął nim.

— Wcale nie wiem, kim jesteś. Mój stan wiedzy na dzień dzisiejszy pozwala mi twierdzić, że to ty zabiłeś mojego ojca, i to mi wystarcza, żeby walnąć cię w ten głupi łeb.

Leon odepchnął go. Był silniejszy, niż na to wyglądał.

— Ty gnojku! Wszyscy jesteście tacy sami. Ty, twój ojciec i cała reszta. Wynoś się z mojego samochodu!

Craig nie zamierzał go uderzyć, ale stracił panowanie nad sobą zupełnie jak wtedy z Sarah i walnął Leona w twarz wierzchem dłoni, a potem otworzył drzwi i wysiadł.

Przez parę sekund Craigowi wydawało się, że ujdzie mu to na sucho. Szedł różnym krokiem do bramy i nie odwracał się. Wtedy usłyszał odgłos uruchamianego silnika i chrzęst kół zbliżających się w jego kierunku.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, co Leon planował. Nie mógł się nawet domyślać. Nie wierzył w to, że Suskicz chciał go przejechać. Może tylko potrącić albo dogonić, żeby mu oddać.

Słyszał, jak samochód zawył, zwiększając moc. Odwrócił się i zobaczył, że auto jest tuż za nim. Bardzo wyraźnie dostrzegł twarz Leona. Szeroka broda i okulary bez oprawek. Odskoczył na bok, stracił równowagę i upadł na pobocze.

Całe to wydarzenie było po prostu absurdalne, nic dziwnego więc, że Leon z wielkim hukiem uderzył samochodem w kamienną kolumnę bramy. Rozległ się zgizyt giętej blachy i chrzest kruszącej się szyby. Silnik jeszcze przez moment wył, ale po chwili się wyłączył. Craig poderwał się na nogi, otrząpiał spodnie i podszedł do rozbitego samochodu.

Uderzenie wyrzuciło częściowo Leona przez zbitą przednią szybę i leżał teraz przerzucony przez deskę rozdzielczą z głową poranioną kawałkami szkła. Miał rozcięte czoło i policzek od ust po samo ucho. Krew leciała po masce i kapiała na ziemię.

Craig otworzył drzwi i delikatnie podniósł go z krawędzi rozbitej szyby. Wyciągnął dokładnie złożoną chusteczkę z kieszeni marynarki Suskicza i przycisnął ją do jego policzka.

— Wytrzymasz sam przez chwilę? Siedź tak, nie ruszaj się, a ja sprowadzę lekarza.

Krew ciekła mu po twarzy i wsiąkała w kołnierzyk koszuli. Okropne okaleczenia, ale raczej będzie żył, pomyślał Craig. Delikatnie domknął drzwi i ruszył w stronę domu.

Serce mu waliło. Na podjeździe stał Tyson Peace w zielonym wzorzystym szlafroku i zapalał cygaro. Craig podszedł do niego, ale nawet nie wiedział, co powiedzieć.

— Nie martw się — odezwał się pierwszy Tyson. — Zadzwoń mi już po karetkę.

— Nie wiem, jak to się mogło stać — oświadczył Craig. — Chyba próbował mnie przejechać.

Tyson uśmiechnął się szeroko. Objął Craiga ramieniem i uściskał.

— Przejechać? Jestem pewien, że nie chciał tego zrobić. A dlaczego w ogóle tak pomyślałeś?

— Uderzyłem go, a on stracił panowanie nad sobą. I ruszył samochodem prosto na mnie.

— Ale chyba nie powiesz o tym policji?

— A po co?

Tyson nadal się uśmiechał. Wskazał ręką na samochód.

— Bo masz zemstę, o jakiej mogłeś marzyć, prawda? Taka mała sprawiedliwość losu. Leon Suskicz zabija twój ojca, a potem ulega wypadkowi, próbując zabić ciebie. Z bliznami będzie żył dłużej niż z wyrokiem sądowym. Może nawet nie będzie mógł jeść normalnego jedzenia? Czyż to nie byłoby smutne?

Craig poczuł dreszcz chłodu w ciele. Tyson Peace miał w sobie coś, co potrafiło porazić człowieka. Zawsze był taki niewzruszony i opanowany — nawet wobec krwi i okropnych ran.

— Więc to prawda? — zapytał Craig.

— Co jest prawdą Craig?

— To, że Leon Suskicz zabił mojego ojca.

— Oczywiście. — Tyson skinął głową. — To było oczywiste. Nawet nie musiałem ci tego mówić, bo wiedziałem, że i tak się domyślisz. Ale to nie jest jego jedyne przestępstwo.

Craig wyjął papierosa pobrudzonego krwią. Poczł mdłości.

— Nie obchodzi mnie za bardzo, co jeszcze zrobił. Niech tylko przyjedzie ta karetka i go opatrzy.

— O to się nie martw. Już ja zapłacę jakiemuś doktorkowi, żeby go pozszywał. I żeby było jasne — nie zrobi tego najlepiej. Leon na to nie zasługuje. Będzie wyglądał jak kuzynek Frankensteina, by pamiętać na przyszłość, że powinien się trzymać daleko stąd.

Craig wrócił do rozbitego samochodu, żeby sprawdzić, jak Leon się czuje. Wokół było pełno krwi, a biała chusteczka zamieniła się w czerwoną. Krwawienie ustawało, a Leon pozostał przytomny.

— Leonie? Jak się czujesz?

Mężczyzna lekko skinął głową. Pewnie nadal był w szoku i najgorszy ból jeszcze do niego nie dotarł. Zwrócił wzrok na Craiga, a potem na podłogę. Wskazał wolną ręką żeby Winger zrozumiał, o co mu chodzi.

Craig spojrział na dół. Nogi Leona były skrzyżowane, a jedna kostka utknęła pod pedałem hamulca. Craig uklęknął, starając się ją uwolnić. Okazało się to niełatwe, bo Leon siedział rozwalony w fotelu, ale w końcu mu się udało. I wtedy coś zauważył.

Pedał hamulca zapadał się. W systemie hamulcowym nie było żadnego ciśnienia. Zamarł z wrażenia. Może przewody hamulcowe zerwały się wskutek uderzenia? A może wcale nie. Wstał na równe nogi i próbował się domyślić, co tu się mogło stać, kiedy usłyszał syrenę i ujrzał czerwone mrugające światła ambulansu.

Tyson stanął koło Craiga, obserwując, jak sanitariusze zabierają Leona. Zatrzasnęły się drzwi i karetka odjechała.

— No i po wszystkim — odezwał się Tyson.

— Miał uszkodzone hamulce — odparł Craig.

Tyson wciągnął dym cygara do ust. Odwrócił twarz w stronę Craiga i prawie niedostrzegalnie skinął głową.

— To prawda — stwierdził. — Miał uszkodzone hamulce.

♦♦♦

Corinna cały następny dzień spędziła w swoim pokoju. Wieczorem wreszcie wyszła. Oczy miała różowe, jakby płakała, ale poza tym była wesoła i jak zwykle cyniczna. Włożyła satynową sukienkę z dekoltem aż do pępka i brylantowy naszyjnik. Po kolacji, gdy siedzieli w wielkim salonie i popijali drinki, wydawała się już zupełnie odprężona i w dobrym humorze. Craig cały czas był nią zafascynowany. Jej duże, jędrne piersi tworzyły głęboki rowek, od którego niemalże nie mógł oderwać wzroku.

— Czy dżentelmeni wreszcie osiągnęli porozumienie w sprawie umowy? Czy zbudujesz dla Craiga ten samochód, tatusiu?

Tyson Peace wyglądał na zadowolonego z siebie.

— Chyba tak, kochanie. Craig i ja dogadaliśmy się i prawie kończymy negocjacje.

Corinna odwróciła się do Craiga. Próbował zachować spokój, ale sama jej obecność go podniecała. Znowu podążył wzrokiem w dół rowka biustu aż do półksiężycowego zakończenia rozcięcia. Nie czuł się tak w pobliżu dziewczyny, odkąd skończył liceum. Miała w sobie coś niezwykle rzadkiego i pięknego, co było jednocześnie nieokrzesane i lubieżne.

— Ile pieniędzy udało ci się wycisnąć z tej starej kaczuchy? — zapytała Craiga.

— Osiem milionów dolarów — wtrącił się Tyson z dumą. — Dla chwały narodu, Peace Pharmaceuticals inwestuje osiem milionów dolarów w projekt ustanowienia nowego lądowego rekordu prędkości świata.

— No, nieźle — uśmiechnęła się Corinna. — I co jeszcze?

— To i tamto — odpowiedział Tyson. — Jak zwykle małe przystawki na boczku.

— Nie boisz się, Craig?

— Nie — pokręcił głową Craig. — Przejdę wszelkie niezbędne przygotowania i intensywny trening na różnych samochodach rajdowych i wyścigowych. Nowy projekt jest o wiele lepszy od poprzedniego. *Fireflash czwarty* był jeżdżącą trumną.

— Craig jutro wraca do Chicago — przerwał mu Tyson. — Dokończy tam sprawy prawne i leci do Utah zacząć budować maszynę. To nie powinno długo trwać. Za rok, mniej więcej o tej porze, ten nasz młody przyjaciel będzie najszybszym człowiekiem na kuli ziemskiej.

Corinna popatrzyła na każdego z nich z osobna.

— Wyglądacie na bardzo zadowolonych z siebie.

— Oczywiście — odparł Tyson. — Tworzymy historię. *Fireflash piąty* zapisze się w kronikach historycznych jako pierwszy samochód, który pokona magiczną barierę tysiąca stu kilometrów na godzinę. To przecież wielka sprawa.

Popijali drinki, gdy nagle Corinna zapytała:

— Słyszeliście coś o Leonie?

Tyson pokręcił głową.

— Tylko to, co rano. Dziś wieczorem będzie miał operację. W przyszłym tygodniu następną. Nie martw się skarbie, jest pod dobrą opieką. Daj mu z miesiąc, może dwa, a będzie w takiej samej formie jak kiedyś. Albo wprawie takiej samej.

Corinna postukała protezą w podłogę.

— Tak jak ja jestem w takiej samej formie jak kiedyś? Tyson spojrział w stronę Craiga.

— Wypadki zdarzają się i tyle. A szczególnie po zmroku.

— Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść — zastanawiała się Corinna. — Zawsze prowadził ostrożnie.

Zapadło milczenie. Craig wyczuł pewne napięcie między Tysonem a Corinna. Ciekawiło go, co Tyson powiedział jej o sprzedaży „białego niewolnika”. A może właśnie teraz chciał jej to oznajmić. Corinna podeszła do stereo i wyjęła płytę z preludiami Chopina. Muzyka fortepianowa zalała salon, a ona ruszała ramionami do rytmu.

— Kiedyś tańczyłam do tej muzyki — wspomniała. — Ładnie tańczyłam.

— Mam nadzieję, że nie uważasz się nad sobą? — zapytał Tyson, bawiąc się szklaneczką z brandy.

— Oczywiście, że nie, tatusiu. Dlaczego miałabym to robić? — odrzekła, nie przerywając machania ramionami w takt muzyki.

Tyson nic nie odpowiedział.

Craig odstawił drinka i podszedł do Corinny. Wziął ją za rękę i tańczyli razem, udając formalny taniec przepelniony ukłonami i dygnięciami za każdym razem odsłaniającymi jej biust. Craig chwycił ją mocno w ramiona i powolutku zaczęli kręcić się po drewnianej podłodze. Tańczyli delikatnie, ale w oczy spoglądali sobie z wielką dozą śmiałości i ukrytych pytań. Podobamy się sobie nawzajem, pomyślał Craig, ale żadne z nas nie jest skończonym głupcem. Woleliby wiedzieć, na czym stoją i jaki będzie następny ruch. A Corinnę z pewnością interesowało, co wspólnego miał Craig z wypadkiem Leona.

— Tańczy pan cudownie — przyznała.

Craig czuł plastikową protezę dotykającą jego nogi.

— Pani też, madame — odparł kurtuazyjnie.

Tyson Peace obserwował ich taniec. Jego świńskie oczka pozostały zimne i pozbawione wyrazu. Ale gdy muzyka się skończyła i Craig prowadził Corinnę do jej fotela, Tyson zaczął klaskać w dłonie i krzyknął:

— Hurra!

— Przestań, tato — zachnęła się Corinna. — Wcale nie było tak dobrze.

— Było wspaniale — naciskał Tyson. — Jesteś podobna do matki.

— Jeśli tak rozumiesz pojęcie „wspaniale”, to aż nie chcę myśleć, co oznacza dla ciebie słowo „fatalnie” — rzuciła Corinna.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu zrelaksowani. Część wcześniejszego napięcia gdzieś się ulotniła. Zaczęło się kolejne rzewne preludium, pili schłodzone brandy, pozwalając wspaniałej kolacji ułożyć się w żołądkach, a drinkom nasaczyć ciała. Tyson, oczywiście, odpowiednio dobrał moment do tego, co miał zrobić. Był chytry i przebiegły jak lis i zawsze uderzał poniżej pasa.

— Corinno — odezwał się. — Musisz zacząć się pakować.

Milczenie. Corinna uniosła brwi. Spodziewała się tego. Znała ojca wyjątkowo dobrze, żeby wiedzieć, kiedy zamierza uderzyć. Jak gruby grzechotnik, który nagle unosi ogon.

— A dokąd się wybieram? Czy może nie mam pozwolenia na zadawanie pytań?

Tyson roześmiał się.

— Oczywiście, że możesz pytać. Ubiliśmy tu niezły interes, młody Craig i ja, i chciałbym, żebyś ty też wzięła w tym udział, to znaczy — nadzorowała finanse. Pojedziesz do Chicago i zobaczysz, jakich kształtów nabiera realizacja projektu. Jeśli chcesz, możesz nazwać się dyrektorem do spraw specjalnych.

Craig przyglądał się wyrazowi twarzy Corinny. Chciał zobaczyć, po jakim czasie zorientuje się, o co chodzi i zrozumie, że jest częścią ceny *Fireflasha 5*.

— A jeśli uznam, że to nie moja para kaloszy? — zapytała.

— A jeśli będę chciała spędzić zimę w Kalifornii, a nie w Chicago?

— A jeśli księżyc stanie się czerwony? — odparł Tyson, rozkładając ręce.

Corinna usiadła.

— Tato, myślę, że uknułeś jakiś podły plan.

— Przestań, Corinna, chyba sobie żartujesz. Wiesz, że tata cię kocha. Po prostu myślę, że powinnaś zaciągnąć tę plastikową nogę w inne miejsce, a nie tylko włóczyć się po domu. Czas nauczyć się żyć samodzielnie i nabyć pewności siebie. Nie możesz całe życie spędzić w kojcu dla niemowląt.

— Tato, ale ja lubię to miejsce.

— Wiem, dziecinko, że je lubisz. Ale czas już rozwinąć skrzydła. Craig to dobry człowiek. Będzie się tobą opiekował. Prawda, Craig?

Corinna odwróciła się do niego i popatrzyła z ciekawością.

Dostrzegła, że się czerwieni. — No i co? Ty też jesteś wpłątany w ten handel? Craig zdobył się na jedno zdanie:

— Corinno, wiesz dobrze, że to będzie dla mnie wielką radość mieć cię u boku.

— No widzisz — wtrącił swoje trzy grosze Tyson. — Craig dobrze się tobą zaopiekuje i po krzyku.

Corinna wstała niepewnie. Była blada.

— Leon mógł zginać — powiedziała nagle. Tyson skrzywił się.

— Umrzeć? O czym ty mówisz? Co do licha Leon ma z tym...

— Wszystko! — krzyknęła Corinna. — Leon ma z tym wiele wspólnego! Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale udało ci się! Usunąłeś go ze swojej drogi, a teraz wysyłasz mnie do Chicago jak niechciane zwierzę domowe! Tyson pokręcił głową.

— Corinno, fantazjujesz. Wiesz, jak bardzo lubię Leona. Dlaczego miałbym robić coś tak głupiego?

— Z takiego samego powodu, co...

— Słucham?! — Ton głosu Tysona był ostrzegawczy.

Corinna skrzyżowała ramiona.

— Nieważne. A ja i tak nigdzie nie jadę.

Tyson upił spory łyk brandy.

— Rób, jak chcesz. Ale pamiętaj, że małe dziewczynki, które są niegrzeczne dla swoich tatusiów, często kończą bez kasy.

— A co to niby ma znaczyć?

— To znaczy dokładnie to, co znaczy. Po raz pierwszy w życiu jesteś proszona o to, żeby pomóc ojcu. Nie proszę o odwdzięczenie się za cokolwiek. Dorobiłem się kupy kasy i zawsze chętnie się nią z tobą podzielę. Ale chociaż raz w życiu zrób to, o co cię proszę!

— A jeśli nie zrobię?

Tyson przeciągnął palcem w poprzek gardła.

— To koniec z pokrywaniem twoich miesięcznych wydatków, koniec ze spadkiem, samochodem, biżuterią. I brak drugiej szansy. Pamiętaj, że cię ostrzegałem.

— Oszalałeś. — Corinna nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć w tej chwili. Była zszokowana.

— Czy wychowywanie jedynej córki to szaleństwo? — zapytał Tyson, zwracając się do Craiga. — Czyja oszalałem?

— To rodzinna sprawa — odpowiedział Craig. — Nie powinienem się w to mieszać.

— Ale ty jesteś w to zamieszany — upierał się Tyson. — To część naszej umowy.

— Umowy? — wtrąciła się Corinna. — Jakiej umowy? Tyson zadzwonił dzwoneczkiem na służącą. Szklaneczki do brandy były puste.

— To bardzo proste — odparł Tyson i podrapał się po łysinie. — Craig i ja zawarliśmy umowę. Dostanie pieniądze na *Fireflasha piątego*, a ja atrakcyjny dla mnie odpis podatkowy i jeszcze coś innego.

— Aha. To ja jestem tą przystawką na boczku, tak?

— No właśnie — uśmiechnął się Tyson. — Ty jesteś tą przystawką. Craig dostaje ciebie, a ja od lat wyczekiwaną wolność.

Corinna nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Chcesz powiedzieć, że mnie przehandlowałeś? Czy właśnie tak mam to wszystko rozumieć?

— Użyłaś za wielu słów, ale złapałaś sens.

— Przehandlowałeś mnie jak używany samochód albo starego osiołka, który już nic nie uniesie.

Tyson machnął znużony ręką.

— Corinno, źle mnie odbierasz. Przecież wiesz, że cię kocham.

— Kochasz mnie? Zwariowałeś chyba!

— Wysłuchaj mnie. Kocham cię, naprawdę. Ale starzeję się i chcę spędzić resztę życia sam. Robiąc rzeczy, które chcę robić, i prowadzić takie życie, na jakie mam ochotę. Rodzice powinni kochać swoje dzieci, ale nie muszą poświęcać całego życia dla nich. Bo nie będą z niego mieli już zupełnie nic dla siebie. Miałaś już tu te swoje rozbierane imprezki z golasami latającymi po ogrodzie, z twoją rockową muzyką i LSD. Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że mogłem mieć ich dość? Nigdy cię to nie zastanowiło, prawda? Nie pomyślałaś, że może jednak to jest mój dom, za który zapłaciłem, i może chciałbym tutaj sobie pożyć według moich zasad. Corinna nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Wysłuchaj mnie jeszcze przez chwilę — ciągnął Tyson. — Nie znajdziesz lepszego mężczyzny niż Craig. Nie musisz z nim żyć, jeśli nie będziesz chciała. Ale wiesz, że mu się podobasz i on tobie. To dlaczego nie połączysz przyjemnego z pożytecznym, świata biznesu i finansów z nowym życiem?

— Chcesz powiedzieć, że będę musiała z nim sypiać?

— Tak, do ciężkiej cholery! — ryczał Tyson. — Śpij z nim, pieprz się z nim, ssij go, żuj go, rób cokolwiek ci tylko każe. Należysz do niego. Sprzedałem cię.

— Oszalałeś! — krzyknęła.

— Ja? A w jakim stanie psychicznym się znajdowałaś, gdy wyskoczyłaś z pędzącego samochodu i straciłaś nogę?

— To było coś innego!

— Innego? Jak to innego? Gdy wyskoczyłaś z tego samochodu, to rym samym straciłaś prawo do traktowania cię jak rozumnej istoty ludzkiej! Nie pomyślałaś wtedy o



mnie! Myślałaś tylko o sobie i swoich głupich pomysłach! Nie przyszło ci do głowy, że będę musiał spędzić resztę życia, opiekując się tobą! Jesteś kaleką Corinno. Ale jeśli sądzisz, że przez resztę moich dni będę ciągnąć cię wszędzie za sobą to zastanów się nad tym, co teraz ci powiem. Jesteś kaleką a to znaczy, że jesteś przedmiotem, a nie osobą. Sprzedałem cię i to byłoby na tyle!

Craig się podniósł.

— Tyson, myślę, że powinniśmy...

— Siadaj! — wrzasnął Tyson. Na jego skroni uwypukliła się niebieska żyła. — Ubiliśmy interes i tyle.

Craig myślał, że Corinna wyjdzie, ale nie zrobiła tego. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i usiadła przekrzywiona na sofie. Pograżyła się w myślach. Spojrzała w jego stronę i uśmiechnęła się przelotnie, po czym popatrzyła na ojca. Craig nigdy nie widział jej tak skupionej i tak pograżonej w smutku.

— Tato — zwróciła się do Tysona, który w ogóle nie zareagował.

— Tato — powtórzyła. — Chcę coś powiedzieć. Tyson chrząknął.

— To już lepiej to powiedz.

— Wiem, że w głębi duszy wcale nie czujesz tego, co powiedziałeś, ale zrobiłeś to i to było podle. Naprawdę uważasz, że możesz sprzedać mnie jak jakiś przedmiot, za moje koszty życia, samochód i całą resztę? Czy naprawdę tak o mnie pomyślałeś? Tato, mogłabym ci to wszystko jutro oddać i nie zrobiłoby to żadnej różnicy w moim życiu. Po prostu nie wiem, co ci powiedzieć. Podziwiałam cię i kochałam. Czasem mnie denerwowałeś, czasem nawet zawiodłeś. Ale nigdy nie tak bardzo jak tym razem. Nie ma problemu, wyjadę z Craigiem. Ale niejako czyjaś własność. Tylko tak, jakby to była wycieczka. Im szybciej stąd wyjadę i im szybciej ucieknę od ciebie, tym większą radość mi to sprawi.

Wstała i ruszyła w kierunku drzwi.

— Craig — powiedziała. — Jedziemy, kiedy tylko będziesz gotowy.

Craig spojrział na Tysona, który wzruszył ramionami.

— Okay. Daj mi parę godzin, żebym domówił kilka spraw z twoim ojcem. I spadamy. Złapiemy nocny lot z LA.

♦♦♦

Timeri Orari usłyszał dzwonek telefonu, gdy był jeszcze na klatce schodowej. Siatkę z zakupami przerzucił do lewej ręki, a prawą pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Otworzył drzwi i rzucił się do telefonu.

— Słucham, Orari.

— Tu Sarah.

— Cześć, Sarah. Jak leci?

— Wszystko w porządku. A u ciebie?

— Właśnie wróciłem z supermarketu i usłyszałem, że ktoś dzwoni, otwierając drzwi.

— Chyba zawsze dzwonię w niewłaściwym momencie.

— Nie przejmuj się tym. Wszystko jest w porządku.

— Byłam u twojej siostry.

— Udało ci się znaleźć jej mieszkanie bez problemu?

— To nie było trudne. Muszę ci coś powiedzieć, Timeri.

— Czy to... zła wiadomość? Czy moj a siostra źle się czuje?

— Twojej siostry nie było w mieszkaniu. Rozmawiałam z sąsiadami. Powiedzieli mi, że jej mąż uciekł i zostawił ją samą.

Załamał się. Carlos. Powinien to przewidzieć.

— A Susha? Czy mówili coś o Sushy? I o dzieciach?

— Krótco po wyjeździe męża stan twojej siostry się pogorszył. Dzieci zabrała opieka społeczna, a siostrę pogotowie do szpitala.

Przeczuwał najgorsze. Ta wiadomość była nieuchronna, jak nocny ekspres sunący po torach.

— Do którego szpitala?

— Timeri...

— Do którego szpitala?

— Siostr Krzyża przy Sto Dziesiątej Ulicy.

— Masz ich numer telefonu? Jak ona się czuje?

— Pojechałam ją odwiedzić.

— Tak? I jak ona się czuje?

— Nie żyje, Timeri. Umarła trzy dni temu. Nie mieli twojego nazwiska i nie wiedzieli, kogo powiadomić.

Poczuł ucisk w gardle. Spojrzał na torbę z zakupami, którą postawił na krześle, i zaczął zastanawiać się nad sensem życia.

— Co ci powiedzieli? Czy bardzo cierpiała?

— Tego nie wiem. Nic mi nie powiedzieli.

— Czy to były płuca?

— Tak. Płuca.

Timeri odłożył słuchawkę. Nie mógł już nic z siebie wydobyć. Usiadł na krześle i zaczął płakać. Łzy lały się strumieniami po policzkach. Po chwili złapał się rękami za głowę i łkał... łkał... łkał... aż zaniepokojeni sąsiedzi zapukali do jego drzwi zapytać, czy wszystko z nim w porządku.

♦♦♦

To było dziwne pożegnanie. Corinna siedziała w wynajętym samochodzie, z brodą opartą na ręce i patrzyła przed siebie. Craig i Tyson stali na stopniach rezydencji i rozmawiali o szczegółach umowy na osiem milionów dolarów.

— Jak tylko zbierzesz zespół techniczny i prześlesz mi ich dane do akceptacji, przeleję pieniądze na twoje konto — oznajmił Tyson. — Żądam od ciebie jedynie wypełnienia postanowień określonych w umowie.

— W porządku, Tyson. Zespół zbiorę w trzy, może cztery tygodnie. No a co z Corinną?

— Jest twoja. — Tyson wzruszył ramionami. — Zabierz ją sobie. Zrób z nią co zechcesz.

— Ale ona nie chce być traktowana jak własność.

— To już nie mój problem, tylko twój. Masz ją w samochodzie, tak? Więc czego jeszcze chcesz?

— Tysonie, nie jestem do końca pewien, czy w ogóle ją chciałem. Przypominam sobie jedynie, że to był twój warunek, nie mój.

— Serio? Więc jest częścią naszej umowy. Craig zaczął przeszukiwać kieszenie.

— Zanim wyjadę, masz jakieś papierosy?

— Jasne, poproszę służącą żeby przyniosła ci całą paczkę — odpowiedział Tyson i zawołał służącą. Stał na schodach, ciężko oddychając, nie spojrział nawet w oczy córce.

— Tyson — zaczął znowu Craig. — Nadal tego nie rozumiem. Nie wyglądasz na człowieka, który mógłby tak łatwo wykopać własną córkę z domu.

Twarz Tysona była schowana w cieniu i Craig nie dostrzegł wyrazu jego twarzy, a jedynie jedno błyszczące oko.

— Pewnego dnia odkryjesz to, co jest prawdziwym motywem działania człowieka. To nie pożądanie ani chciwość.

Nie jest to też miłość. Sam się przekonasz. A gdy to już odkryjesz, to wszystko zrozumiesz.

Służąca przyniosła papierosy. Craig podziękował jej i oderwał sreberko. Wyjął papierosa i zapalił. Zakaszłał.

W drodze do samochodu Tyson położył tłustą dłoń na jego ramieniu.

— Kiedy będziecie lecieli do Chicago, pomyśl o Corinnie i o mnie, a także o relacji, która istnieje między mną a nią. I wtedy zastanów się nad tym, co dzisiaj zrobiłem, i nad sposobem, w jaki to zrobiłem. I pomyśl jeszcze o jednym: bez względu na to, jak oburzająca może wydawać się nasza umowa, to czy ty lub Corinna mieliście jakikolwiek wybór?

Craig stanął i popatrzył na Tysona. Było zbyt ciemno, by wyczytać cokolwiek z wyrazu jego twarzy. Po raz pierwszy w jego głosie wyczuł jakąś inną nutę, nie zwykle nosowe gderanie, ale prawie delikatną, czułą melodię.

Craig wszedł do samochodu i zapalił silnik.

— Okay, Tyson. Pomyślę o tym.

Tyson pochylił się i spojrział przez okno samochodu.

— Do widzenia, Corinno — powiedział miłym głosem. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem.

— Do widzenia, Corinno — powtórzył.

Znowu brak odpowiedzi.

Craig puścił hamulec i ruszyli brukowaną uliczką dojazdową, przez bramę, do drogi i skręcili w stronę lotniska międzynarodowego w Los Angeles.

♦♦♦

Tyson obserwował znikające czerwone światła samochodu. Odwrócił się i skierował do domu. Służąca otworzyła przed nim drzwi i przeszedł ciężkim krokiem przez hol do salonu.

W jednym z foteli siedział młody mężczyzna ze skrzyżowanymi nogami, popijając wódkę z limonką, słuchając Santany. Był wysoki i chudy. Miał błyszczące oczy i szary meszek niedogolonego zarostu. Nosił czarne wysokie buty do jazdy konnej, czarne spodnie i białą koszulę z bufiastymi rękawami. Gdy wszedł Tyson, jego zaciśnięte usta skrzywiły się w uśmiechu. Podniósł szklaneczkę do góry.

— *Hail, Caesar!* — wniósł toast i roześmiał się. Peace stał pośrodku pokoju z rękami opartymi na biodrach.

— *Et tu, Brute?* — zapytał. — Nie wiedziałeś, że znam łacinę, co? Myślałeś, że jestem starym, tępym biznesmenem?

Hal Shocks znowu się uśmiechnął.

— Nikt tak bogaty jak ty, nie mógłby być po prostu tępy.

Tyson skinął głową. Podeszedł do dzwonka i zadzwonił po drinka.

— Odjechała? — zapytał Shocks.

— Właśnie w tej chwili.

— Cieszę się, że udało ci się znaleźć na nią sposób.

— To nie było wcale dla mnie takie łatwe. Przecież ją kocham, wiesz o tym.

Shocks patrzył na światło lamp przez szklaneczkę z drinkiem.

— Jestem wręcz o tym przekonany.

— Chyba nie jesteś zazdrosny, co?

— Może... — odpowiedział Hal Shocks. — A z drugiej strony może nie...

Tyson Peace otarł kropelki potu z czoła. Podeszedł do fotela, pochylił się i pocałował Hala Shocksa w same usta. Ten głaskał go po ramieniu aż do końca długiego pocałunku.

Popatrzyli sobie w oczy przez chwilę. I wtedy Shocks powiedział z błyszczącymi oczami:

— Wolę starszych ludzi. Starsi mają klasę. Nie uważasz, Tyson? Moje tysiejące kochanie? Mój kochany staruszk?

## ROZDZIAŁ 9

Marjhorie podeszła do drzwi ubrana w sięgający kostek zielony jedwabny szlafrok. Paliła papierosa w długiej pomarańczowej lufce i nie wyglądała wcale, jakby nagle wstała z łóżka. Platynowe włosy były elegancko ułożone w fale za pomocą dużej ilości lakieru do włosów, a policzki uróżo-wione. Craig zawsze zastanawiał się, jak matce udawało się tak doskonale podkreślić krzywizny brwi.

— Witaj, Craig! Wchodź!

— Mamo, to jest Corinna Peace. Przyleciała ze mną z LA. Marjhorie podała dziewczynie rękę.

— Proszę, wchodźcie. Musicie być wyczerpani. Nie cierpię nocnych lotów. Twój ojciec latał w nocy do Los Angeles, gdy pracował nad *Fireflashem czwartym*. Poleciałam z nim ze dwa razy i nigdy więcej nie chciałabym tego powtórzyć! Wołałabym jechać przez całe Stany samochodem kempingowym.

Postawili walizki i Marjhorie zaprosiła ich do salonu. Za oknem rozpościerał się widok na śródmieście Chicago. Craig przetarł twarz dłońmi i poluźnił krawat. Corinna usiadła i położyła protezę na pufie.

— O Jezu! Czuję się, jakbym podróżował zamknięty w bagażniku samochodowym. Czy moje ciało jeszcze kiedykolwiek się rozprostuje?

— Nie bój się o to — odparła Marjhorie. — Odprężcie się, a ja zrobię wam kawę i jakieś śniadanie. Mogą być jajka na bekonie?

— Jesteś prawdziwym aniołem, mamo!

— Przy obecnej cenie bekonu, to chyba masz rację.

Marjhorie poszła do kuchni przygotować dla nich jedzenie. Już po chwili zapach smażonego bekonu i woń parzonej kawy zalały pokój. Craig i Corinna uśmiechali się do siebie. Rozmawiali przez cały lot z LA i dobrze się poznali. Wystarczająco dobrze, by Craig mógł śmiało twierdzić, że w Corinnie było coś więcej niż tylko wygląd zewnętrzny. Z kolei Corinna rozumiała, że Craigiem kierowała nie tylko agresywna postawa wobec wspomnień po ojcu. Wyczuwała jakąś delikatność w jego osobowości, tylko nie wiedziała, czy dotyczy ona jego własnej osoby, czy skierowana jest na innych ludzi. Nosił w sobie pewną obsesję, której do końca nie potrafił kontrolować, ale mogła to być cecha charakterystyczna dla wielu mężczyzn.

— No i jak się czujesz jako konkubina? — zapytał Craig, odchylając się w fotelu.

— Konkubina? Co masz konkretnego na myśli?

— Czyjaś własność, kupiona i sprzedana. Musisz na to spojrzeć realistycznie. Jesteś tutaj tylko dlatego, że tak postanowił twój ojciec.

— Jestem tutaj, bo chcę tutaj być i to wszystko — odparła Corinna, krzywiąc się.

— Ale jest to nadal jego wola.

— Nie wiem, czego on tak naprawdę chce. Czasem wręcz się zastanawiam, czy on w ogóle sam siebie zna.

Craig przeciągnął się.

— Jestem przekonany, że on doskonale wie, czego chce. I co więcej, jestem pewien, że to zdobędzie.

Corinna milczała. Noga ją bolała i była zmęczona. Jedynie myśl o śniadaniu nie pozwalała jej zasnąć. Bez względu na to, czy Tyson Peace chciał, żeby tu się znalazła, czy nie, zdawała sobie sprawę, że nie będzie już traktowana jak zepsuty bachor bogacza. Widziała zbyt wiele takich przypadków w Los Angeles — ekstrawaganckich dziewcząt bez ambicji i miejsca w życiu. Zanim pojawił się Hal Shocks, była taka sama. Bywały czasy, gdy pieprzyła się z każdym, kto tylko tego chciał. Teraz pragnęła już jednak czegoś innego od życia. Czegoś, z czego mogłaby być dumna, czegoś, co byłoby testem na jej odwagę życiową.

Pojawiła się Marjhorie ze śniadaniem. Usiedli przy stole i zaczęli jeść, popijając kawę. Dopiero po pięciu minutach udało im się przerwać ciszę i opowiedzieć Marjhorie całą historię.

— Po pierwsze — zaczął Craig — ucieszy cię wiadomość, że Tyson Peace przeznaczył na projekt osiem milionów dolarów.

— Aż osiem milionów? Przecież to dwa razy więcej, niż potrzebujemy.

— Wiem — odparł Craig, przeżuując bekon. — Ale nie zobaczymy całej tej kwoty. Warunki sponsoringu zakładają, że Tyson uszczknie z tego projektu coś dla siebie. Ale to już zupełnie nie nasz problem.

— Nie nasz problem? Nie rozumiem. On chce wykorzystać sponsoring, by uniknąć opodatkowania?

— Coś w tym stylu.

Marjhorie odstawiała filiżankę z kawą.

— Craig, więc zamierza nas wykorzystać czy nie? Nie ma sensu korzystać z takiego sponsoringu, jeśli można zostać wplątany w jakieś interesy pod stołem. Twój ojciec nigdy by się na coś takiego nie zdecydował. Przecież to szczytny cel i wyzwanie dla człowieka... Nie można dać się wciągnąć w brudne interesy i unikanie płacenia podatków.

Craig zmrugał oczy i skupił na niej wzrok. Czy naprawdę nie wiedziała o finansowych gierkach męża? Jeśli faktycznie nie wiedziała, to Craig stracił resztki wiary w jej inteligencję. Jeśli wiedziała i próbowała udawać, że nie ma o tym pojęcia, to chciał poznać przyczynę.

— Mamo — odparł zniecierpliwiony. — Nigdy nie przekonasz żadnego biznesmena, żeby wyłożył osiem milionów dolarów tylko dla swojej chwały, przygody albo z powodów patriotycznych. Oni są biznesmenami i zawsze chcą mieć coś z tego dla siebie.

— Przecież jest jeszcze coś takiego jak prestiż — nalegała Marjhorie.

— Prestiż? Mamo, pojęcie prestiżu zdarło się jak stare kaptcie.

— Muszą jednak istnieć jakieś sposoby pozyskiwania sponsorów bez wplątywania się w podejrzane transakcje i oszustwa podatkowe.

— No to podaj mi jakiś przykład. Można oczywiście grać na klarneckie w przejściu podziemnym i podstawić kapelusz na drobniaki

— Nie musisz być taki sarkastyczny. Po prostu troszczyć się o reputację twojego ojca — odpowiedziała Marjhorie, wydymając wargi.

— Raczej o swoją reputację.

— A niby co to ma znaczyć? — odburknęła Marjhorie.

— Dokładnie to, co powiedziałem. Mój ojciec nie musi się już przejmować reputacją. Ma swoją wielką nagrodę w kolejnym życiu i bez względu na to, czym jest, musi się nią cieszyć. A ty zastanawiasz się tylko, czy nam się wreszcie uda za drugim razem.

Marjhorie nalala sobie kawy do filiżanki. Trzęsły się jej ręce.

— Lepiej powiedz od razu, o co ci chodzi — poprosiła.

— Dowiedziałem się wszystkiego o interesach ojca z Da-videm Suskiczem i o Propulsion Laboratories. Chciał sporo zarobić na boku na rekordzie świata i dobrze o tym wiesz. I lepiej przestań sobie z nas żartować i rozmawiajmy jak dorośli ludzie, którzy rozumieją, że biznesmeni nie rozdają swoich pieniędzy tylko dlatego, że są mili albo dlatego, że prosi się ich uprzejmie, ale przede wszystkim dlatego, że chcą osiągnąć jakieś zyski.

— Nie ma nic złego w zarabianiu pieniędzy — odpowiedziała Marjhorie, spuszczać wzrok.

— Nigdy nie twierdziłem, że jest. To ty powiedziałaś. Teraz musimy zająć się wybudowaniem samochodu i mamy na to pieniądze. Muszę ustalić, ile czasu zajmą wszelkie przygotowania, zanim będzie można przystąpić do bicia rekordu.

— Sarah dzwoniła — oznajmiła Marjhorie, nie podnosząc oczu.

Craig zignorował tę informację.

— A co z Timerim? Czy uda się go dziś tutaj ściągnąć?

— Dzisiaj na pewno nie. Poleciał do Nowego Jorku.

— Do Nowego Jorku? Po co?

— Jego siostra umarła. Musi załatwić wszelkie formalności.

— Przykro mi.

— Był bardzo smutny. Z jakiegoś dziwnego powodu winił za to wszystko siebie. Wróci za tydzień. Wtedy zrobimy naradę i ustalimy szczegóły. Chyba nadal chcesz zrealizować plan?

— Tak, mamo. Wręcz muszę.

Corinna ziewnęła.

— Przepraszam, ale zaraz padnę.

— Jeśli chcesz się tutaj przespać, to możesz skorzystać z mojej sypialni — zaproponowała Marjhorie.

— Dziękuję. Chyba będę musiała. Oczy mi się kleją. Od wypadku zaczęłam wcześniej chodzić spać. Odzwyczaiłam się od przesiadywania całych nocy bez odczuwania zmęczenia.

Posprzątała po śniadaniu, Corinna poszła do łazienki, a Craig usiadł na sofie i zaczął rozwiązywać sznurówki. Trzy godziny snu powinny mu pozwolić wypocząć.

Marjhorie stała w drzwiach do salonu.

— No i?

— No i co?

— Oddzwonisz do Sarah?

Craig położył nogi na kanapie i podsunął sobie poduszki pod głowę.

— A skąd u ciebie takie nagłe zainteresowanie Sarah? — zapytał.

— Bo dzwoniła i tyle. Chciała się dowiedzieć, co u ciebie słychać.

— No dobrze, dzwoniła. Dziękuję, że mi przekazałaś.

— Ona cały czas o tobie myśli — westchnęła zniecierpliwiona Marjhorie.

— Mamo, wiem o tym. I nie musisz mi tego powtarzać. Czy możesz przestać żyć moim życiem za mnie i pozwolić mi samemu zająć się swoimi sprawami?

— Pozwoliłam już na to raz twojemu ojcu — odparła gorzkim tonem.

— I to dlatego usłyszeliśmy przed chwilą te nabożne przemowy do uczuć na temat szukania zysku, gdzie tylko się da?

Marjhorie przeszła przez pokój i usiadła na skraju sofy. Chyba po raz pierwszy w swoim życiu Craig spojrzął na nią jak na kobietę w średnim wieku, a nie tylko jak na matkę. Była wytworna, elegancka i rozsiewała wokół siebie nimb zamożności. Jednak tkwiło w niej jakieś napięcie, które psuło to całe wrażenie. To było napięcie charakterystyczne dla ulicznego rozrabiaki. Kogoś, kto przeżył niełatwe czasy i bywał w różnych trudnych sytuacjach. Ludzie z dobrych domów i rodzin z tradycjami nie przechodzili automatycznie do trybu walki, jeśli w powietrzu pojawił się tylko powiew kłopotów.

— Craig, wiem więcej o twoim ojcu, niż ci się wydaje. Niektórych rzeczy o nim w ogóle się nie dowiesz, bo jestem jedyną osobą, która je zna i wcale ci ich nie wyjawię. Nawet teraz, gdy już go wśród nas nie ma, to nadal ma prawo do swoich tajemnic. Nie mam pojęcia, co się dzieje między tobą a Sarah. Nie próbuję cię osądzać ani namawiać, żebyś do niej wrócił. Jeśli naprawdę już jej nie kochasz, to i tak koniec związku. Ale nie widziałam jeszcze żadnych dowodów na to, że tak jest. Ta próba bicia rekordu prędkości to dla ciebie wielki stres — doskonale rozumiem. I nie jest przecież żadną tajemnicą, że chcę, żebyś spróbował osiągnąć ten cel. Jak sam zresztą powiedziałeś — musisz to zrobić. Ale nie do końca rozumiem, dlaczego Sarah nie może być przy tobie i cię wspomagać. Craig, bez niej czujesz się nieszczęśliwy, może więc zadzwoń do niej?

Craig spoglądał na matkę swoimi ciemnymi oczami.

— Przecież jest Corinna — odpowiedział.

— Ale Corinna ma jedną nogę — mówiąc to, Marjhorie odwróciła wzrok.

— A co to ma ze wszystkim wspólnego?

— Właśnie, że ma. To miła dziewczyna, ale ja nie chcę, żebyś angażował się emocjonalnie z kaleką.

Craig usiadł z wrażenia.

— Czy ja dobrze usłyszałem?

— Jak najbardziej.

— Jak śmiesz, do cholery, coś takiego powiedzieć?

— Craig, nie przeklinaj, zwracając się do mnie. Jestem twoją matką.

— A więc matko! Ona nie jest żadną kaleką. Ma jedynie amputowaną nogę. I co z tego? A przy tym jest bardzo ładną kobietą i ma interesującą osobowość.

Marjhorie sięgnęła do torebki po papierosy.

— Pewnie to prawda, ale jeśli się z nią zwiążesz, to będziesz ją miał na głowie na całą resztę życia.

— Nie jestem z nią związany. A ona nie chce się związać ze mną. Jak tylko odpocznie, wyjedzie stąd i pewnie już jej nigdy nie zobaczę.

Marjhorie wyjęła małą złotą zapalniczkę i zapaliła papierosa. Wydmuchiwała dym długim dmuchnięciem.

— Nie wiesz zbyt wiele o kobietach, prawda? Gdy tylko stanęliście w drzwiach, od razu wiedziałam, co do ciebie czuje. Podobasz się jej. Niby dlaczego nie? Jest ładna, ale ma tylko jedną nogę. Gdzie dziewczyna z jedną nogą znajdzie mężczyznę? Jeśli jutro wyjedzie i do tego na zawsze, to funduję ci obiad z szampanem i kawiozem.

— Mamo — zaczął Craig, ale podniósł oczy i zobaczył Corinnę, która bezszelestnie stanęła w drzwiach. Miała na sobie różową koszulę nocną prawie całkowicie odsłaniającą

piersi. Rozczesane blond włosy połyskiwały, usta błyszczały wilgocią — wyglądała niezwykle pociągająco.

Marjhorie nie była wcale zbита z tropu. Cokolwiek zdążyła powiedzieć o Corinnie, to i tak potrafiłaby powtórzyć jej to prosto w twarz. Trzymała uniesioną głowę, utkwivszy wzrok w dziewczynie, jakby rzucała jej wyzwanie, mówiąc bezgłośnie: „No, zaprzecz mi. Co masz? Wielki biust, blond włosy i co?”.

— Chciałabym porozmawiać z Craigiem — oznajmiła Corinna cichym głosem. — Mogę?

Marjhorie wstała sztywno.

— Dlaczego miałabym w tym przeszkadzać?

— Pytam z uprzejmości — powiedziała Corinna. — Nie musi się pani niczego obawiać. Jeśli stoi się całkowicie wyprostowanym, można utrzymać równowagę na jednej nodze. Ale nie da się nikogo kopnąć.

Marjhorie uśmiechnęła się z wyższością i wyszła do kuchni pozmywać naczynia. Nie podarowała sobie jednak, podniosła okienko łączące salon z kuchnią i zawołała:

— Bawcie się dobrze, zakochane ptaszęta!

Craig już miał coś jej odkrzyknąć, ale Corinna złapała go za ramię. Spojrzął prosto w jej głębokie zielone oczy, potem na pełne, błyszczące usta i na różowe sutki prześwitujące przez jasnoróżową koszulę nocną. I zrozumiał, że może jego matka nie była aż tak sukowata i żalosna, jak czasem mogło się wydawać.

— Craig — szepnęła Corinna. — Czy ty uważasz, że jestem jednonożną naciągaczką?

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Pokręcił głową.

— Nie, wcale tak nie uważam.

♦♦♦

Sarah spotkała się z Timerim Orarim w ostatni dzień jego pobytu w Nowym Jorku, przed wylotem do Chicago i rozpoczęciem prac nad *Fireflashem 5*. Umówili się na lunch w popularnej restauracji specjalizującej się w zupach przy Trzeciej Alei, blisko biura Sarah, i musieli siedzieć przy stole z pięcioma innymi gośćmi, mocno trzymając miseczki z zupą chowder i talerzyki ze słonymi krakersami, żeby im ich nie wytrącono z rąk.

— Przepraszam, że takie dzisiaj tłumy. Zwykle jest tu mniej ludzi — stwierdziła Sarah.

— Nie szkodzi — odparł Timeri. Miał na sobie źle leżący czarny garnitur i czarny krawat. — Zazwyczaj w ogóle nie jadamy lunchu.

Spojrzał na Sarah. Miała podkrążone oczy, ale była elegancka i opanowana. Nosila rudy sweter z dzianiny, brązową spódnicę i buty. Na nadgarstkach dzwięczało mnóstwo bransoletek.

— Wygląda na to, że ruszacie z projektem, tak?

— No chyba tak. Pieniądze zebrane, projekty gotowe. Zabieram ich do firmy Elite Bodies do Denver, żeby wyłowić specjalistę, który poprowadzi budowę samochodu. Będziemy gotowi na wiosnę.

— To dziwne, nigdy nie podejrzewałam, że Craig mógłby zostać kierowcą wyścigowym.

— Chyba nikt go o to nie podejrzewał. Przez chwilę jedli w ciszy, gdy Sarah zapytała:

— Jak było na pogrzebie? Wszystko dobrze poszło?

— Tak. Przyszło wielu ludzi — sąsiadów, przyjaciół. Byli wszyscy oprócz Carlosa — męża Sushy. Nie pojawił się. Miał powód.

— Nie rozumiem.

— Uciekł od niej. Zabrał pieniądze i zniknął.

— Dużo tego było? Dzwoniłeś na policję? Timeri milczał.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś na policję? — nalegała Sarah. — Mogli go złapać i odzyskalibyście choć część pieniędzy.

— Nie mogłem zadzwonić na policję.

Sarah rozkoszowała się zupą. Była gorąca i smakowita. Od razu lepiej się poczuła. Co za dziwne wrażenie.

— Nie mogłeś? Co to znaczy „nie mogłeś”?

— To wszystko przez te pieniądze.

Sarah złapała go za rękę.

— Timeri, coś mi tu nie gra. Powiedz mi, o co chodzi.

Orari był bliski płaczu, choć nie uronił łzy. Kobieta i mężczyzna siedzący obok przestali rozmawiać i zaczęli się na nich gapić. Sarah spojrzała im gniewnie w oczy i wrócili do swojej zupy minestrone.

— To moja wina — przyznał Timeri. — To wszystko przeze mnie.

— Co się stało?

— Nikomu jeszcze tego nie mówiłem.

— Więc teraz powiedz mi, proszę. Timeri, chcę wiedzieć, co się wydarzyło.

Przetarł oczy serwetką. Czuł, że nie da rady dłużej tego kryć w sobie.

— Zapłacili mi dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Kto ci zapłacił? I za co?

Spuścił głowę, bo nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Wstydził się i był nerwowo wyczerpany. Nad miską zupy z małży rozpoczął spowiedź, a nikt, kto się spowiada, nie musi przecież patrzeć na twarz księdza.

— Nie wiem kto. To wydarzyło się na długo przed podjęciem próby bicia rekordu. Zadzwonili do mnie i zapytali, czy nie chciałbym zarobić trochę pieniędzy. Moja siostra była już wtedy chora. Zaoferowali mi dwadzieścia tysięcy dolarów tylko za to, żebym odwrócił oczy. Nawet nie musiałem niczego dotykać.

— O czym ty mówisz? O *Fireflashu* czwartymi Przytaknął skinieniem głowy.

— Facet pojawił się w nocy. Chciał tylko dziesięć minut sam na sam z samochodem. Powiedział, że pomajstruje tak, by pojazd nie ruszył. I to miało być wszystko. Zapewniał mnie, że nic się nie stanie. Po prostu nie ruszy. I dał mi kopertę z dwudziestoma tysiącami dolarów.

Sarah była jak porażona.

— Czy wiesz, co zrobił?

Nadal nie podnosił głowy.

— Nie. Ale pewnie grzebał przy dystrybutorze paliwa. Zauważyłem drobny wyciek, gdy tankowaliśmy później pojazd.

— Timeri, Bradley przez to nie żyje!

— Wiem.

— Nie rozumiem tylko, po co potrzebowałeś tylu pieniędzy? Czy Bradley niewystarczająco ci płacił?

— Płacił dobrze. Nie powiem, że świetnie, ale nie mogłem narzekać. Chodziło o Sushę. Miała guz płuca i zamierzałem zapłacić za operację. Za dobrych lekarzy. Chciałem uratować jej życie. Nie wiedziałem, że Bradley zginie. Naprawdę nie wiedziałem. Mówię poważnie. Zapewnili mnie, że *Fireflash* nie ruszy z miejsca.

— Ale kiedy jednak odpalił, dlaczego nie powiedziałeś ani słowa? Wtedy już musiałeś wiedzieć, że czyha na niego jakieś niebezpieczeństwo.

Sarah pobladła. Zupełnie zapomniiała o jedzeniu.

— Tak, wiedziałem. Ale to było jak hazard. Mogło mu się udać. Przynajmniej miał szansę. Susha nie miała żadnej szansy. Umierała na raka płuca.

— Czyli to Carlos ukradł pieniądze na jej operację?

Timeri skinął głową.

Sarah wyprostowała się na krześle.

— O mój Boże. Wpakowałeś się w niezłe bagno Apatycznie mieszał zupę łyżką.

— Zabiłem jednego z najlepszych przyjaciół, żeby ratować siostrę, a ona i tak umarła. Zasluguję na każde cierpienie.

Sarah zmarszczyła brwi.

— Ale dlaczego chcieli uszkodzić *Fireflasha*? Zupełnie tego nie rozumiem.

— Bradley nie był za bardzo lubiany. To mógł być każdy, kto chciał mu dać nauczkę.

— Czy rozpoznałbyś tego mężczyznę, gdybyś go jeszcze raz zobaczył?

— Tego, który dał mi pieniądze?

— Tak. Pamiętasz, jak wyglądał?

Timeri rozejrzał się po restauracji, by sprawdzić, czy może wśród gości znajdzie kogoś podobnego do tego człowieka. Ale mężczyzna, który pojawił się tamtej nocy pod hangarem, był zbyt charakterystyczny. Doskonale pamiętał jego wygląd. W ułamku sekundy jego twarz i sylwetka odcisnęły się głęboko w pamięci Timeriego. Takich ludzi nie zapomina się tak łatwo. Pobłyskujące oczy i niedogolony zarost. Pierścionki i obrączki na każdym palcu, nawet na kciukach. I czarne wysokie buty do jazdy konnej.

— Trudno powiedzieć. Wyglądał jak Zorro, tylko wydawał się naprawdę twardy i miał w sobie prawdziwe zło. Było jednak w nim coś kobiecego. Nie znam się na tym. Nosił koszulę z dziwnymi bufiastymi rękawami.

Sarah zamyśliła się.

— To niewiele, żeby go znaleźć.

— Znaleźć? Nie rozumiem cię.

— Kimkolwiek był ten mężczyzna, to on zabił mojego teścia. A co będzie, jeśli spróbuje zabić Craiga?

Timeri był zaskoczony.

— Craig to zupełnie inny człowiek. Nie jest nielubiany, tak jak nielubiany był twój teść. Dlaczego ktoś miałby zabijać Craiga?

— A dlaczego zabili Bradleya? Czy tylko dlatego, że był nielubiany? Czy może raczej za coś, co zrobił? Za coś poważnego? Albo za coś jeszcze innego. Załóżmy, że ktoś inny próbuje pobić rekord świata i nie chce, żeby to rodzina Wingerów przeszła do historii?

Timeri pokręcił głową.

— Nie sądzę, Sarah. Myślę, że tu chodziło o sprawę osobistą. To była prawdziwa wendeta. Bradley za bardzo się rozpychał i chcieli mu pokazać.

Sarah podniosła torebkę.

— Muszę już iść, bo spóźnię się do pracy.

— Ja zapłacę — oświadczył.

— Timeri, posłuchaj.

— Tak?

— Opiekuj się nim. Obiecuj mi to. Nie rób z tego wielkiej sprawy, ale nie pozwól, żeby podobny do Zorro typ zbliżył się do Craiga. Jeśli będziesz potrzebował pieniędzy, to mi powiedz. Ale nie próbuj nawet zerwać włosa z głowy mojego męża, bo zabiję cię osobiście.

Timeri się zawstydił. Nikt go jeszcze do tej pory tak nie straszyl. Zapłacił za zupę i wyszli. Było parno i duszno,

zapowiadało się na deszcz. Stanęli na chodniku Trzeciej Alei i pożegnali się uściśnięciem dłoni.

— Obiecuję, że spróbuję się nim opiekować — oświadczył Orari.

Sarah zmierzyła go długim, intensywnym spojrzeniem. W końcu skinęła głową i pospieszyła z powrotem do pracy.

♦♦♦

Tego samego dnia wieczorem, gdy Marjhorie wyszła do studium zarządzania biznesem, Craig i Corinna kochali się w małżeńskim łóżku Marjhorie. Potem leżeli i rozmawiali. Na tle granatowej pościeli ciało Corinny było ciemne, brązowe, niemalże indiańskie. Craiga podniecał widok kikuta jej nogi. Cała reszta także niezwykle go pociągała, a wielkie, jędrne piersi wydawały się niemalże perfekcyjne. Craig miał jasną karnację nowojorczyka. Był szczupły i pozbawiony jakiegokolwiek tężyzny fizycznej. Miękki członek, nadal mokry od soków miłości, odpoczywał na udzie po wieczornym wysiłku. Włosy łonowe Corinny zlepiły się w grzebię.

— Kochasz się, jakbyś brał udział w wyścigu — stwierdziła Corinna. — Od razu widać, że jesteś z Nowego Jorku.

— Czy wszyscy faceci z Nowego Jorku kochają się, jakby się ściągali?

— Wszyscy. Ich umysły wyprzedzają ich ciała o dwa kolejne spotkania biznesowe. Gdy grają w golfa, to myślą o pieprzeniu się. Kiedy piją drinki, myślą o pracy. A gdy się pieprzą, to w myślach już popijają drinki.

— Było aż tak źle? — Craig starał się, by jego głos nie zabrzmiał złośliwie.

— Nie, mój drogi. Wcale nie było tak źle. Było wspaniale. Narzekam tylko dlatego, że jestem chciwa. Chciałabym, żeby to trwało bez przerwy

Spojrzeni się na siebie i się uśmiechnęli.

— Co planujesz? Zostaniesz tutaj na dłużej? — zapytał Craig.

— Nie wiem. A chcesz, żebym została?

Craig położył się na boku i koniuszkiem palca przesunął po profilu jej twarzy. Pocałował ją.

— Tak. Zostań — odpowiedział miękko głosem.

Corinna się przeciągnęła. Długie ramiona, płaski brzuch i jedna noga. To było dziwne, ale nie odpychające. Craig wstał z łóżka, by zrobić sobie drinka.

— Wiesz co? Myślę, że ty i ja moglibyśmy stworzyć dobry zespół.

Corinna roześmiała się.

— Mówisz o nas jak o drużynie futbolowej. Usiadł nago na skraju łóżka, popijając whisky.

— Przecież wszystko jest grą, nie sądzisz? Ty i ja, moja matka i nieodżałowany ojciec.

Corinna leżała na plecach z rękami pod głową.

— Jeśli tak uważasz. Czy wiesz, że mój ojciec ubezpieczył twojego ojca na życie na prawie pół miliona dolarów?

Craig spojrział na nią i zamrugał ze zdziwienia.

— Pół miliona dolarów? Skąd to wiesz?

— Od Leona.

Craig sączył drinka w zamyśleniu.

— A po jaką cholere miałby to robić?

— Chyba żeby zarobić pieniądze.

— Tak, ale powiedział, że to był wypadek.

— To był sabotaż. Przecież dokładnie ci to wyjaśnił.

Craig pokręcił głową

— Oni celowo majstrowali przy *Fireflashu*. Tyle to wiem. Ale nie mieli zamiaru zabijać mojego ojca.

— Tak sądzisz?

— Chcesz powiedzieć, że... — zapytał, podnosząc wzrok.

— A dlaczego by nie? To po co mój ojciec ubezpieczałby twojego na życie, jeśli sądził, że istniała poważna szansa na to, że straci pół miliona?

Craig wstał po szlafrok. Zarzucił go na plecy, usiadł koło Corinny i wziął ją za rękę.

— Corinna, chyba muszę dowiedzieć się czegoś więcej o twoim ojcu.

— A co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

— Na przykład to, czy zabił mojego ojca z premedytacją. I dlaczego chce finansować moje działania. I o co w ogóle, do cholery, w tym wszystkim chodzi.

Corinna ścisnęła jego dłoń.

— Craig, wysłuchaj mojej rady. Możesz grać w jego karty, gdy się pojawi. Znam go dobrze. Jest bardzo skomplikowany, skryty i chytry. Nie jesteś w stanie domyślić się, jaki będzie jego następny ruch. On stale improwizuje. Nigdy niczego nie planuje, nie zapisuje. Wszystko ma w głowie.

— Myślisz, że mnie też ubezpieczy na życie? — zapytał Craig gorzkim tonem.

— Chyba nie. On cię lubi.

— Lubi mnie? Nie sądzę, by on kogokolwiek lubił.

— Oj, zdziwiłbyś się.

Craig nalał sobie jeszcze jednego drinka i przyniósł dla Corinny sok pomarańczowy. Od pierwszego momentu, gdy tylko poznał Tysona Peace'a, odnosił wrażenie, że jest wykorzystywany jak goniec w szachach, a teraz nabierał do tego jeszcze większego przekonania. Ale jak było to możliwe? Gdyby odmówił jego oferty sponsoringu, przerwałby przecież ten łańcuch zależności, tak jak zrobił to jego ojciec. Tyson był gotowy wyłożyć osiem milionów dolarów, a to oznaczało dla niego olbrzymie lewe zyski. Nie przyjąłby z radością zmiany decyzji Craiga.

— Czy mogę ci zadać bardzo osobiste pytanie? — odezwał się do Corinny.

— Proszę.

— Czy możesz opowiedzieć mi, w jaki sposób straciłaś nogę?

Corinna nieświadomie pogłaskała się po kikucie nogi. Craig był pierwszą osobą która o to spytała — oprócz jej ojca, oczywiście, lekarzy i policji stanowej. Był pierwszym przyjacielem, który chciał wiedzieć i nie miała pojęcia, jak mu o tym opowiedzieć.

— To było... to był głupi wypadek.

— Opowiedz dokładnie — nalegał Craig. — To musiało być coś poważniejszego. Kiedyś zraniłem się ostrzem siekiery w stopę, ale nie odciąłem jej sobie od razu.

Spojrzała na niego zielonymi, pełnymi skupienia oczami.

— Poznałam jednego faceta. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Przedstawił się jako Hal Shocks. Nie wiem, kim był i skąd się w ogóle wziął. Pojawił się na imprezie w rezydencji, przyszedł z moją przyjaciółką. Usiadł pod drzewem i nic nie mówił. Więc podeszłam do niego, a on rzucił mi wyzwanie.

— Wyzwanie? Jakie wyzwanie?

— Powiedział, że powinienam stawić czoło śmierci. Wziął mnie do cadillaca mojego ojca i jechaliśmy autostradą sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i kazał mi wyskoczyć z samochodu. I ja to zrobiłam. Craig zmrużył oczy.

— Wyskoczyłaś z samochodu pędzącego sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę? I nie zabiłaś się?

— Jestem tutaj, ale bez jednej nogi. W szpitalu powiedzieli, że miałam dużo szczęścia. Turlałam się po poboczu przez kilkadziesiąt metrów.

— Znaleźli tego faceta?

— Hala Shockska? Nie. Szukali, ale nie znaleźli ani jego, ani samochodu.

— Jezus Maria! To... niesamowite!

— Sama nie mogę w to wszystko uwierzyć. Craig spoglądał na nią w skupieniu.

— Co czułaś, gdy wyskakiwałaś z samochodu? Jak to się stało? Byłaś przerażona?

Corinna zamyśliła się.

— A jak ty byś się czuł, jadąc sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę? Nie byłbyś przerażony?

— Nie wiem. Podejrzewam, że w takiej chwili zastanawiałbym się nad tym, że wobec sił natury jestem niczym.

— Ja też się tak czułam.

♦♦♦

*Fireflash 5* powstawał przez dziewięć miesięcy w wielkim szarym hangarze Bradleya Wingera w Uinta na skraju wielkich solnych płaskowyżów w Utah. Craig spędził tam niemal całą zimę, nadzorując etapową budowę bolidu w kształcie klina. Timeri Orari niemal żył w warsztacie, spędzając w nim dnie i noce, i wyciskając z szczęściu mechaników i techników ich najlepsze inżynierskie umiejętności.

Corinna znalazła pracę jako recepcjonistka w małej firmie farmaceutycznej w Salt Lake City i co weekend przyjeżdżała do Craiga w odwiedziny. W styczniu Sarah złożyła do sądu pozew o rozwód. Większość znajomych sądziło, że Corinna Peace zostanie w końcu panią Wingerową, gdy rozwód stanie się faktem i ta jedyna przeszkoda nie będzie już im stała na drodze.

W połowie maja *Fireflash 5* był już prawie gotowy. Craig zaprosił Marjhorie do Utah na prezentację samochodu. Uroczystość miał uświetnić tłum reporterów i ekip telewizyjnych. Craig Winger, jedyny syn Bradleya Wingera, męczennika szybkości, zamierzał odkupić dobre imię ojca.

Był gorący i pochmurny wieczór. Szary hangar obwieszono flagami i proporczykami. Tłumek zgromadzonych powitał oklaskami i okrzykami Craiga i Corinnę, którzy przyjechali wynajętym samochodem.

— Craig — zawołała Marjhorie, przepychając się między ludźmi. Pocałowali się na powitanie. — Jestem tak podniecona, że nie mogę się doczekać uroczystości.

— Dzień dobry, mam — przywitała się Corinna. Cały czas zwracała się do niej „mamo”, ale Marjhorie zupełnie na to nie reagowała. Nadal potajemnie miała Craigowi za złe, że tak łatwo pozbył się Sarah ze swojego życia.

— To dla mnie wielki dzień, Craig — wyznała Marjhorie. — To cudowne. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będziemy to przeżywać.

— Nie tylko ty tak myślałaś — odparł Craig. — Oto nasz główny cudotwórca.

Podszedł Timeri ubrany w zatłuszczony brązowy kombinezon. Wycierał ręce w kawałek szmaty. Tłumek ludzi szumiał od rozmów i śmiechu.

— Jak bolid? — zapytał Craig. — Gotowy do wyciągnięcia i prezentacji?

Timeri skinął głową.

— Mieliśmy mały problem z wydechem, ale udało nam się wszystko naprawić. W tej chwili wygląda świetnie.

Corinna złapała Craiga za łokieć.

— Co się dzieje? Przejedziesz się nim?

— Tak. Zrobię jedną rundę dookoła placu. Dlatego właśnie mam na sobie ognioodporny kombinezon. Jeśli teraz, drogie panie, uprzejmie tutaj zaczekacie i zabawicie dżentelmenów z prasy, to pójde uzupełnić ekwipaż.

Craig i Timeri weszli do warsztatu. Miejsce długiego czarnego *Fireflasha 4* zajmował teraz zupełnie inny pojazd — płaski, srebrzystobłękitny, błyszczący klin bolidu. Małe przednie koła ukryte były pod aerodynamicznymi osłonami, olbrzymie tylne koła błyszczały wypolerowanymi felgami. W środku bolidu mieściła się ciasna kabina kierowcy z pleksiglasową owiewką. Cały tył zajmowała wielka, wypolerowana rura wylotowa silnika raketowego.

Na boku pojazdu wymalowano nazwę pojazdu i napisy reklamowe: *fireflash 5* by Peace Pharmaceuticals. Power by Suskicz".

— Timeri, ten bolid wygląda jak tygrys — skomentował wygląd pojazdu Craig. Siedział już wcześniej w jego kokpicie, odpalał nawet silnik raketowy, ale jeszcze nigdy nim nie jechał. Przez całą zimę trenował na bolidach na torach wyścigowych z prędkością w okolicach trzystu kilometrów na godzinę, ale nigdy szybciej, co i tak było już dla niego wystarczająco emocjonujące. A teraz tym srebrzystobłękitnym potworem miał pokonać granicę tysiąca stu kilometrów na godzinę, pędząc na wprost przez słońce pustynie.

Przesunął ręką po gładkiej jak szkło karoserii wykonanej ze specjalnych stopów, na którą nałożono jedenaście warstw lakieru.

— No dobrze, przebieraj się, bo wszyscy na ciebie czekają — odezwał się Timeri.

Craig zrzucił dzinsy i ściągnął T-shirt. Pod spodem miał szarą ognioodporną bieliznę. Jeden z mechaników podał mu jasnobłękitny kombinezon zewnętrzny. Craig wcisnął się w niego i zaciągnął wszystkie suwaki. Do kolana przypiął notatnik, zawiązał jasnoniebieskie buty i założył wielki srebrny hełm z zaciemnionym na bordowo wizjerem i zintegrowaną maską tlenową. Wyglądał jak Marsjanin z komiksów dla dzieci.

Timeri zacisnął pięści, wystawiając kciuki w geście powodzenia. Do boku *Fireflasha 5* dostawiono mały podest na kółkach, po którym Craig wspiął się do poziomu kabiny i wcisnął do środka kokpitu.

Deska rozdzielcza była szersza i bardziej wyprofilowana niż ta w *Fireflashu 4*. Zegary i kontrolki wskazywały prędkość pojazdu, prędkość wiatru, stan hamulców powietrznych i spadochronów, poziom paliwa, działanie pomp paliwa i dysz wtryskowych, temperaturę płynów. Czarny skórzany fotel był specjalnie dopasowany do jego sylwetki. Craig opuścił pleksiglasową owiewkę, uszczelniał mocowania i wypróbował system dostarczania tlenu. „Tlen działa”. Przetestował radionadajnik. W słuchawkach zachrzęścił głos Ti-meriego. „Radio działa”. Uchwycił drążek sterujący i delikatnie skrzył przednimi kołami. „Sterowanie działa”.

Mały pomarańczowy traktor kierowany przez Eda Paintera wjechał tyłem do hangaru. Timeri i pozostali mechanicy pomogli podczepić go do haków holowniczych *Fireflasha 5* umieszczonych pod jego dziobem. Ed podniósł kciuk do góry i Craig zwolnił hamulce. Dwunastometrowy bolid zaczął powoli kołować.

*Fireflash 5* wynurzył się z hangaru w pochmurny wieczór niczym sinobłękitny rekin. Światła fleszy odbijały się w

jego błyszczącej powłoce, reflektory telewizyjne oświetlały Craiga w kasku, skulonego w kabinie, jakby był przybyszem z innego świata.

— O mój Boże, jaki on piękny — westchnęła Corinna. — Ojej, mam, spójrz, jest piękny!

Marjhorie nie potrafiła wymówić ani słowa, tylko kręciła z podziwu głową. *Fireflash 5* był bardziej błyszczący i imponujący niż wszystko, co mogła sobie wyobrazić. Wyglądał jak anielski rydwan stworzony z nieba, światła księżyca i niebieskich obłoków.

Reporter podsunął mikrofon pod nos Marjhorie.

— Pani Winger, czy czuje się pani dumna? Mrugnęła powiekami. Światła reflektorów raziły ją w oczy i nie widziała nawet, kto do niej mówi.

— Oczywiście. To cudowny moment — oświadczyła.

— Czy czuje się pani bardziej dumna niż wtedy, gdy pani mąż Bradley Winger wynurzył się z tego samego hangaru w *Fireflashu czwartym*?

— Nie to miałam na myśli — wyrwało się Marjhorie. — Chciałam powiedzieć, że Craig prawdopodobnie spełni marzenie ojca.

— Nie boi się pani, że syn może zginąć, tak samo jak ojciec?

Marjhorie zmrużyła oczy. Wolałaby, żeby przestali świecić jej prosto w twarz.

— Każda matka boi się o syna.

Wokół niej pojawiło się więcej reporterów. Próbowala się uśmiechać i wyglądać na odprężoną, ale przez te wszystkie światła nie wiedziała dokładnie, co się dzieje dookoła, i zaczęła się denerwować. Nie mogła dostrzec *Fireflasha*, choć domyślała się że kołuje w stronę solnych jezior i chciała go zobaczyć.

— Pani Winger, czy planuje pani dać synowi jakiś specjalny upominek, gdy pobije rekord prędkości?

— Co pani teraz odczuwa, pani Winger?

— Pani Winger, proszę na to spojrzeć.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Ktoś machał jej czymś przed samym nosem.

— Czy pani już to widziała, pani Winger?

— Co to jest?

— To dzisiejsze wydanie „National Probe”. Widziała już to pani?

— Niby dlaczego? Przecież to brukowiec.

— Tu jest zdjęcie pani syna flirtującego na lotnisku La Guardia ze znanym pedziem.

— Słucham? — Słowa, które usłyszała, nie pasowały do siebie. Nie mogły dla niej nic znaczyć.

— Proszę, tu jest tytuł: „As prędkości na schadzce z transwestytą”. Czy może to pani skomentować? Czy pani syn ma skłonności homoseksualne, pani Winger?

— O czym pan mówi? — krzyknęła Marjhorie. — W ogóle nie rozumiem, o czym pan mówi!

Reporter w lnianym kapeluszu twardym głosem domagał się wyjaśnień, przysuwając jej mikrofon do ust.

— To bardzo łatwo zrozumieć, pani Winger. Na tym zdjęciu widać, jak pani syn popija drinki z dobrze znanym przebierańcem za kobietę. Czy Craig też jest transwestytą?

Corinna zaczęła przedzierać się przez zbity tłumek reporterów i wrzeszczała, próbując przekrzyczeć wszystkich:

— Nie jest żadnym transwestytą! Nie jest! Nie!

Jeden z reporterów zorientował się, że ktoś coś krzyczy i podsunął jej mikrofon.

— Kim pani jest? Nie uważa pani, że Craig Winger jest pedziem?

Corinna otworzyła usta, ale cokolwiek mówiła, i tak ginęło to w ryku silnika raketowego *Fireflasha 5*. Światła skierowały się w drugą stronę, reporterzy odwrócili się, by zobaczyć srebrzystobłękitny, nieziemski statek kosmiczny z uniesionymi kratownicami hamulców powietrznych przypominających skrzydła owada, nad którym unosił się brązowy dym spalin i pomarańczowy płomień odrzutu z wypolerowanej dyszy wylotowej.

Powoli zapadał mrok, ale wydawało się, jakby błyszcząca powierzchnia *Fireflasha 5* ściągała na siebie resztki słonecznego blasku i świeciła z oddali niczym latający spodek. Pomarańczowy żar płomieni wylotowych rozpałał się coraz mocniej i mocniej, aż uformował się w długą, wyjąca, sztywną smugę ognia za dyszą.

Hałas był nie do zniesienia. Raketowy silnik ryczał, wyl i wprawiał w wibrację obiektywy kamer i oczy wszystkich obserwujących. Niektórzy, zupełnie porażeni niewytłumionym rykiem silnika padli na kolana.

Hamulce powietrzne zaczęły chować się w srebrnej skórce potwora. Bolid powoli ruszył. Dźwięk pogłębił się i wyrównał. Wykorzystując rosnącą moc, zaczął się coraz szybciej toczyć po płaskiej powierzchni solnych jezior, szybciej i szybciej. Po kilkuset metrach zaczął hamować, uniosły się powietrzne hamulce i wycie silnika ucichło.

— Co pani powiedziała? — zapytał jeden z reporterów, odwracając się w jej stronę. Jego oczy błyszczały i wydawało się, jakby na moment zupełnie stracił orientację. Pozostali dziennikarze nadal stali oczarowani ziejącym ogniem potworem.

— On nie jest żadnym pedałem! — krzyczała Corinna. — To jest niemożliwe!

— Corinna! — wrzasnęła Marjhorie. — Cokolwiek chcesz powiedzieć w jego obronie, to nie musisz tego robić! Craig sam potrafi się obronić!

— Nawet przed tym? — Corinna pomachała jej przed nosem brukowcem.

— Przed tym i przed wszystkim!

— To dobrze, ale ja nie zamierzam biernie czekać, gdy ktoś chce znieważać Craiga w taki sposób i przylepić mu łatę! — odpowiedziała wzburzona Corinna. — Możesz nic nie robić, ale mnie nie powstrzymasz!

Ryk silnika *Fireflasha 5* umilkł na dobre, a Corinna zauważyła, że krzyczy z całych sił już bez żadnej potrzeby. Wszyscy odwrócili się w jej stronę i patrzyli na nią z dziwieniem i zaciekawieniem.

— To bardzo proszę — powiedział reporter, podsuwając jej mikrofon. Światła reflektorów kamer telewizyjnych oświetliły jej twarz. — Jeśli chce go pani obronić, to proszę bardzo.

Corinna podniosła głowę. Jej blond włosy połyskiwały niczym białe płomienie w silnym świetle lamp. Mówiła czystym głosem z wyraźną dykcją a gdy Craig oglądał to później w telewizji, poczuł się jak sparaliżowany.

— Craig Winger nie jest homoseksualistą — oświadczyła Corinna. — Wiem to doskonale, ponieważ jestem jego partnerką życiową. Poza tym spodziewam się jego dziecka.

## ROZDZIAŁ 10



Sarah właśnie umyła włosy. Siedziała przed telewizorem z głową owiniętą ręcznikiem i oglądała wiadomości na kanale NBC. Jadła cebulowo-serową **tarte**, którą kupiła w sklepiku spożywczym po drodze z pracy. Ulicami Nowego Jorku wiała bryza, porywając gazety i śmieci, poruszała niedomkniętymi oknami i wysysała powietrze przez szczeliny pod drzwiami jak pies wachający trop.

Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, akurat miała pełne usta jedzenia.

— Kto tam? — zapytała.

— Przyjaciel — odpowiedział męski głos. — Czy jest pan Craig Winger?

— Chwileczkę. — Sarah przewiązała szlafrok w pasie i wyjrzała przez judasza. Ten ktoś za drzwiami wyglądał jak kobieta. Wysoka, ciemnowłosa kobieta w jaskrawo czerwonej garsonce.

— Kogo pani szuka?! — zawołała przez drzwi Sarah.

— Craig Wingera.

— On już tu nie mieszka. Jestem jego żoną. Jesteśmy w separacji.

— Och, a nie wie pani, gdzie go można spotkać?

— Jest w Utah. Jutro ma podjąć próbę bicia rekordu prędkości.

Sarah nie potrafiła połączyć męskiego głosu z kobiecym wyglądem. To był miły, przyjemny głos, ale zdecydowanie nie należał do kobiety.

— Proszę posłuchać — odezwała się kobieta za drzwiami. — Czy mogłybyśmy porozmawiać?

Sarah zastanawiała się przez moment, co ma zrobić.

— Nie — odparła. — Ja pani nie znam.

— To może porozmawiamy chociaż przez dziurkę od klucza? Albo spotkajmy się na ulicy. Po drugiej stronie ulicy jest bar. Spotkajmy się tam na pięć minut, dobrze? Naprawdę muszę z panią porozmawiać.

— No dobrze — zgodziła się niechętnie Sarah. — Proszę dać mi dziesięć minut. Muszę wysuszyć włosy.

Kobieta zniknęła i Sarah poszła do sypialni poszukać suszarki. Przeczesała pukle kręconych włosów. Co tu, do licha, się działo? Wysoka kobieta o męskim głosie pyta o Craiga? To nie miało najmniejszego sensu. Sarah dała mężowi spokój przez całą zimę. Nie dzwoniła do niego i tylko raz napisała list po tym, jak mechanik przyszedł naprawić klimatyzator. I nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się ta dziwna kobieta.

Sarah włożyła czarne spodnie i jasnoniebieską bluzkę. Zapięła półbuty, sprawdziła w lustrze, jak wygląda, i wyszła z mieszkania. Spojrzała w dół korytarza, by upewnić się, czy to nie jest może zasadzka i czy nie czekają na nią jakieś zbiry. Szybkim krokiem podeszła do windy i nacisnęła guzik parteru.

Na ulicy nadal wiał brudny wiatr. Przeszła na drugą stronę i pchnęła szklane drzwi do baru. Światła były przyciemnione, z taśmy leciała kliwa muzyczka. Wysoka, czarnowłosa kobieta siedziała przy końcu długiej lady barowej oklejonej fornirem z orzecha włoskiego. Piła wódkę z martini. Sarah podeszła do niej nerwowym krokiem i się uśmiechnęła.

— Jestem Sarah Winger.

— Cześć — odpowiedziała kobieta. — Przyjaciele mówią na mnie Suzy-Q. Napijesz się?

— Nie, dziękuję.

— Ale ja nalegam. Barman, bądź tak uprzejmy i nalej pani drinka. Może być martini?

— Może — odparła Sarah i wspięła się na barowy stolec. Barman, wyglądający jak komediant Don Rickles, którego

trapi solidny ból głowy, postawił na blacie kieliszek z martini. Wysoka kobieta zapłaciła za drinka. Cokolwiek by zrobiła mężczyzna za barem wciąż się krzywił. Na półce stał włączony telewizor z wyciszonym głośnikiem. Ulicą przejechał radiowóz na sygnale.

— Znała pani Craiga? — zaczęła Sarah, sącząc drinka. Suzy-Q podniosła wydepilowane w cienką kreskę brwi.

— Nie wiem, jak może pani w ogóle o to pytać. Nie czytała pani „National Probe” ani nie oglądała wiadomości?

— Nie mam pojęcia, co się dzieje. Ostatnio nie bardzo interesowałam się bieżącymi wydarzeniami. Próbuje zapomnieć o Craigu. A on niech się w spokoju zajmuje swoimi sprawami.

Suzy-Q machnęła wielką ręką.

— W takim wypadku, moja droga, lepiej niech pani rzuci okiem na to.

Otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej złożony egzemplarz „National Probe”. Czerwonym pisakiem zaznaczono w nim niewyraźne zdjęcie Craiga i Suzy-Q. Podpis pod zdjęciem głosił: „As prędkości na schadzce z transwestytą”.

Sarah przyglądała się fotografii. Nie mogła zupełnie w to uwierzyć.

— To pani?

— Tak, moja droga, to ja. Tylko proszę sobie niczego złego nie wyobrażać. Spotkałam pani męża na lotnisku La Guardia. Wstąpił do baru na drinka i tylko rozmawialiśmy. Nigdy w życiu go już nie spotkałam ani on nie szukał ze mną kontaktu, a na początku myślał po prostu, że jestem kobietą.

— Naturalnie. — Sarah zmarszczyła czoło. Musiała przyznać, że Suzy-Q faktycznie zachowywała się jak kobieta. Chociaż znała prawdziwą płęć, nie potrafiła o nim myśleć inaczej niż jak o kobiecie. Jednak wielkość dłoni mechanika samochodowego i głos zupełnie temu przeczyły.

Suzy-Q popijała drinka.

— I to wszystko, siedzieliśmy i gadaliśmy. Oczywiście, złożyłam twojemu mężowi propozycję, w końcu to moja praca, ale on odmówił i wyszedł na spotkanie jakiejś platynowej pani w średnim wieku.

— To jego matka — wtrąciła Sarah.

— No jasne, ale chodzi mi o to, że ja nie wiedziałam, kim on jest.

— A czy zrobiłoby to jakąś różnicę, gdybyś wiedziała?

— Oczywiście — odparła Suzy-Q. — Olbrzymią różnicę.

Przynajmniej w moim świecie. No chyba wiesz, kim są Wingerowie?

Sarah była tym wszystkim skonfundowana. Dopięła martini.

— Chyba jednak dobrze wiem, kim są Wingerowie — odpowiedziała z dozą ironii w głosie. — Byłam żoną Craiga przez osiem lat. Ale w pani ustach brzmi to jak...

— Nijak, proszę pani — przerwała Suzy-Q, zakładając nogę na nogę. — Tak to już po prostu jest. A ponieważ dowiedziałam się pewnych rzeczy, uznałam, że pani też powinna je wiedzieć.

Sarah dopiero teraz zrozumiała, że Suzy-Q może być w posiadaniu jakichś ważnych informacji. Skinęła na barmana

i zamówiła drinki. Ten skrzywił się, ale poszedł na drugi koniec baru po alkohol.

— Macie tu coś do pogryzienia? — zawołała Suzy-Q.

— Oprócz ciebie mamy fistaszki i pistacje — odparł zgryźliwie mężczyzna i postawił przed nimi miseczkę z orzeszkami.

— To się nazywa kulturalna obsługa. Przyzwyczaiałam się do tego. Od chwili, gdy domyśla się, że jestem mężczyzną, zaczynają się bać o swoją męskość.

— Czy Craig jest w niebezpieczeństwie? Czy chciała się pani ze mną spotkać, by mi to przekazać?

Suzy-Q położyła dłoń na ramieniu Sarah.

— Nie wiem, kochana. Może nie posunęłabym się aż do takich wniosków, ale pamiętaj, że duma prowadzi do upadku, i tak dalej.

— Nie rozumiem.

Suzy-Q pochyliła się nad nią, jakby chciała przekazać jej wielką tajemnicę.

— Całe to zamieszanie wokół Bradleya Wingera przerozdziło się w skandal. Nigdy pani o tym nie czytała w gazetach? Byłam właśnie wtedy w Los Angeles i dowiedziałam się wszystkiego pocztą pantoflową. Gdy jest się t-v1, to trzeba dbać o wywiad środowiskowy i oglądać się na wszystkie strony. Należy się orientować, kto jest kim i tak dalej, bo wypadniesz z towarzystwa, zmieszają cię z błotem i nikt nie chce się już z tobą zadawać. To gorsze od śmierci. Mam przyjaciela w Los Angeles, który opowiedział mi pewną historię i wszystko, co usłyszałam od niego, bardzo mnie zdziwiło, szczególnie po tym, jak zobaczyłam zdjęcie twojego męża w gazecie.

— No i co ten przyjaciel pani powiedział?

— Najpierw proszę mi obiecać, że nigdy pani nikomu nie powie, że wie to pani ode mnie. Nie chcę, żeby zaczęły mówić, że jestem plotkarą.

Sarah potrząsnęła głową. Od martini zaczęło jej się kręcić w głowie i poczuła się lekko wstawiona.

— Nikomu nie powiem ani słowa — obiecała. — Przyśięgam na swój grób.

— To wszystko jest bardzo skomplikowane. Bradley Winger był bardzo dobrze znanym gejem. Owszem, męskim typem, bardzo macho, ale mimo to gejem. Poznałam go dawno temu na imprezie, gdy jeszcze był kierowcą wyścigowym. Nie okazał się zbyt dobry, nie? Jako kierowca, oczywiście. Ale wszyscy faceci tracili na jego punkcie głowę. Wyobraź sobie — taki twardziel. No i zostawiał po sobie złamane serca.

— Mówi pani poważnie? — nie dowierzała Sarah. — Przecież miał żonę i syna.

— Tolstoj też był gejem, a miał żonę — odparła Suzy-Q, poprawiając długie włosy. — Może chciał zrekompensować sobie poczucie niższości z powodu bycia gejem albo coś takiego.

— Ale co to ma wspólnego z...

— Chwileczkę. To wszystko się ze sobą łączy. Geje trzymają się w swoich grupkach, dosłownie, ale wszyscy sobie wzajemnie pomagają. To jak masoni, Żydzi albo jakieś inne czorty. Jeśli wiesz, że ktoś jest gejem, to można mu zaufać odrobinę więcej niż zwykłemu facetowi. Bo ogólnie nie jest im łatwo. I w tym małym światku dużo nawzajem o sobie wiemy. Gdy Bradley Winger chciał wybudować swój raketowy pojazd, to oczywiście poszedł z tym do Tysona Peace'a, bo to ciota jakich mało. No i

problem w tym, że to wszystko wyrwało się spod wszelkiej kontroli.

— Jak to? Co to znaczy „spod kontroli“?

— Właśnie to, co znaczy, moja kochana. Wszystko przez klótnie zakochanych. Tyson Peace zakochał się w Bradleyu Wingerze od pierwszego wejrzenia. Te siwe włosy, jego zachowanie macho. To właśnie to, co Peace lubi najbardziej. Problem pojawił się, gdy się okazało, że Bradley Winger nie odwzajemnia jego uczucia. Ten gość jest zresztą odrażający, nie uważa pani?

— Nigdy go nie spotkałam — powiedziała Sarah smutno.

— To proszę mi uwierzyć, że jest ohydny. Łysy, gruby, brrr. Wolalabym obejść cztery kwartały, niż minąć się z nim na ulicy. A tak przy okazji, słyszała pani o kanibalu, który mija się z przyjaciółmi na ulicy? To wstrętne, prawda?

— Ale dokąd pani zmierzają bo nie bardzo rozumiem? — zapytała Sarah, pocierając czoło.

— Oczywiście, że pani nie rozumie. Ale proszę poczekać, aż opowiem całą historię. No więc ten Tyson Peace dosłownie zwariował na punkcie Bradleya Wingerę a Winger totalnie go ignorował. Co gorsza, Bradleyowi spodobał się pewien młody mężczyzna o nazwisku Lionel Jakiśtam, a może to był Leon? Mniejsza z tym. Ten cały Leon Jakiśtam był w tym czasie chłopakiem Tysona Peace'a. To bisek-sualista, niezły w te klocki, jak słyszałam.

— Więc Tyson Peace się zdenerwował?

— Zdenerwował? On się wściekł! Bradley Winger nie tylko odepchnął jego łyse, tłuste zaloty, ale poderwał jego chłopaka! Zdenerwował? On pluł krwią ze złości!

Sarah spoglądała na tego dziwnego człowieka na długie czarne włosy i sztuczne piersi i egzaltowane maniery. Gdyby to ktoś inny opowiedział jej tę historię, to z pewnością by w nią nie uwierzyła. Ale te wszystkie gesty, mimika twarzy i sposób mówienia musiały być szczere. Sarah zdawała sobie sprawę, że za wiele wypila, ale mimo to zamówiła jeszcze jedną kolejjkę martini.

— No i co zrobił ten Tyson Peace? Pewnie chciał się zemścić?

— Chciał dorwać w swoje łapy Bradleya Wingerę i ścisnąć go w bezkształtną masę — oto, co chciał zrobić. Ale mój przyjaciel powiedział mi, że Peace wpadł na o wiele lepszy pomysł. Chciał, żeby Bradley Winger stanął w ogniu chwały. W wielkiej kuli ognia i tak dalej.

— Byłam tam — przyznała Sarah cicho. — Widziałam wszystko. To było straszne.

— Oczywiście, że musiało być straszne — podkreśliła Suzy-Q. — I tego właśnie Tyson Peace oczekiwał. Straszliwej, piorunującej zemsty. No dobra, więc dostał swoją szansę, gdy Winger pokłócił się z tym Leonem Jakimśtam i go rzucił. Ojciec Leona budował dla Bradleya specjalny silnik, a Bradley zabrał od niego kontrakt i dał komuś innemu, by kopnąć chłopaka prosto w jaja. Leon też się wściekł.

Sarah wyciągnęła papierosa z torebki i zapaliła drżącymi rękami. W barze było nieprzyjemnie gorąco i zastanawiała się, czy już nie wypila dosyć. W tle pobrzmiwała muzyka *Blueberry Hill*, a krzesła i stołki zapełniały się rozmawiającymi i śmiejącymi się klientami. Czuła się, jakby całe lata nie korzystała z rozrywki i dobrodziejstw cywilizacji.

— I co się dalej stało? — zapytała zachrypniętym głosem.

— No więc ten Leon też był wściekły na Bradleya, a Tyson Peace dał mu szansę na zemstę. Tyson, oczywiście, nie chciał sobie brudzić łap. To byłoby zbyt ryzykowne. Więc wziął do tego Leona. Zatrudnili zbira i załatwili rakiętę Bradleya. Nawet mnie nie pytaj, jak to zrobili, bo nie mam najmniejszego pojęcia. Ja nie odróżniam przodu samochodu od jego tyłu. Chociaż dobrze wiem, gdzie jest tylna kanapa, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Sarah wydmuchnęła dym.

— Suzy-Q, czy byłabyś w stanie to wszystko udowodnić? Suzy-Q wyprostowała palce i przyjrzała się pomalowanym

na ostrą, pomidorową czerwień paznokciom.

— Może nie od razu udowodnić, ale znam tego faceta, którego wynajęli.

— Masz na myśli tego zbira?

— Oczywiście. To totalny świr. Kiedyś, bardzo dawno temu, mieszkalam z nim w przyczepie w Cleveland, kiedy byliśmy jeszcze tacy młodzi i kochani, a on już wtedy był poświrowany. To typowy przypadek wyjątkowo sadyistycznej cioty. Podejrzewam, że kiedyś przedawkował jakieś mocarne prochy i to porąbało jego mózg na zawsze. Wydaje mu się, że jest nowym wcieleniem Charlesa Mansona. To znaczy, że on naprawdę w to wierzy.

Sarah przypomniała sobie, jak Timeri Orari, rozglądając się po restauracji, powiedział: „Wyglądał jak Zorro, tylko wydawał się naprawdę twardy i miał w sobie prawdziwe zło. Było jednak w nim coś kobiecego”.

— Suzy-Q, jak nazywa się ten facet?

— Który?

— No, ten zbir. Jak on się nazywa?

— Hal Shocks. Totalny porąbaniec. Zawsze nosił wysokie buty do jazdy konnej i tyle pierścieni i obrączek, że zasłaniały prawie całe palce. Był bardzo seksowny i uwodzicielski, ale w taki sposób jak tarantule.

— Czy sądzisz, że Tyson Peace mógłby wysłać Hala Shocksa, żeby zabił Craiga? Czy to dlatego przysłał mi to wszystko opowiedzieć?

Suzy-Q wyjęła puderniczkę i upudrowała sobie nos. Sarah wyczuła, że musi być nieco zdenerwowana, bo cały czas się rozglądała i zakładała nogę na nogę, raz prawą, raz lewą.

— Nie ma na to żadnego konkretnego dowodu, pani Winger. Niczego, co dałoby się wziąć do ręki. Ale gejowska poczta pantoflowa aż szumi, że coś może się wydarzyć. Nie wolno pani nigdy przyznać się, że wie to pani ode mnie, bo zmieszają mnie z błotem i przejdą do historii, jeśli tylko pani o mnie wspomni. Nie lubię gadać na ludzi za ich plecami, ale Hal Shocks jest zimmokrwistym psychopata i to chyba wszystko, co można o nim dobrego powiedzieć.

— Ale co on zamierza zrobić, Suzy-Q? Musi mi pani zdradzić!

— Ciągle tylko same pytania, a ja nie mam na nie odpowiedzi! Wiem tylko tyle, że Hal Shocks poleciał w zeszłym tygodniu do Salt Lake City, bo go tam widziano. Znam bardzo fajnego geja mormona o imieniu Joseph, który zobaczył moją fotkę w „National Probe”, zadzwonił do mnie i powiedział: „To śmieszne, widziałem cię na zdjęciu z Craigem Wingerem, a teraz ten Craig Winger jest w Utah; przyjechał tu też twój były chłopak Hal Shocks”.

Sarah poczuła chłód. Natychmiast wytrzeźwiała.

— Czegoś nie rozumiem. To wszystko oznacza, że Tyson Peace chce zemścić się na całej rodzinie. Na ojcu i na synu.

— Z tego, co wiem, Tyson Peace nikomu nie popuści. Nie zdziwiłabym się, gdyby Leon Jakiś tam też dostał od

niego nauczkę za porzucenie go i odejście z Bradleyem Wingerem. Dowiedziałam się, że Leon leży w szpitalu z jakimiś paskudnymi ranami.

Sarah zgasła papierosa.

— Ten człowiek to nienormalny typ. To skończony wariat. Suzy-Q wzruszyła ramionami.

— Mnie o to proszę nie pytać. Moi przyjaciele opowiadali, że to gościu, który wdrapał się na szczyt kariery i teraz żyje tylko po to, żeby wyrównać rachunki z wszystkimi, którzy się kiedyś z niego śmiali. Nawet z córką.

— Ale Craig i Corinna są...

— Wiem — przyznała Suzy-Q filuternie. — I to właśnie mnie w tym wszystkim zastanawia. Proszę tylko nie mówić nikomu, że słyszała to pani ode mnie. Nie uważa pani, że byłoby rozsądnie ostrzec Craiga?

♦♦♦

Prognozy pogody były niepewne. Choć świeciło słońce, a słone jeziora pozostawały płaskie i suche, w ciągu najbliższej doby zapowiadano ulewne deszcze. *Fireflash 5* nie miał czego szukać na mokrej soli. Jedna koleina, jedna kałuża, a bolid wyleciałby z toru i byłoby po nim. Przy tysiącu kilometrów na godzinę, nawet najmniejszą nierówność odczuwało się jak betonowy mur.

— Co zamierzasz? — zapytał Timeri, spoglądając na wysokie pierzaste chmury. — Jeśli nie wystartujesz jutro, to będziemy musieli zostać tu na kolejny tydzień, a może nawet i miesiąc.

Craig chodził z kąta w kąt po warsztacie w brązowym kombinezonie, pomagając mechanikom w przeprowadzaniu ostatnich regulacji.

— Nie wiem. Przeklęty deszcz. Nie pada tu całymi miesiącami, a gdy tylko się pojawia, to razem z nami chmury i deszcz. Jak pewne są te prognozy?

— Tak jak wszystkie prognozy. Mówią że zacznie padać około północy i będzie padało przez sześć, a nawet siedem godzin. Nie przewidują ulewy, ale deszcz wystarczająco duży, żeby zepsuć tor.

Craig spojrzął na biały bezwietrzny bezmiar pustyni i przetarł oczy.

— To brzmi jak zły sen. Deszcz? Tutaj?

— Tak mówią.

Z hotelu przyszła Marjhorie ubrana w kremowy kostium safari i ciemne okulary przeciwsłoneczne. Po wczorajszej konferencji prasowej zamknęła się w odosobnieniu swojego pokoju. Była wściekła z powodu historyjki z transwestytą w „National Probe”, a jeszcze bardziej przeżywała ciężę Corinny. Dziewczyna została w Uincie i spała jak kamień w swoim pokoju. Tutaj nie było nic do roboty oprócz jedzenia, spania, oglądania telewizji albo bicia rekordów świata z prędkością ponad tysiąc kilometrów na godzinę.

— Jak się masz, mamó?—przywitał się Craig tak ciepło, jak tylko potrafił.

— Tak dobrze, jak się tylko można po mnie spodziewać — odpowiedziała chłodno. — Co z tym deszczem, o którym wszyscy mówią?

— Wygląda na to, że jednak czasem na wiosnę tutaj pada — odezwał się Timeri. — Ma padać jutro, a potem przez parę tygodni może być różnie.

— Więc wszystko jasne — odparła Marjhorie. — Musisz przeprowadzić próbę dziś po południu.

— Dzisiaj? — zdziwił się Craig. — Timeri, dalibyśmy radę?

Timeri spojrzął na zegarek.

— Dlaczego nie? *Fireflash* jest gotowy, tor także, załoga czeka w pogotowiu. Inżynierowie pomiaru czasu przyjeżdżają w porze lunchu. Większość prasy już przybyła. Wystarczy tylko zatankować i jazda.

— Jaką mamy prędkość wiatru?

— Niską. Maksimum dwa węzły.

— W porządku. Zrobimy ostateczną kontrolę systemów i upewnimy się, że wszystko gotowe. Dziękuję, mamó, jesteś moją inspiracją.

Marjhorie odsunęła jasny kosmyk z czoła.

— Po to jest właśnie matka. Nawet jeśli syn nie mówi, co się z nim dzieje.

— Mamó, czy musimy teraz o tym rozmawiać?

— Więc to prawda, tak? Gdyby twój ojciec wiedział, w co się angażujesz, dostałby palpacji.

— Mamó, do jasnej cholery, przecież on nie żyje!

— Tak. I umarł właśnie tutaj, próbując osiągnąć to, co tobie się uda. I nie zapominaj, że robisz to dla niego.

— Dobrze wiem. By przywrócić jego dobre imię.

— Nic nie wiesz i nigdy się nie dowiesz. Twój ojciec przyjechał tutaj, żeby udowodnić sobie coś bardzo ważnego. Miał pewną słabość, ale zamierzał pokazać wszystkim, że to nie ma żadnego znaczenia. Gdy przeprowadzisz próbę, Craig, i pobijesz rekord świata, nie tylko przywrócisz jego dobre imię, ale odżyje też duch Bradleya.

Craig zakasłał.

— No tak, to brzmi budująco.

— Nie chcesz tego zrozumieć, tak?

— Mamó, czy muszę to rozumieć? Mój ojciec nie żyje. Czy powinienem spędzić resztę życia, analizując jego motywacje?

— Nigdy nic nie wiadomo, Craig. Może mógłbyś się czegoś nauczyć — odparła Marjhorie, wzruszając ramionami.

— Mamó — zaczął Craig, podnosząc rękę, ale matka odwróciła się i poszła z powrotem do hotelu.

— Craig, powiedziałem wszystkim, że startujemy za sześć godzin. Teraz jest parę minut po siódmej. To oznacza, że o pierwszej po południu wyprowadzamy samochód. Zgadzasz się? — zapytał Timeri.

— W porządku. O której zaczynacie tankowanie?

— Paliwo o jedenastej. Płynny tlen o dwunastej piętnaście.

— Jak działa żyro?

— Jest okay. Rano dostaliśmy nową część z Seattle i Dave ją teraz montuje.

— Dobrze. Przejdę się obejrzeć tor. Jak wrócę, to skontrolujemy systemy sterujące.

Timeri skinął głową.

— Wiesz co, Craig?

— Co?

— Tym razem nam się uda.

♦♦♦

Marjhorie nuciła sobie pod nosem, wchodząc po schodach do swojego pokoju. Samopoczucie się jej poprawiło. Zawsze czuła się lepiej, gdy mogła powiedzieć coś od serca. Była poważnie przejęta Craigiem, wiedziała, że jest ślepy na wszelkie dowody i przykłady, które mu się podtyka pod nos. Czy nie rozumiał, dlaczego bicie rekordu było takie ważne? Domyślała się, że on to robi jedynie z wydumanego poczucia obowiązku. Dlaczego nie mógł pojąć, co to wszystko znaczyło dla jego ojca i co to wszystko znaczyło dla niej?

Przechodząc koło pokoju Corinny, wcale nie ściszyła kroków. No dobrze, może i dziewczyna była w ciąży, ale dopiero w drugim miesiącu, choć to też wcale nie wydawało się pewne. Ze sposobu, w jaki Craig się z nią cackał, można by wywnioskować, że ona zaraz padnie zemdlna. Marjhorie wyjęła z torebki klucz i wsadziła do zamka.

Drzwi były otwarte. Zdziwiła się. Pchnęła je trochę mocniej i zajrzała do środka. Nie wyglądało na to, żeby ktoś tu czegoś szukał. Weszła i zamknęła za sobą drzwi.

Zdjęła blezer i rzuciła go na łóżko. Podeszła do umywalki, napełniła ją zimną wodą i umyła twarz i ręce. Wytarła ręcznikiem i spojrzała na siebie w lustrze.

Starzejesz się, Marjhorie Winger, pomyślała. Coraz więcej linii, zmarszczek, więcej oznak stresu. Strata męża zawsze pozostawia na twarzy jakieś ślady. Gdyby tylko dało się normalnie porozmawiać z Craigiem i opowiedzieć mu, jaki naprawdę był jego ojciec. Bradley Winger, twardy i śmiały kierowca. Bradley Winger, mężczyzna, który kochał mężczyzn i poświęcił całe życie, starając się udowodnić, że to nieprawda. Że to wszystko było pomyłką.

Sięgnęła po podkład w kremie. Doda jej świeżości i młodości na tej spalonej słońcem pustyni. Może komuś znowu się wyrwie ten piękny komplement, który zawsze dawał jej powody do dumy: „Chyba jest pani za młoda, żeby być matką Craiga Wingera?”.

Nakładała krem na twarz, gdy bezgłośnie otworzyły się drzwi do szafy. Spojrzała w lustro i się odwróciła. Serce stanęło jej na moment. Z szafy wyszedł wysoki, ciemny mężczyzna w butach do jazdy konnej. W ręce trzymał długi nóż myśliwski.

— Kim jesteś, do licha? — zapytała bez tchu Marjhorie. — Jak się tu dostałeś? Wynoś się stąd!

Hal Shocks pokręcił głową.

— Przyszedłem z wizytą do pani — odparł cichym głosem. — Proszę nie hałasować, bo może się pani skaleczyć.

Podszedł ostrożnie do okna, rozchylił zasłony i wyrzwał.

— Słyszałem, że ruszają za sześć godzin. Mężczyzna miał w sobie coś ciemnego, coś mesjanistycznego. Przetarł wąski nos wierzchem dłoni.

— Nie uda ci się stąd uciec. Za kilka godzin przyjdą tu po mnie.

Shocks roześmiał się pokazując zęby.

— Proszę się nie martwić. Znajdą panią.

Nogi ugięły się jej w kolanach. Musiała usiąść na łóżku. Serce tak jej waliło, że zastanawiała się, czy ten człowiek mógł je słyszeć. Gdyby tylko mogła krzyknąć po pomoc. Ale jego nóż był naprawdę długi i ostry, a mężczyzna był dwa razy szybszy od niej.

— A teraz zrobimy sobie małe dyktando. Ma pani długopis, pani Winger?

— W torebce.

— A papier?

— Jest na biurku.

— Okay, to proszę usiąść przy biurku. Jest pani gotowa? To proszę pisać.

Drżąc, zaczęła zapisywać to, co Hal Shocks dyktował. Raz czy dwa zrobiła pauzę, bo zastanawiał się nad doбором właściwego słowa. Po dwudziestu minutach było po wszystkim.

Shocks przeczytał list i się uśmiechnął. Spojrzał na zegarek.

— Świetnie. Mamy jeszcze pięć i pół godziny. To co teraz będziemy robić?

♦♦♦

W hangarze zadzwonił telefon. Odebrał go Sam McCook, który nadzorował system pompowania paliwa.

— Halo? — usłyszał głos z daleka. — Mogę rozmawiać z Craigiem Wingerem?

— Nie, nie ma go teraz tutaj. Sprawdza tor.

— Mówi Sarah, żona Craiga.

— Cześć, Sarah. Tu Sam McCook.

— Sam, posłuchaj. Muszę rozmawiać z Craigiem. To jest bardzo pilne. Boję się, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo.

— Jakie niebezpieczeństwo?

— Sam, nie mogę ci tego powiedzieć. Ile zajmie mu inspekcja toru?

— Jakąś godzinę albo dwie. Dziś po południu startujemy.

— Dziś po południu? Myślałam, że jutro.

— Pogoda się zmienia. Jeśli nie zrobimy tego dzisiaj, to następna szansa może pojawić się dopiero za kilka tygodni.

— Sam, poproś go, by do mnie zadzwonił. To jest niezwykle ważne.

— Okay, Sarah. Nie martw się. Przekażę mu informację. Do zobaczenia.

— Dziękuję, Sam. Do widzenia.

Sam odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Ósma piętnaście. Niedługo będzie musiał zacząć pompowanie paliwa, a miał jeszcze do zrobienia mnóstwo rzeczy. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do pokoju Craiga.

Po kilku dzwonek w słuchawce odezwał się zaszpany głos Corinny.

— Corinna? Tu Sam McCook.

— Cześć, Sam.

— Czy możesz przekazać Craigowi wiadomość ode mnie, jak się pojawi? Jestem tak zajęty, że mogę zapomnieć. Powiesz mu, że dzwoniła jego żona i prosiła, żeby odzwonił?

— To coś ważnego?

— Była dość zdenerwowana.

— Okay, Sam, powiem mu.

Sam McCook odłożył słuchawkę i poszedł do tablicy z danymi o paliwie. Srebrzystoniebieski *Fireflash 5* był praktycznie jednym wielkim zbiornikiem na paliwo, a każdy osobny przedział zbiornika powinien być wypełniony do właściwego poziomu i należało utrzymać w nim odpowiednie ciśnienie. Sam odhaczył coś na tablicy i zaczął przygotowania do wypełnienia pojazdu łatwopalnym paliwem, które miało przemienić go w bardzo wybuchowy pocisk.

♦♦♦

Dwie godziny przed rozpoczęciem próby Craig poszedł do pokoju, by ubrać się w ognioodporną bieliznę. Corinna siedziała w łóżku, pijąc kawę i obserwując jego przygotowania. Miała na sobie miękką koronkową koszulkę, zdążyła nałożyć makijaż i uczesać włosy.

— Sprawdziłeś tor? — zapytała.

— Tak. Jest w doskonałym stanie. Wiatr trochę się wzmaga, ale nie stanowi żadnego zagrożenia.

— Craig, kocham cię.

— Ja też cię kocham — odpowiedział Craig, podnosząc wzrok.

— Nie musisz tego mówić, jeśli tego nie czujesz — oświadczyła, popijając kawę.

— Ależ czuję. — Podszedł do łóżka i pocałował ją. Spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się do siebie. Craig delikatnie postukał palcem w koniuszek jej nosa.

— Przyjdiesz popatrzeć?

— Co to za pytanie? Oczywiście, nic mnie nie powstrzyma.

— Ale matka nie przyjdzie — odparł, zapinając dzinsy.

— Nie? Co to znaczy, że nie przyjdzie?

— Właśnie to, co powiedziałem. Oznajmiła, że poczeka, aż to się skończy, bo wszystko za bardzo przypomina jej ojca. To, jak zginął.

— To dziwne. Nie wydaje się wcale takim typem. Przecież jest twarda jak skała.

— Powiesiła na klamce tabliczkę „Proszę nie przeszkadzać”.

— To naprawdę bardzo dziwne.

— To cała matka — skomentował Craig. — Zawsze była dziwna. Nie mogę jej do niczego zmuszać. Przecież nie wykręcę jej ręki i nie zaprowadzę siłą na dwór.

— Może właśnie to by pomogło — zastanawiała się Corinna. — Zawsze jest taka wyniosła i napuszona. „Och, Craig — papugowała ją — ty zupełnie nic nie rozumiesz, mój drogi”.

Craig się roześmiał. Nie potrafił nawet wytłumaczyć sobie, dlaczego czuł się tak odprężony i szczęśliwy. Za parę godzin zmierzy się z rekordem, którego nie pobił ojciec, i wiedział, że jemu się uda. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł, że wszystko zaczyna mu się układać. Kochał Corinnę i będzie miał z nią syna. Gdy wreszcie udowodni, że syn Bradleya Wingera jest od niego szybszy i odważniejszy, to coś w jego życiu kliknie i wszystko się odmieni.

Czesząc włosy, spoglądał na siebie w lustrze. Młody, szczupły, opalony. Odrobinę pełniejsze policzki, ale to dawało mu chłopięcego, lekko latynoskiego uroku. Taki anioł

ciemniejszej karnacji.

— Nie powinieneś tak przejmować się fryzurą — odezwała się Corinna. — Nikt przecież nie zobaczy twoich włosów, bo będziesz miał kask na głowie.

— Jak można pobić rekord świata z rozwichrzoną czupryną, co? — roześmiał się Craig.

— A może wskoczysz do łóżka? Na jeden numer, zanim wyjdiesz. Żeby wszystko się w tobie uspokoiło — zaproponowała, śmiejąc się.

— Uhm. Niestety, muszę już iść. Pozostała godzina i pięćdziesiąt minut, a trzeba jeszcze sprawdzić oprzyrządowanie. Seks czyni cuda, ale w tej chwili mam parę innych drobiazgów do załatwienia.

Corinna udała obrażoną i nadąsaną.

— Też mi coś. Tylko nie przychodź tu po pobiciu rekordu

I nie myśl sobie, że od razu dostaniesz to, czego chcesz.

Craig pochylił się i pocałował ją w usta.

— Muszę iść. Zobaczymy się w hangarze przed próbą. Corinna objęła go ramionami za szyję i mocno przytuliła.

— Craig, bądź ostrożny. Proszę, nie zrób jakiegoś głupstwa. Trącił ją koniuszkiem nosa. Na plecach poczuł jej lzy.

— Corinno. Kocham życie tak samo jak ty. Nie martw się tym wszystkim. Za dwie godziny zapomnimy o całym stresie.

Skinęła głową w milczeniu. Nie potrafiła wykrztusić już ani słowa więcej.

- Muszę już iść.
- Bądź ostrożny. Proszę. Dla dziecka.
- Będę. Dla nas wszystkich.

Craig pocałował Corinnę jeszcze raz i wyszedł z pokoju. W połowie korytarza zatrzymał się przed pokojem matki. Tabliczka „Proszę nie przeszkadzać” nadal wisiała na klamce. Zapukał.

- Mamo? To ja, Craig. Długa cisza. I potem głos matki:

— Czego chcesz?

— Mamo, dostałem twoją wiadomość. Na pewno nie chcesz wyjść i popatrzeć? Chciałbym, żebyś tam była.

Znowu długa cisza. Craig wytrzymał słuch. Wydawało mu się, że słyszy jakieś szepty.

- Mamo? Dobrze się czujesz?

— Tak, Craig. Po prostu nie chcę się stąd ruszać. Miałam już dosyć stresu. Wszystko będzie dobrze.

Zastanawiało go zachowanie matki. Po kolejnej długiej pauzie Craig znowu zapukał.

- Mamo? Co robisz?

— Wszystko w porządku, Craig. Uwierz mi.

— Na pewno? Twój głos brzmi dziwnie.

— Jestem trochę przejęta. Idź już, Craig. Zobaczymy się, jak będzie już po wszystkim.

Podrapał się po głowie.

— Skoro tak mówisz... Ale byłoby mi miło, gdybyś przyszła popatrzeć.

— Powodzenia, Craig. Naprawdę ci tego życzę.

— Dzięki. — Odwrócił się, i zszedł po schodach do holu i skierował się do wielkiego szarego hangaru, gdzie czekał na niego *Fireflash 5*.

♦♦♦

W pokoju Corinny zadzwonił telefon i przerwał jej picie kawy. Podniosła słuchawkę.

— Słucham. Corinna Peace.

— Mówi Sarah, żona Craiga. Czy on już wrócił?

— Tak, wrócił pani Winger. Ale znowu wyszedł. Czy to coś ważnego?

— W sumie nic wielkiego, pani Peace. Ale czy mogłaby pani go poprosić, by do mnie zadzwonił?

— Oczywiście. Jest pani w domu?

— Nie. Teraz jestem w biurze. Podam pani numer telefonu.

— W porządku — odpowiedziała, zapisując numer na skrawku papieru.

— Dziękuję, pani Peace. Proszę przekazać Craigowi pozdrowienia.

— Przekażę, do widzenia.

— Do widzenia.

Corinna odłożyła słuchawkę na widełki. Popatrzyła przez chwilę na numer telefonu na Manhattanie, zmięła kartkę i wrzuciła ją pod łóżko. Co ta kobieta, do cholery, sobie myśli?

♦♦♦

O dwunastej czterdzieści pięć Ed Painter podczepił pomarańczowy ciągnik do dziobu *Fireflasha 5* i wyciągnął lśniący pojazd raketowy na zewnątrz. Rozległy się oklaski i okrzyki na wiwat. Próba bicia rekordu prędkości przez Craiga została o wiele bardziej nagłośniona niż w przypadku jego ojca. Przed hangarem zgromadził się tłum dwustu, może nawet trzystu osób. Na dachu warsztatu powiewały flagi i proporce.

Pleksyglasowa owiewka kabiny kierowcy była uniesiona. W środku siedział już Craig ubrany w kombinezon i hełm, podłączony do aparatury dostarczającej tlen do oddychania. Przez przyciemnioną szybę patrzył na twarze zgromadzonych ludzi.

— Rozpoczynamy holowanie do miejsca startowego — ogłosił Timeri przez radio.

— W porządku, Timeri — odparł Craig.

Gdy ruszyli, zobaczył kłęby spalin wydobywające się z traktora Eda Paintera. W tłumie dostrzegł Corinnę; machała mu i się uśmiechała. On też jej pomachał.

Pole widzenia z kokpitu było znacznie szersze w porównaniu z *Fireflashem 4*. Z przodu dziób schodził mocno niczym ostrze płasko położonej siekiery, a z tyłu karoseria wznosiła się klinem. Dobrze widział słoną powierzchnię ziemi i zamglone odległe szczyty gór.

♦♦♦

Dzisiaj się uda, pomyślał Craig. Dzisiaj to zrobię, stawię czoło prawdziwemu wyzwaniu. Będę szybszy, odważniejszy, twardszy. Tysiąc sto kilometrów na godzinę, nic mnie nie zatrzyma. W moim lśniącym, stalowym, zięjącym ogniem potworze. Zrobię te niespełna dwa kilometry w pięć sekund.

Kołowanie do punktu startowego trwało dziesięć minut. Ed Painter zwolnił i zatoczył pojazd na start. Craig włączył hamulce kół i błyszczący wehikuł prędkości stanął w miejscu. Dwóch mechaników odłączyło ciągnik i Ed Painter odjechał.

Podjechał konwój samochodów, parkując w półkolu. Pojawił się Corinna i Timeri. Pokazali mu uniesione na szczęście kciuki i pomachali rękami. Uśmiechnął się do nich szeroko. Dzisiaj będzie najszybszym człowiekiem na świecie. Dzisiaj Corinna będzie z niego naprawdę dumna. Dzisiaj ojciec zostanie zrehabilitowany. Nieważne, czy miał rację, czy nie; czy był słaby, czy silny; jego imię zostanie odkupione.

— Zamknąć owiewkę — rozległ się głos Timeriego przez radio.

— Owiewka zamknięta — potwierdził. Pleksyglasowa obudowa kokpitu zasyczała, hermetyzując kabinę. Usłyszał cmoknięcie gumowych uszczeltek niczym długi pożegnalny pocałunek na drogę.

— Kontrola ciśnienia paliwa — odezwał się Timeri.

Craig spojrział na sześć zegarów wskazujących ciśnienie paliwa. Odczyty były właściwe.

— Ciśnienie paliwa w porządku.

— Kontrola ciekłego tlenu.

— Ciekły tlen okay.

— Kontrola hamulców kół, spadochronu, hamulców powietrznych.

Craig przesunął ręką po włącznikach na desce rozdzielczej.

— Wszystko w porządku.

— Kontrola zapłonu.

— Zapłon okay.

Daleko z przodu inżynier pomiaru czasu podniósł chorągiewkę. Byli gotowi. Craig dopasował się do fotela i przełknął ślinę. Zdawało mu się, że zakrzywiona owiewka niekształcała nieznacznie słone jezioro i ludzi stojących nieopodal samochodu. Był teraz zupełnie sam w płaskim, aerodynamicznym klinie wypełnionym wybuchowym paliwem. Pocił się w ogniodpornej białźnie i miał dziwne wrażenie, jakby napił się zimnej lemoniady.

— Zapłon — wydał komendę Timeri.

Silnik raketowy zaryczał potężnym dźwiękiem. Craig poczuł przepływ promieniującej mocy w każdym mięśniu. Za jego plecami wzrastała siła ciągu do niebotycznego poziomu siedmiu tysięcy siedmiuset kilogramów siły. Srebrzystobłękitny *Fireflash 5* wypływał z siebie pomarańczowe płomienie i dym i napinał wysilone hydrauliczne hamulce kół jak narowisty koń. Jasny horyzont zaczął drżeć, a Craig spoglądał na wskaźniki na desce rozdzielczej unoszące się coraz wyżej i wyżej. Ryk raketowego silnika rozdzierał wszystko dookoła i maltretował zmysły.

— Start! — krzyknął Timeri. — Start!

— Start — potwierdził Craig i zwolnił hamulce kół. Pęd wcisnął go w oparcie fotela. *Fireflash 5* oddalał się z punktu startowego, nabierając prędkości. Kilka metrów przed owiewką ostry dziób pojazdu pożerał pustynię, szybciej i szybciej, aż markery na soli zamieniły się w paski, a potem w długą linię. Spojrzał na prędkościomierz. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Dostrzegł chorągiewki początku toru podejścia i sięgnął po lewarek przepustnicy.

— *Fireflash*, tu kontrola.

— Słyszę, lontrola.

— *Fireflash*, wiatr poprzeczny dwa węzły z zachodu na wschód na pierwszym podejściu. Masz płomień i jesteś na pozycji.

— Dzięki, kontrola.

Craig zaczął zwalniać drążek przepustnicy w sposób w jaki robił to wielokrotnie podczas treningów. Powoli, powoli.

Drążek przepustnicy jest niczym uwięź dla tygrysa. Gdy się go pociąga, to tak jakby uwalniało się dzikie zwierzę. Biała pustynia migąła pod dziobem. Zobaczył rozplywające się z boku góry jak na przyspieszonym filmie.

Raketowy silnik zwiększał moc. Olbrzymie koła rozcinały pustynię. Jak nóż po lodzie, *Fireflash 5* ciął po powierzchni pustyni, zostawiając za sobą długi tuman dymu i pyłu.

— Sześćset pięćdziesiąt kilometrów — podał Craig. Miał sucho w ustach.

— Rozumiem, sześćset pięćdziesiąt.

Wydawało się, że czas się zatrzymał. Pustynia migąła za szybą owiewki. Fotel drżał. Głosy w hełmie były spokojne i nosowe, odległe. Spojrzał na dłonie w rękawiczkach, ściskające drążek sterowy.

— Siedemset kilometrów. Siedemset pięćdziesiąt. Osiemset kilometrów.

— *Fireflash*, jesteś trzy kilometry przed pierwszym markerem. Zwiększ moc.

Craig pociągnął drążek przepustnicy bardziej do siebie. Poczuł, jak głodny silnik zachłysnął się paliwem i potwór jeszcze bardziej przyspieszył.

— Dziewięćset. Tysiąc pięćdziesiąt. Tysiąc siedemdziesiąt.

— Masz cztery sekundy do markera — mówił Timeri. — Trzy, dwa, jeden — teraz!

Craig dostrzegł marker i pociągnął drążek do końca. *Fireflash 5* zawył i zadrżał, gdy wtryski dostały więcej paliwa i ciekłego tlenu, wciskając mieszankę do komory spalania. Za ogonem ciągnął się dwudziestometrowy słup białego ognia. Rakieta rozdzierała przestrzeń niczym błękitna zjawa.

— Tysiąc sto trzydzieści, tysiąc sto trzydzieści dwa, tysiąc sto czterdzieści dwa!

Obok przeleciał drugi marker.

— Udało się! — krzyczał Timeri. — Craig, jesteś wspa-  
niały, pobiłeś rekord!

Craig otworzył hamulce powietrzne — ich skrzydła uniosły się, zaburzając aerodynamikę pojazdu. *Fireflash 5* zadrżał i zaczął zwalniać. Craig kontrolował tor jazdy, utrzymując drążek sterowniczy i jednocześnie zmniejszał moc silnika. Wskazówka prędkościomierza opadała jak członek po wytrysku nasienia. Trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę, dwieście czterdzieści, sto sześćdziesiąt, sto trzydzieści. Chmury soli opływały pojazd z obu stron.

Wprowadził samochód w szeroki łuk o długości około piętnastu kilometrów. Góry zatoczyły krąg i pojawiły się teraz po jego lewej stronie. Daleko przed sobą po prawej stronie dostrzegł dachy hangaru i hotelu w Uincie. Paliwo wypalało się i nie miał czasu na podziwianie widoków. Schował hamulce powietrzne i *Fireflash 5* zaczął znowu nabierać prędkości, szykując się do powtórnego pokonania odcinka kontrolnego. Promienie słońca padały od przodu, przymknął więc szybkę kasku. Pustynia nabrała bordowego koloru. Sięgnął po manetkę mocy i powoli przyciągnął ją do siebie.

— Trzysta kilometrów. Czteryście.

W słuchawkach usłyszał jakieś trzaski.

— Pięćset. Timeri, słyszysz mnie?

Znowu trzaski. Jakby ktoś przeleciał po skali radiowej po dwudziestu różnych rozgłośniach.

— Sześćset pięćdziesiąt! Timeri! Sześćset pięćdziesiąt! Słyszysz mnie?

Znowu szumy i trzaski. *Fireflash 5* mknął przez pustynię, pochłaniając przestrzeń i paliwo. Nagle usłyszał jakiś nieznaną głos:

— Winger! Tu Hal Shocks! Mam twoją matkę!

Craig zamarł. Jego dłoń przekreśliła drążek sterowniczy i pojazd zsunął się z toru o prawie pół kilometra, tnąc słońca powierzchnię i wznecając tumany kurzu. Walczył z drążkiem, starając się go utrzymać, pocił się i przeklinał, czując przepływające przez niego napady paniki. Prędkościomierz wskazywał dziewięćset dwadzieścia kilometrów na godzinę. Dzień, pustynia, czas i życie umykały w przeszłość.

— Winger, posłuchaj swojej matki! — ryczał zniekształcony głos w słuchawkach. Mam nóż, Winger, i podetnę jej gardło!

— Kto mówi?! — krzyczał Craig. — Na rany Chrystusa! Kto mówi!

— Nie panikuj, Winger. Mam twoją matkę. A nóż jest przy jej szyi. Jak tylko pobijesz ten rekord, to koniec z nią!

— Kim ty, kurwa, jesteś?! — wrzeszczał Craig. *Fireflash 5* tracił stabilność i zaczął tańczyć na boki, z prawa na lewo, jak deska surfingowa. Craig sięgnął po manetkę, by odłączyć przepustnicę.

— Craig! — wyła Marjhorie zniekształconym, porażającym zmysły głosem. — Crrraaagg!!!

— Co się tam dzieje?! — darł się do mikrofonu Craig. — Timeri, co się dzieje?!

Krzyki agonii wypełniły słuchawki. Wypuszczając spadochron i podnosząc hamulce powietrzne, cały czas słyszał upiorną kakofonię dźwięków morderstwa popełnianego na jego matce. Spadochron wyskoczył porwany gorącym strumieniem powietrza z wylotu dyszy silnika, kręcił się i wił w powietrzu, starając się złapać aerodynamiczny cień.

Sześćset pięćdziesiąt kilometrów. Pięćset pięćdziesiąt. Wrzaski w słuchawkach stały się jękami i skomleniem, co było jeszcze gorsze. Zaślepiiony paniką Craig spróbował hamulców kołowych, by zatrzymać *Fireflasha 5*.

Lewy przedni hamulec się zablokował. Craig cofnął stopę, ale przy czterystu osiemdziesięciu kilometrach na godzinę zrobił to o ułamek sekundy za późno. Poczł tylko, że pojazd wierzgnął jak koń i tył się poderwał, a on uderzył głową

o owiewkę. Klinowaty potwór zaczął koziołkować, a kawałki lśniącej błękitnej karoserii odrywały się na wszystkie strony jak wybuchające gwiazdy.

Craig miał wrażenie, że jakiś potężny uliczny bokser wrywa go z fotela i rzuca na wszystkie strony, uderzając nim o ściany i podłogę. *Fireflash* przekreślił się na błyszczący grzbiet i ślizgał się dalej po słonym jeziorze z prędkością trzystu kilometrów na godzinę.

Usłyszał jeszcze chrzęst blachy o ziemię i odgłos zdzierania owiewki kokpitu. Powierzchnia solnego podłoża była zaledwie o centymetry od głowy Craiga. Pęd *Fireflasha* wbił kabinę w ziemię.

Craig odruchowo zasłonił twarz, ale zrąca sól rwała skórę palców w długie, krwawe strzępy. Skóra twarzy została zeszlifowana — jakby gruby papier ścierny zdarł ją z czoła i policzków. Craig umarł, próbując ogarnąć intensywność potwornego bólu. *Fireflash 5* sunął dalej po pustyni, rozsiewając kawałki poszycia, strzępy krat hamulców powietrznych i dymiące kawałki opon.

Wrak rakiety zatrzymał się w chmurze pyłu i dymu na kilometr przed obserwującym go tłumem. Wszyscy rzucili się w jego stronę. Corinna z plastikową protezą mogła zaledwie iść. Szła tak szybko, jak tylko potrafiła, z zacisniętymi do białości palcami dłoni.

*Fireflash 5* wybuchł białą kulą ognia; rozpryskujące się fragmenty eksplodowały dalej w powietrzu, rozsyłając tańczące i mieniające się popołudniowym słońcem drobiny. Corinna upadła i leżała na ziemi bez ruchu, bez słowa. Obok niej przemknął wyjący syrenami wóz strażacki, ludzie biegli dalej, by zobaczyć najgorsze.

♦♦♦

Musieli wyważyć drzwi, żeby dostać się do hotelowego pokoju Marjhorie Winger. Dwaj potężni piegowaci gliniarze z lokalnego posterunku policji — Jim Monroe i Charles Baker — weszli do środka. Na biodrach mieli kabury z rewolwerami.

Timeri Orari i Sam McCook stali kilka kroków za nimi. Spoceni i bladzi wyglądali jak epizodyczni aktorzy w dawno zapomnianym filmie. Drzwi rozprysły się w kawałki i policjanci ostrożnie weszli do środka.

Pokój przypominał krwawą jatkę. Marjhorie leżała na łóżku, wokół jej prawie odciętej głowy rozlała się kałuża krzepnącej teraz krwi. Zakrwawiony nóż rzucono obok ciała, na biurku pod oknem stał nadal włączony drogi japoński nadajnik radiowy.

— Święty Panie Jezu! — powiedział jeden z gliniarzy. Ostrożnie stawiali kroki, rozglądając się po pokoju.

Timeri odwrócił wzrok. Słyszał, co się dzieje na zablokowanej częstotliwości radiowej, i nie mógł pomóc ani jej, ani Craigowi. Czuł, jak coś podchodzi mu do gardła, odszedł na bok i zwymiotował koło schodów. Sam McCook stanął koło niego i zaczął pocieszać.

Policjanci zajrzeli do łazienki i sprawdzili szafę.

— Podejrzany musiał uciec. Pewnie przez okno. Podeszli do okna i wyrzeli. Na parapecie znaleźli odciski zakrwawionych dłoni. Łatwo stąd można było dostać się na daszek hotelowego ganku i stamtąd na ziemię. Nikt nawet nie zwróciłby uwagi na wyskakującego przez okno mężczyznę, gdy na pustyni wybuchł *Fireflash*.

— Nie mógł uciec daleko — mruknął Jim Monroe. — Chuck, leć do radiowozu i kaź zablokować wszystkie drogi w promieniu dziesięciu kilometrów stąd. Niech szukają faceta z krwią na rękach i ubraniu.

— W porządku — odpowiedział Charles Baker i wyszedł z pokoju. Przechodząc koło Timeriego, klepnął go w plecy.

— Niezbyt ładnie to wszystko wygląda, co?

♦♦♦

Pustynia lśniła blaskiem słońca. Na poboczu drogi obok porzuconego forda pinto zatrzymał się czarno-biały policyjny samochód. Gliniarze wyszli z radiowozu i przez otwarte drzwi forda dostrzegli krew na kierownicy i klamkach.

— Zostawił je jakieś cztery, może pięć minut temu — powiedział policjant w lustrzankach. — Podaj mi lornetkę.

Zdjął przeciwsłoneczne okulary i przez lornetkę zaczął penetrować drżącą linię horyzontu. Dwa razy sprawdził cały horyzont, zanim dostrzegł odległą czarną sylwetkę uciekającego mężczyzny. — To on. Jedziemy.

Radiowóz zjechał z drogi i powoli toczył się po nierównej powierzchni słonej pustyni. Błyskały czerwono-niebieskie światła kogutów na dachu, policyjna syrena na przemian wyla i trajkotała. Odległa, wysoka, ciemna postać pędziła susami z pochyloną głową pod gorącymi promieniami popołudniowego słońca.

Wszystko było dobrze widać z daleka. Czarno-biały samochód ciągnący za sobą chmurę pyłu, wyjący syreną do much i pustynnych królików. Dwaj gliniarze z wystawionymi za okna grubymi łapami podskakiwali w fotelach na nierównościach terenu.

A wysoka, ciemna postać w butach do jazdy konnej, w białej koszuli o bufiastych rękawach biegła z pochyloną głową ku przyszłości, która nie istniała.

## Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA	
KREW I OGIEŃ .....	7
CZĘŚĆ DRUGA	
FIREFLASH 5 .....	153